

Almanach Łącki

*Rócznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 18
Rok 2013*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami (zastępca sekretarza)
Rozalia Kulasik - finanse
Ewelina Faron - korekta

Copyright by Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej
33-390 Łącko 512

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Sądeckiego



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Miejsko-Gminnej Bibliotece w Starym Sączu, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

Drodzy Czytelnicy!

Od kilku lat spotykam się z zapytaniami o wznowienie pierwszych 5 numerów Almanachu Łąckiego. Wprawdzie w 2006 roku wznowiliśmy nakład numeru 1 i 2 w ilości 250 szt. każdy, ale rozeszły się bardzo szybko. Bardzo chcieliśmy spełnić oczekiwania naszych Czytelników, ale determinowały nas finanse, a w zasadzie ich brak, na wznowienia kolejnych numerów. Aby ograniczyć środki do minimum i jednocześnie spełnić te oczekiwania, postanowiliśmy, że od numeru 18 Almanachu Łąckiego, będziemy na końcu numeru, zamieszczać w kolejności numery od 1 do 5. Tak więc, w tym numerze znajdują państwo na końcu numer 1, zaś w numerze 19 Almanachu Łąckiego, który wydany zostanie w grudniu, nr 2. To są plany na ten rok.

W tym numerze mogą Państwo przeczytać o dalszych losach edukacji i początkach pracy prof. Józefa Myjaka, niezwykle ciekawych i barwnie opisanych. Już pierwsza część opowieści cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, o czym mogłam się przekonać, podczas wielu rozmów z wiernymi Czytelnikami Almanachu Łąckiego.

Polecam także materiał przygotowany przez Adriana Popardę "Antyczni Sądowanie" i Marcina S. Przybyły „Znad Dunaju nad Dunajec”.

Kolejna część „Historii łąckich Chwalibogów”, jak zawsze ciekawa i pełna historycznych odniesień.

Współpracujący od pewnego czasu z Almanachem, Grzegorz Chajko, opisał Ryrto, swoją rodzinną miejscowość, z którą łączy nas nie tylko Maria Kownacka, która będąc na wakacjach w tej miejscowości napisała „Rogasia i doliny Roztoki”, zaś spędzając wiele wakacji w Zabrzeży, m.in. sztukę dla teatryku lalkowego „Bajdurka”, działającego przez 15 lat przy Szkole Podstawowej w tej miejscowości, „O Bidzie i złotych jabłkach”, ale też i historia.

Nie zabrakło w tym numerze stałych pozycji: „Zatrzymane w kadrze” „Piękno ziemi ojczystej”, „Z domowego archiwum”.

Czytelnicy będą też mieli okazję poznać twórczość artysty malarza, Wacława Kłaga z Krakowa, który urodził się w Kiczni. „Łąckie klimaty” to temat ostatniej wystawy tego artysty, która miała miejsce 12 marca br. w Space Gallery Salon Sztuki Dawnej i Współczesnej w Krakowie.

Nie będę wymieniała wszystkich pozycji zawartych w tym numerze, by nie odbierać Państwu przyjemności „odkrywania” nowych, ciekawych materiałów i historii.

Z nadzieją, że lektura tego numeru będzie przyjemnością, czekam na listy od Czytelników.

Jadwiga Jastrzębska – redaktor

Historia rodziny łączkich Chwalibogów – część VIII

Jesień 1939-ego roku. W okupowanym przez sowietów Lwowie, w mieszkaniu Zbyszka, któremu udało się uciec z transportu jeńców, oprócz jego żony Wisi jest także matka i Maryna.

Łącki dom opuszczony przez nie w ostatniej chwili przed nadejściem Niemców stoi pusty...

W mieście NKWD zapełnia więzienia dzięki gorliwym donosom przedstawiciele mniejszości narodowych. Aby wyżywić rodzinę muszą wystarczyć kartki jakie Zbyszek dostaje za pracę w Wydziale Budowlanym Poczty. We Lwowie jest także Jaś. Henryk z Ireną i jej ojcem, i z dwuletnią Jagusią utknęli w Krzemieńcu.

Maniek i Jurek Pasiudowie (junacy przysposobienia wojskowego) zwolnieni z obozu jeńców wracają do Łącka.

13 listopada generał Sikorski powołuje Związek Walki Zbrojnej którego komendantem głównym zostaje Generał Sosnkowski (wówczas we Francji). Obszar kraju dzieli się na strefę niemiecką, której komendantem zostaje generał Grot Rowecki i sowiecką – komendant gen. Karaszewicz Tokarzewski. Strukturę terytorialną stanowiły okręgi, które dzieliły się na obwody, te zaś na placówki (odpowiednik gminy). Najniższą komórką organizacyjną była 5-osobowa sekcja, kilka sekcji stanowiło pluton. Wyższych organizacyjnie jednostek nie przewidywano, choć plutony mogły się łączyć w celu przeprowadzenia akcji bojowej bądź ćwiczeń. (Polskie Państwo Podziemne).

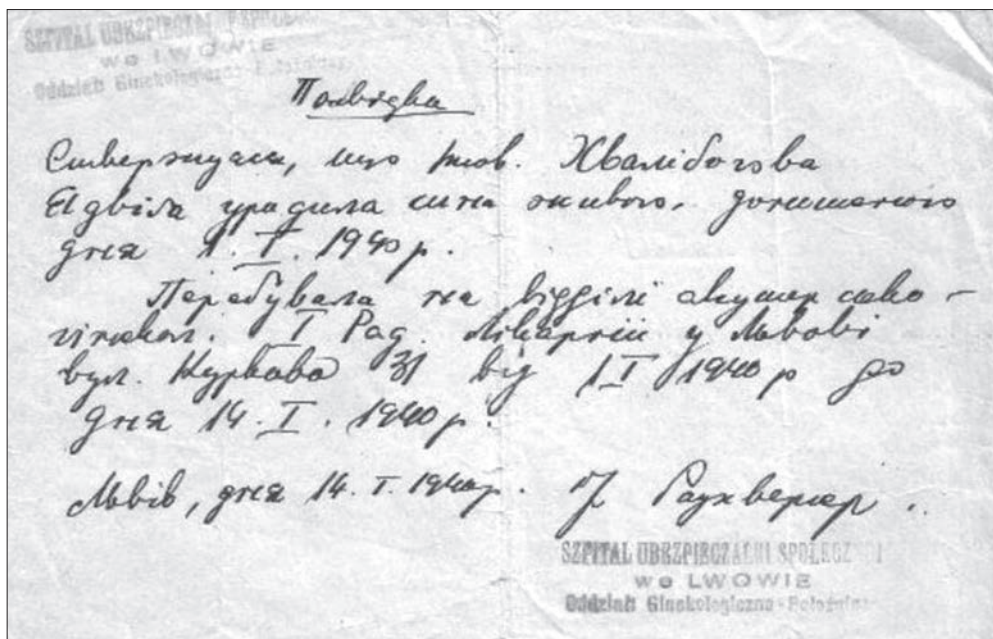
Zbyszek stał się członkiem ZWZ z pewnością poprzez kontakty z wojska. Został dowódcą plutonu.

Styczeń 1940 roku to miesiąc ważny dla rodziny. 1 stycznia w szpitalu na Kurkowej we Lwowie przychodzi na świat Krzysztof (syn Jadwigi i Zbyszka), a w dwa dni później w Krzemieńcu, Henryk i Irena mają bliźnięta – Marynę i Wojtka. Metryki wypisywane są cyrylicą.

Dziadkowi bliźniaków prezesowi Dażwańskiemu udaje się przekupić sowietów i wrócić po wielu perypetiach z rodziną do Warszawy.

Zima 1940 roku jest ostra. Lwów zasypany śniegiem. Kiedy Wisia idzie ulicą sowiecki żołdat podnosi ją do góry i wstawia w sam środek przyzmy śniegu mówiąc: *Tiepier tak budietie szagat...(teraz tak będziecie chodzić...)*. Nowy porządek został określony.

NKWD (Narodnyj Komitet Wnutriennych Dieł) bardzo sprawnie penetruje powstające struktury ZWZ. Potrafi to robić dużo lepiej niż Gestapo. Dlatego Lwów okazuje się dla tej organizacji terenem znacznie trudniejszym niż Warszawa. Świadczy o tym ogromna ilość „wsyp”. Cały szereg dowódców ZWZ pada ofiarą konfidentów z własnej organizacji, którzy poszli na współpracę z sowietami.



Stwierzujetsia czto tow. Chwalibogowa Edwiga urodila syna żywego, donoszonego dnja 1.I.1940

„W czasie wyjątkowo ostrej zimy i panujących okrutnych mrozów w nocy 8 na 9 lutego 1940 roku rozpoczęły się masowe deportacje obywateli polskich, mężczyzn, kobiet, dzieci i starców, mieszkańców miast i wsi z ziem polskich włączonych we wrześniu 1939 roku do ZSRR. Według obliczeń rządu polskiego tylko w lutym z trzech województw południowo-wschodniej Polski deportowano w głąb ZSRR 70 tys. osób. Wywózką objęto rodziny oficerów, żołnierzy, policjantów, urzędników, pracowników państwowych, sędziów, prokuratorów, leśników, właścicieli ziemskich.

Generał Władysław Anders po kampanii wrześniowej, w której dowodził Nowogródzką Brygadą Kawalerii, gdy z niewielką grupą żołnierzy przebił się na Węgry i został ranny przez Ukraińców, wpadł w ręce sowieckie. 29 lutego 1940 został wywieziony ze lwowskich Brygidek do Moskwy i osadzony w centralnym więzieniu NKWD na Łubiance. Podczas 22-miesięcznego pobytu w więzieniu był wielokrotnie przesłuchiwany i bezskutecznie namawiany (jeszcze w lwowskim szpitalu) do wstąpienia do Armii Czerwonej.

W kwietniu NKWD kontynuowało deportacje z zajętych obszarów. W samym Lwowie aresztowano w ciągu czterech dni od 12 do 15 kwietnia około 25 tysięcy osób, ostatnia fala deportacji nastąpiła w czerwcu i w lipcu. Objęła ona przede wszystkim uchodźców wojennych z Polski centralnej, którzy przybyli na te tereny w ucieczce przed Niemcami. Ze Lwowa deportowano 85 tysięcy osób oraz z Wołynia ponad 1 tysiąc.

Na tych listach bieżenców są oczywiście doktorowa Chwalibogowa i jej córka Maria.

29 czerwca 1940 roku następuje dramatyczny moment – obydwie są zabierane na dworzec kolejowy. Zbyszek chce im towarzyszyć, ale Wisia bojąc się że go też

zabiorą nie pozwala. Maryna uspokaja, że nie boi się, że jest młoda, że będzie pracować...

Można się domyślać że jej idealistyczna dusza nie do końca mogła zrozumieć jak brutalna rzeczywistość je czeka. Tak zaczyna się gehenna wielodniowej jazdy w bydłych wagonach na wschód...

Cel podróży to posesiołek Zimnyj, Goryńskij rajon, Swierdłowskaja obłast, na wschód od pasma uralskiego. Jednak niełatwo jest dzisiaj znaleźć to miejsce.

Po pierwsze Swierdłowska już nie ma na mapie – wrócił Jekatierinburg (tam gdzie zamordowano cara z rodziną). Nie ma też Goryńska – zamiast jest Sierow. A więc usunięto towarzysza Swierdłowa ale pojawił się towarzysz Sierow – generał NKWD i morderca akowców. I właściwie posesiołek (gułag) Zimnyj mógłby tkwić gdzieś w nieustalonym miejscu gdyby nie jeszcze jedna informacja, którą miałem (powtarzała ją Jadwiga Chwalibogowa – moja matka). To rzeka – Łośwa. Ta rzeka jest cienką niebieską linią spływającą w kierunku wschodnim z gór Uralu pomiędzy wieloma podobnymi. Łośwa zmierza na południowy wschód, wpada do Tawdy, ta do Tobol, która zwracając na północ wpada do Ob aby po kilku tysiącach kilometrów osiągnąć morze Kara. Dzięki niej udało mi się coś mało prawdopodobnego...

Kiedy jechałem kursorem po pustej, bladezielonej przestrzeni ekranu w górę biegu Łośwy, przekonany o bezcelowości tych poszukiwań, nagle kursor spowodował że na tej pustce wyświetlił się, przedtem niewidoczny mikroskopijny napis „Zimnyj”. To tu były zesłane, tu spały na piętrowych pryzkach w wielkim drewnianym baraku. Tu Maryna pracowała w lesie aby zarobić na porcję chleba, która miała wystarczyć dla obydwo, zgodnie z niebywale prostą zasadą *kto nie rabotajet tot nie kuszajet...*

Według wiadomości, które jakoś dotarły chyba lata później, zanim przywieziono tu zesłańców z Polski, w łagrze Zimnym byli Kozacy Dońscy (uznani za element wrogi bo mieli poczucie wolności). Byli ale nie dożyli. Wymarli co do jednego. Być może zostawili jakieś ślady, napisy...

Zachował się tekst „*Modlitwy Bezdomnych*” napisany przez Józefę Chwalibogową w czasie tego zesłania:

Z głębi niedoli naszej wznosimy ku Tobie oczy o Panie miłosierdzia. Rzuciłeś nas jak liście oderwane od ojczystego pnia na wiatr wojennego losu. I lecim gnani bez woli, bez sił, bez możliwości pokierowania sobą, w nędzy, w poniewierce, w tęsknocie dla której nie masz słów...Dziej się wola Twoja Panie ale stań się nad nami miłosierdzie Twoje!... Pożoga wojny wciąż rośnie, oddalenie od domu się wzmaga, dusza truchleje i zamiera serce. Bądź pozdrowiony Boże męką naszą, niech Cię chwali cierpienie naszych dusz...

O Panie! Panie! Zmiłuj się nad nami! Poratuj, pociesz, uspokój! Wszchemocny Ojczy nasz! Nadzieję ześlį! Choć promyk nadziei! Że wydołamy, że przecierpim, że wrócim kiedyś do domów i kościołów naszych! Że objawisz się nam w aureoli łaski i miłosierdzia, jak dziś trwasz jako karzący sędzia sprawiedliwy. Panie! Panie! Który stosujesz wiatr do wełny jagnięcia zlituj się, poratuj, pociesz, sił dodaj!

Matko Boska, Królowo nasza, wstaw się do Boga za nieszczęśliwym narodem. Amen.

Myślałam już nigdy nie zaśnie serce głuchym targane stukotem...

Wracam z Żelaznej Baśni, powiedziałam o tem

Przygarnął mnie dźwięk jej mowy, jej siły kojący krąg,

I piłam jak zawsze znowu napój magiczny z jej rąk.

*Stąpałam pośród mieczów wpatrzone w zorze olbrzymie
chronił mnie swoją pieczę Bóg i ojczyzny imię.*

Pod strażą oczu uważnych, szeptów z dala i kroków

Widziałam zamknięte żelaznych, uśpionych smoków pyski.

Jeszcze na mnie te zorze dyszą zapach grozy i obcych ziem...

O Boże napelnij mnie ciszą jak pole kwitnącym lnem!

Jeszcze dusi mnie nie moja nienawiść, smoczy opar i wyziew trupi...

O Boże, racz nas wybawić od zemsty ślepych i głupich...

Powiedziałam o tym ojczyźnie, powiedziałam wszystko co wiem...

O Boże nienawiść zablźnij jak pole kwitnącym lnem.

Trudno nie dostrzec w tych słowach wyraźnego przecucia przyszłego losu...

Jest raczej pewne, że dwie nauczycielki-patriotki z Łącka, tak jak i reszta polskich towarzyszy niedoli, podzieliłyby nad rzeką Łośwą los Dońskich Kozaków gdyby nie nagły zwrot historii.

W rok po wywózce Józefy i Marii Chwalibóg, 21 czerwca 1941 wybuchła wojna niemiecko sowiecka. To co wydarzyło się we Lwowie tak relacjonuje Stanisław Pempel w swojej pracy: ZWZ-AK we Lwowie 1939-1945:

W dniu 14 czerwca 1941 r. agencja TASS opublikowała komunikat stwierdzający, że pogłoski o tym jakoby ZSRR przygotowywał się do wojny z Niemcami są kłamliwe i prowokacyjne. Wywiad ZWZ widząc w pobliżu granicy ogromne ilości zgromadzonego sprzętu, samolotów, czołgów, samochodów był jednak przekonany o zbliżającej się wojnie.

Na niedzielę 22 czerwca 1941r. przygotowano na bocznicach kolejowych eszelony wagonów towarowych ale zamiast do wywózki Polaków posłużyły one do ewakuacji sowieckich urzędników. O godzinie 3.15 rano lotnisko skniłowskie pod Lwowem zryły niemieckie bomby. Pierwszy potężny, terrorystyczny nalot na śródmieście Lwowa nastąpił o 11.00 przed południem, powodując ogromne straty wśród spokojnie spacerującej ludności. W następnych dniach dywersanci ukraińscy rozpoczęli ostrzeliwanie wycofujących się sowieckich kolumn wojskowych. Spowodowało to psychozę strachu i zagrożenia. Czerwonoarmiści zaczęli strzelać do wszystkiego co się ruszało, do otwartych okien, do spieszących się ludzi.

W trzech lwowskich więzieniach enkawudziści pośpiesznie przystąpili do likwidowania aresztowanych, wśród których było wielu członków różnych organizacji konspiracyjnych. Nastąpił czas zagłady. Dzień przed wkroczeniem Niemców miasto było niczyje. Gdy rodziny pootwierały więzienia NKWD na Zamarstynowie i przy ulicy Łąckiego, zastały tam leżące w piwnicach całe stopy okrutnie pomordowanych. Również w celach na piętrach znajdowali się pomordowani więźniowie. Część więźniów NKWD rozstrzelało, zakopując na podwórzu. W Brygidkach NKWD ułatwiło sobie zadanie podpala-

jąc budynek z żywymi więźniami w celach. Ilość pomordowanych sięgała kilku tysięcy. Straszny odór trupi snuł się po mieście.

Pierwsza sowiecka okupacja Lwowa zakończyła się tragicznie...

„Madej” (Zbyszek Chwalibóg) i „Harnaś” (Stanisław Wojciechowski) widzieli tę gehennę na własne oczy wysłani przez ZWZ celem przygotowania raportu.

Henryk który pracował przed wojną w Krakowie u Zieleniewskiego, w 1941 roku zostaje kierownikiem kuźni w podkrakowskich Sułkowicach. Tutaj wchodzi w skład ZWZ a potem AK. W Nowym Sączu na Załubińcu, krewny łąckich Chwalibogów – Adam Chwalibóg także należy już do organizacji.

Generał Anders został uwolniony po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i podpisaniu układu Sikorski-Majski. (Po wielu miesiącach spędzonych w moskiewskim więzieniu na Łubiance). Od 4 sierpnia 1941 tworzy Polskie Siły Zbrojne w ZSRR, wyciągając z więzień i gułagów polskich żołnierzy (z wyjątkiem tych których sowieci wymordowali w Katyniu, Starobielsku i Ostaszkowie) i ponad 20 000 cywilów.



Generał Władysław Anders



Władysław Anders – lata trzydzieste

14 lutego 1942 rozkazem Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych Władysława Sikorskiego Związek Walki Zbrojnej zostaje przemianowany na Armię Krajową.

W strukturze organizacyjnej istotnym elementem była legalizacja. Jej zadaniem było wyposażenie członków w fałszywe dokumenty a nawet dawanie „alibi” przez wprowadzenie jako „pracownika” do firmy albo instytucji. Dla zalegalizowania potrzebna była spora ilość dokumentów: metryka urodzenia, wyciąg z ksiąg meldunkowych. Zaświadczenia z pracy były konieczne do wyrobienia dowodu osobistego tj. kennkarty z fotografią i odciskiem palca. Posiadanie kennkarty było obowiązkowe. Poza tym

osoby poniżej 60 lat, niezależnie od ausweisu – legitymacji z pracy musiały posiadać arbeitskarte – kartę pracy opieczętowaną przez niemiecki Arbeitsamt ze wskazaniem miejsca zatrudnienia. (S. Pempel – ZWZ-AK we Lwowie).

W Okręgu Lwów kierownikiem referatu legalizacji – w ramach Wydziału sztabu był od I kwartału 1943 r. por.rez.piech. Mieczysław Laskowski "Daniel", „Mieczysław”, poprzednio kierownik łączności konspiracyjnej. Jego zastępcą był ppor.rez.art. Józef Zbigniew Chwalibóg „Madej” z 1.p.a.m. w Stryju, inżynier architekt, absolwent Politechniki Lwowskiej, do wojny zastępca kierownika budowy gmachów Politechniki przy ulicy Stryjskiej, uczestnik obrony Lwowa we wrześniu 1939, w lipcu 1944 przedstawiony do awansu do stopnia porucznika. Ppor. „Madej” najprawdopodobniej kierował komórką legalizacji Miasta (kryptonim „Kret”). Jego współpracownikami byli: jego szwagier Stanisław Wojciechowski „Harnaś” i łączniczka, była studentka architektury Emilia Lewandowska (z domu Fritzówna), „Marysia”. Pracowano w mieszkaniu Chwalibogów przy ulicy Tarnowskiego 61 a potem przy ul. Gołąba. Pieczętki u siebie w domu, przy ul. Podchorążych 5 wykonywał Jan Paweł Brodzisz, który do r.1939, razem z Bolesławem Monne’ prowadził zakład wyrobu pieczętek.

Organizując referat, Laskowski za pośrednictwem Francuzki opiekującej się francuskimi Jeńcami, Idy Vassaux-Thom, wciągnął do współpracy młodego absolwenta szkoły średniej (a potem studenta weterynarii), Jerzego Kotza, który już od jakiegoś czasu na własną rękę podrabiał pieczętki do fałszywych dokumentów dla jeńców zbiegłych z niewoli. Odtąd Kotz „Gregor” pracował dla komórki ppor. „Madeja” przygotowując pieczętki swoją „własną metodą”. Tak to opisywał później:

Potrzebne były urzędowe pieczętki okrągłe z niemieckim orłem i swastyką w środku. Aby wykonać to godło, odlewałem krążek z ołowiu o odpowiedniej średnicy, następnie po dokładnym odrysowaniu na kalce godła naklejałem je na krążek i metodą punktową zaznaczałem jego obrisy. Następnie przy pomocy ryłców grawerskich wykonywałem godło. Do wykonania pieczętki potrzebna jeszcze była cienkościenna rurka o przekroju identycznym jak średnica pieczęci, o grubości ściany jak obwódka pieczętki. Mając już godło, odpowiednie czcionki i rurkę wykonywałem pieczętkę w ten sposób, że wewnątrz rurki, na jej obwodzie układałem czcionki, do środka wkładałem krążek z wrytym godłem..

W lokalu pracy ważnym meblem był tapczan zawierający w swym wezłowie szufladę do góry wyciąganą, w której przechowywano sprzęt i blankiety dokumentów. Była ona zamykana na bolec metalowy dociskany sprężyną, który dla wyciągnięcia szuflady trzeba było odciągnąć cienkim nagwintowanym drutem wkręcanym w otwór bolca.

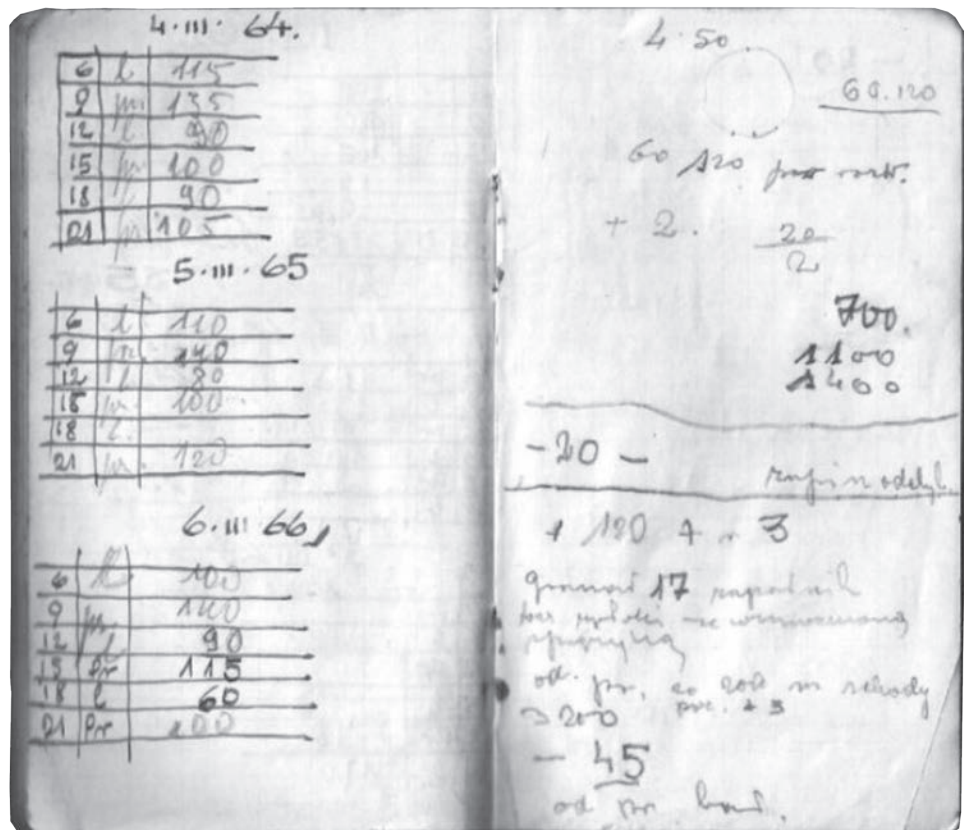
Blankiety dostarczała przeważnie „Marysia”, zaś blankiety metryk urodzenia książd Kuntze z katedry ormiańsko-katolickiej.

Mistrzem w podrabianiu podpisów był Zbyszek „Madej”. Wykonywał je w ten sposób, że na dokumencie podrabianym umieszczał dokument z oryginalnym podpisem odwróconym o 180 stopni a następnie podrabiał go szybko i bezbłędnie rozpoczynając kopiować podpis od tyłu do przodu aby zatracić swój własny charakter pisma.

Tyle Jerzy Węgiński w swojej książce „Komendy Lwowskiego Obszaru i Okręgu Armii Krajowej 1941-1944. Trzeba dodać że praca przy podrabianiu dokumentów była prowadzona głównie w nocy. Działo się to w małej komórcie za sypialnią. W każdej chwili można się było spodziewać wsypy, których we Lwowie nie brakowało, w takim przypadku wiadomo jakie konsekwencje groziły całej rodzinie. Oprócz Zbyszka, żony Jadwigi i syna Krzysztofa mieszkał tu również „Harnaś” (Staszek Wojciechowski). Poza wspomnianą skrytką w tapczanie była także skrytka na pistolety wykonana w parapecie okiennym.

(To że Zbyszek tak zręcznie podrabiał podpisy to oczywiście kwestia pewnej ręki autora wielu znakomitych rysunków artystycznych i architektonicznej precyzji.)

Takie były realia funkcjonowania elementów podziemnego państwa. Nocna praca, codzienne ryzyko, stałe napięcie.... Nastrój tamtego czasu dobrze oddają dwie kartki z malutkiego notatnika Zbyszka: na lewej porcje karmienia niemowlęcia w podanych porach, na prawej kilka liczb a dalej: *granat 17 zapalnik bez zwłoki z wzmocnioną sprężyną...*



Notatnik Zbyszka z roku 1940-go. Po lewej terminy i porcje karmienia niemowlaka – po prawej coś zupełnie innego – granat 17 zapalnik bez zwłoki ze wzmocnioną sprężyną ...



34. Por. Mieczysław Laskowski.



35. Por. Zbigniew Chwalibóg.



36. Jerzy Kotz.



37. Emilia Lewandowska.

Członkowie referatu legalizacji Okręgu Lwów („Wylot”)



„Madej” z rodziną w pejzażu Lwowa. Twarze przygaszone wojną



„Madej” z synem i „Harnaś”



Wojenny ślad

Pisząc ten odcinek historii rodziny dla przedstawienia historycznego tła oparłem się o następujące źródła:

1. Jerzy Węgierski: *Komendy lwowskiego Obszaru i Okręgu Armii Krajowej 1941-1944*.
2. Stanisław Pempel: *ZWZ-AK we Lwowie 1939-1945*.
3. Bolesław Tomaszewski, Jerzy Węgierski: *Lwowska AKa*.
4. Wikipedia: *Władysław Anders*.

Źródła rodzinne to teksty Józefy Chwalibogowem, Jadwigi Chwalibogowej, Marii Chwalibożanki, Maryny i Grzegorza Chwalibogów oraz Bogusławy Czech.

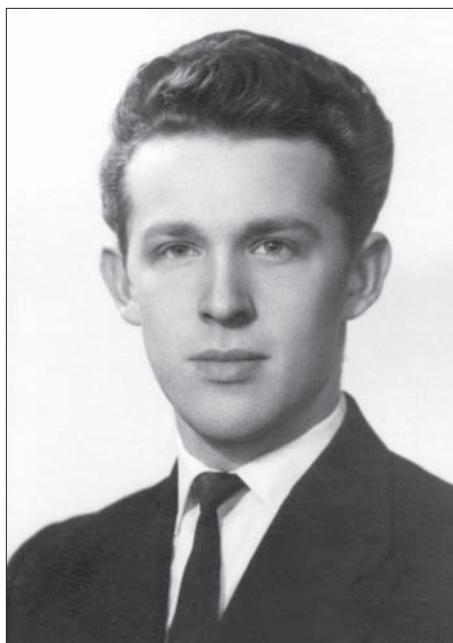
Zdjęcia: fot 3 i 4 z Wikipedii, pozostałe z archiwum domowego.



Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy (Wśród centusiów¹ – lata krakowskie)

1. Studia w Krakowie

Zgodnie z sugestią prof. Satoły zgłosiłem się na kierunek matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rodziny o tych zamierzeniach nie poinformowałem. Na egzaminy do Krakowa pojechałem wraz z Antkiem Faronem z Pożóg, który startował na Wyższą Szkołę Ekonomiczną. Ponieważ jeszcze w dniu wyjazdu ściągaaliśmy z bratem rój pszczele, a pora była deszczowa, ręce miałem tak pojądlone, że na egzaminie pisemnym z trudem trzymałem pióro. Sprawdziany pisemne jak również ustny egzamin z matematyki, przeszedłem bez specjalnych trudności. Pytania były na poziomie moich wiadomości. Problem powstał na egzaminie z fizyki. Przedemną odpowiadało trzech kandydatów. Materiał z którego byli pytani umiałem dobrze, natomiast kandydaci odpowiadali fatalnie. Pewny sukcesu śmiało podszedłem do egzaminu i wyciągnąłem pytania z dziedziny której zupełnie nie przerabiałem. Próbowałem coś mówić, z pewnością bredziłem bardziej niż moi poprzednicy. Salę opuściłem z uczuciami mieszanymi. Z jednej strony byłem przekonany, iż tym razem oblałem, z drugiej strony uświadomiłem sobie, że studia są w zakresie moich możliwości i jeśli się lepiej przygotuję, zdam. Po chwili refleksji i nabrania przekonania, iż następnym razem będzie lepiej, poszedłem do przewodniczącego Komisji Egzaminacyjnej z prośbą o papiery. Panowie przeglądnęli wyniki egzaminów, podyskutowali między sobą i poradzili mi, abym pojechał do domu i spokojnie czekał. Niezbyt zadowolony z powodu nieodzyskania dokumentów wróciłem do Łącka. W międzyczasie na wakacje przyjechał z seminarium brat. Jako jedynemu z rodziny przyznałem mu się o nieudanej próbie startu na studia. Brat, zgodnie z przyszłym zawodem, miał więcej wiary i poprosił Kazia Lipienia, który studiował już na Politechnice w Krakowie, aby sprawdził czy przypadkiem nie ma mnie na liście przyjętych. Kiedy za parę dni Kazik przysłał kartkę iż jestem i to na przyzwoitym miejscu, nie bardzo wierzyłem. Wątpliwości rozwiało mi dopiero oficjalne zawiadomienie.



Kandydat na studia

¹ Centusie (zwani też Krakusami) to osiadli nad Wisłą Szkoci których za skąpstwo wyrzucono z ojczyznej wyspy.

Na studia zostałem więc przyjęty. Należało zadbać o zabezpieczenie finansowe. Ponieważ dom wciąż nie miał możliwości łożenia na moje studia, wraz z bratem udaliśmy się do Dziadka aby poprosić Go o pomoc finansową na okres jednego roku. Brat kończył w następnym roku seminarium i przyrzekł, że będzie pokrywał dalsze koszty związane z moimi studiami. Dziadek wysłuchał prośby i politycznie odpowiedział „*niech se pozbiyro spady*”. Serca Dziadka nie wzruszył nawet fakt, iż na okoliczność tę brat ubrał sutannę, a droga przecież wiodła górami przez Sośnie i Parysz. Spadów nie poszliśmy oglądać. Z wizyty wracaliśmy w nastroju raczej minorowym. Do końca wakacji chwyciłem wszelkie możliwości zarobku, a ponieważ sady obrodziły, pracy nie brakowało. Wynajmowałem się głównie u pana Henryka Sopaty, który kupował owoce „na drzewie” a mnie zlecał obieranie. W ten sposób przed wyjazdem do Krakowa udało mi się zgromadzić trochę pieniędzy.

Po przyjeździe do Krakowa okazało się, iż przyznano mi zarówno akademik jak i stypendium, co całkowicie rozwiązywało moje problemy. Dotychczasowa niepewność finansowa obciążała mnie jednak psychicznie. Stąd obok nauki natychmiast podjąłem prace zarobkowe wykorzystując oferty studenckiej spółdzielni „Żaczek”. Prace to były różne: mycie okien, znoszenie węgla do piwnic, wyładowywanie wagonów, przewożenie na taczkach ziemniaków w austriackich fordach, które służyły wówczas za magazyny. Pod koniec roku przedsiębiorstwa państwowe zlecały też studentom przeróżne prace, od sprzątania do przenoszenia biur. Opłacani byliśmy za przepracowane godziny, a zlecający pracę często wpisywali nam parokrotnie większą ilość godzin. Zdarzyło się też iż wpisano nam godziny bez pracy. Był to dowód sympatii jaką wówczas wzbudzali jeszcze żacy, ale też świadectwo nienormalności panującego systemu. Po prostu urzędy musiały wydać w starym roku pieniądze ze stosownych paragrafów, wymyślano więc prace fikcyjne. Z fizycznych prac zarobkowych zrezygnowałem już na drugim roku studiów. Sytuację materialną miałem ustabilizowaną. Podczas wakacji, jeśli harmonogram moich obowiązków pozwalał, pracowałem jako likwidator PZU szkód powodziowych (w tym celu ukończyłem stosowny kurs). Działalność zarobkową w ciągu roku akademickiego ograniczyłem wyłącznie do korepetycji. Na polu tym dorobiłem się dość dobrej opinii.

Pełniąc rolę korepetytora-wychowawcy, zaprzyjaźniłem się z paroma krakowskimi rodzinami. Najczęściej bywałem jednak u państwa Perków. Ich syna, który był uczestnikiem obozu harcerskiego w Łącku, poznałem pasąc krowy w Łęgach. Był to jeszcze okres szkoły podstawowej. Pani Perkowa, harcmistrz z powołania, włączyła mnie w grupę swoich wychowanków harcerzy którym właściwie matkowała. (Wyrażam nieustającą wdzięczność!). Przyjaźń ta trwa do chwili obecnej. Z rodziną syna państwa Perków odwiedzamy się systematycznie, zarówno w Polsce jak i Włoszech. Uczestniczymy wzajemnie w rodzinnych imprezach. Nie przeszkadza nam nawet fakt iż aktualnie reprezentujemy różne opcje polityczne (On ma zdecydowanie przekonania prawicowe, ja bezpardonowo krytyczny do wszystkich działających ugrupowań²).

² Partie polityczne toczą swoją wojnę w którą potrafili wciągnąć naród. Im daje to władze, jedni nie mogą istnieć bez drugich. Niestety, dzieje się to ze szkodą dla kraju. Szczytem humoru są chętnie pobierający gaże w Brukseli przeciwnicy zjednoczonej Europy.

Wróćmy jednak na uniwersytet. Studia na pierwszym roku matematyki rozpoczęło sto dwadzieścia osób. Na ćwiczeniach koledzy rzucali terminologią i faktami o których nie miałem pojęcia. Wykłady z początku wydawały mi się czarną magią. Musiałem szybko nadrobić braki w mojej edukacji, dlatego też ostro zabrałem się do nauki. Niespodziewanie pomocą w tej akcji okazali się współlokatorzy z pokoju. Szybko odkryli że najlepszą rozrywką jest zabawa kosztem prowincjusza, którego los zesłał im do pokoju. Aby unikać z nimi kontaktu, do późnych godzin nocnych przesiadywałem w pokoju do nauki. Wraciałem, gdy towarzystwo już spało, starałem się wyjść, gdy jeszcze spało.

Efekty pracy pojawiły się już po pierwszym semestrze. Pamiętam ostatnie w pierwszym semestrze ćwiczenia z analizy matematycznej prowadzone przez dr B. Szafirskiego. Spokojnie czytał listę studentów. Przeważał komentarz: pan xx, nie mam żadnych uwag, brak zaliczenia. Od czasu do czasu słyszeliśmy: pan xx, długa lista uwag opisujących braki, po czym, zaliczono z oceną dostateczny, rzadko z oceną dobry. Wystraszony czekałem na moją kolej. Kiedy usłyszałem: nie mam żadnych uwag, zadrgałem z oburzenia. Co prawda, często nie umiałem odpowiedzieć, ale przecież parę razy coś w miarę rozsądnego zrobiłem. Dalszy ciąg wypowiedzi zamurował mnie całkowicie. Zaliczono z oceną bardzo dobry. Na moje wyczucie była to ocena na wyrost, jednak ze zrozumiałych powodów nie protestowałem. Prowadzący zajęcia oceniał widocznie nie tyle posiadane wiadomości, co zaangażowanie i predyspozycje do pokonywania trudności.

Z pozostałych przedmiotów korelacja ocen z posiadaną wiedzą była nieco bliższa stanu faktycznego. Okazało się, że zarówno wszystkie zaliczenia jak i egzaminy roku pierwszego zdałem terminowo. Co więcej, czułem że doszłusowałem do wymaganego poziomu. Świadomość ta pozwoliła mi już w następnym roku rzucić się w wir życia studenckiego. Reasumując, ze stu dwudziestu osób roku pierwszego, na rok drugi przeszło dwadzieścia siedem, w tym żadna z tych, które na początku imponowały nam znajomością terminologii i faktów o których jeszcze nie mieliśmy pojęcia. Pozostali tacy jak ja, którzy starali się uparczywie zrozumieć istotę przerabianego materiału, choć często ich wiedza była dość ograniczona,

Jedno z ciekawszych wydarzeń na początku moich studiów związane jest z moim Dziadkiem. Minęło około dwóch miesięcy od rozpoczęcia roku akademickiego. Siedząc w pokoju usłyszałem za drzwiami hałas. Po otwarciu drzwi zobaczyłem wszystkich naszych portierów, a na ich czele Dziadek w swoim wyjściowym stroju góralskim. Portierzy zostali na korytarzu, Dziadek wszedł do pokoju. Nie siadając zapytał: *A ty gdzie śpis?* Zgodnie z prawdą wskazałem górne łóżko piętrowe. Oglądając uważnie pokój, a następnie zapytał: *„Gdzie mos kuferecek?”* Na moją odpowiedź iż kufereka nie mam, pytał dalej: *„A co mos?”* Walizkę. *„No to pakuj se walizeckę”*. A dlaczego Dziadku, zapytałem. *„Jadomy do chałupy. To nie miejsce dlo ciebie”*. Moją zdecydowaną odpowiedź, że walizki nie spakuje i nigdzie nie pojedę, przyjął spokojnie. Co prawda nie usiadł, ale pozwolił się odprowadzić do autobusu. Zupełnie nie zdałem sobie wówczas sprawy, że od tego momentu mój status rodzinny uległ zmianie. Nie usłuchać Dziadka

– to w naszej rodzinie nie istniało. Uznany zostałem za zbuntowanego. Nie wyjaśniłem też (było mi to wówczas obojętne), czy przyjechał z własnej inicjatywy, czy raczej realizował decyzje Mamy i mojej ciotki, które pewno wolałyby mnie widzieć jeśli nie w domu, to w seminarium. Starszy brat w pewnym momencie przerwał naukę w seminarium i dostał się na Politechnikę Gdańską, ale pod wpływem perswazji Mamy i ciotki podjął na nowo studia teologiczne. W jego przypadku była to niewątpliwie decyzja słuszna.

W ciągu pierwszego roku zawarłem szereg nowych przyjaźni, a pod koniec roku zmieniłem również pokój. Spośród rozlicznych zajęć w które zacząłem się angażować, niewątpliwie na pierwszym miejscu była turystyka. Pod kierownictwem Janusza Śmiałka, kolegi z nowego pokoju, również Sądectzanina, współuczestniczyłem w organizowaniu rajdów turystycznych dla braci studenckiej. Wyjazdy na rajdy były dofinansowane przez ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich). Pomimo trudnych czasów i powojennej odbudowy, państwo o pewne aspekty życia społeczeństwa dbało. W trakcie rajdów często rozgrywaliśmy marsze na azymut z przeszkodami, tak zwane „sprawnościówki”. Jeśli azymut wskazywał przejście przez rzekę, nie wstrzymywały nas ani oblodzone spadziste brzegi, ani rwące strumienie, ani zamrożone jeszcze koryta często z pękającym lodem. Do legendy weszło forsowanie Dunajca z kruszącym się lodem. Była to zabawa wyjątkowa, świadczy o tym najlepiej fakt iż w późniejszych latach, przy przypadkowych spotkaniach z ich uczestnikami, natychmiast wracaliśmy wspomnieniami do tamtych czasów. O dobry humor bractwa studenckiego dbała Akademia Jeździectwa i Alpinizmu której miałem honor być prezesem. Zdjęcie poniżej wskazuje iż żywot prezesa nie zawsze był łatwy.

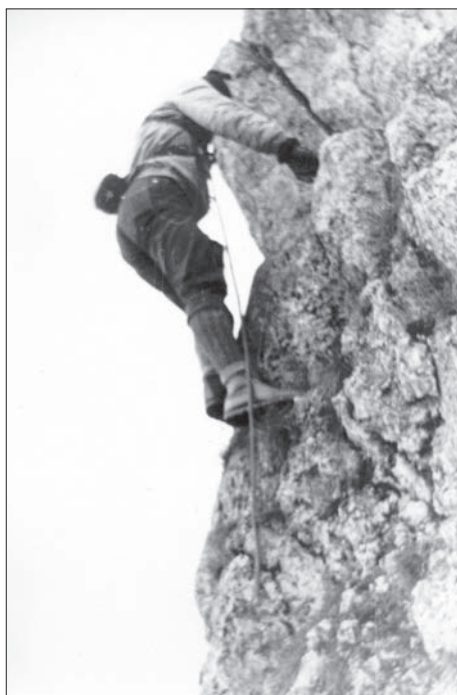


W akcji prezesa Akademii Jeździectwa...

Janusz zorganizował też kursy wspinaczki³. Choć był jednym z pierwszych kursantów, dość szybko wycofałem się. Wiszenie na skale nie wzbudzało mojego entuzjazmu. Wolałem wędrówki mniej wyuczynowe. Przyjaźń z Januszem jednak przetrwała. Odwiedzałem mnie później we Włoszech, a w czasie wakacji uatrakcyjniał nasze pobyty w Polsce, np. organizował spływy Dunajcem. Feralnej daty wspólnie spędziliśmy wieczór. Rano ja wyjechałem do Włoch, on na dyżur goprowski w Tatry, na którym niestety zginął. Wiadomość dotarła do mnie gdy było już po pogrzebie. Całe życie borykał się z problemami finansowo-mieszkaniowymi. Kiedy w końcu udało mu się stworzyć dobrze prosperującą firmę i wykończyć piękny dom, tragiczna śmierć ukradła Go rodzinie i licznemu gronu przyjaciół.

Byłem na drugim roku studiów, gdy organizowano wybory do władz ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich). Koledzy zaproponowali moją kandydaturę. W ramach kawału Maks Ciba (student astronomii) wywiesił na akademiku Rotunda olbrzymie hasło wyborcze: „*Jak cię boli sraka, głosuj na Myjaka*”. Próbowałem protestować, ale nie pozwolono mi zerwać plakatu. Wydarzenie to okazało się doskonałą lekcją poglądową znaczenia *public relation* oraz zasad panujących w polityce. Jako efekt tego billboardu otrzymałem przytłaczającą większość głosów. Zasłużeni kandydaci pozostali w tyle. Dla działaczy ZSP jak i władz uczelni (w owym czasie władze czuwały nad całokształtem życia studenckiego) powstał problem, co z tym fantem zrobić. W końcu zaproponowano mi abym został przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego UJ⁴. Jako pomoc prawną dano mi kolegę Gwidona Rysia, kończącego studia prawnicze.

Tak się złożyło, że niemal w tym samym czasie Krakowska Rada Okręgowa ZSP została zawieszona za nadużycia przez Radę Naczelną. Do oceny działalności zawieszonych Rady powołano specjalną komisję której przewodniczącym zostałem z urzędu. Rozpoczęło się żmudne przeglądanie dokumentów. Formalnie przewodniczyłem, ale nieocenioną pomoc techniczną dawał nam kolega Rysiak, którego mianowaliśmy wice-



...i Alpinizmu

³ Ze szkółki tej wywodzi się między innymi Michał Jagiełło, późniejszy Naczelnik GOPR, jak również wiceminister i dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie. Sam Janusz uzyskał pięciokrotnie rekordy światowe we wspinaczce jaskiniowej. Zginął na dyżurze goprowskim mając 57 lat. Specjalnie dla niego zlikwidowano przepis iż czynni ratownicy muszą mieć poniżej 55 lat.

⁴ Jest rzeczą zabawną iż do Sądu Koleżeńskiego „zsyłano” mnie dwukrotnie w czasie pracy na AGH, organowi podobnemu przewodniczyłem też podczas pracy we Włoszech. Jest to widać instytucja w której dekuje się ludzi z którymi niewiadomo co zrobić.



Janusz odprawia nasze rodziny na spływ Dunajcem

przewodniczącym komisji. W krótkim czasie doszliśmy do wniosku, że sprawą winna zająć się prokuratura. Stosowne sprawozdanie wysłaliśmy do Rady Naczelnej. Dalszy rozwój wypadków był wielce pouczający. Szefostwo z Rady Naczelnej przyjechało do Krakowa, aby za zamkniętymi drzwiami porozmawiać z zawieszonymi członkami krakowskimi. Oczywiście nas zupełnie zignorowano. W późniejszych latach bohaterów tej afery oglądałem czasami w telewizji z racji zajmowanych stanowisk. Znacznie mniej eksponowana była kariera (sprawiedliwego) Gwidona Rysiaka pomimo iż szybko zrobił doktorat (1963) i habilitację (1969). W latach 1981-1995 kierował Katedrą Prawa Międzynarodowego Publicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W telewizji nigdy jednak nie miałem okazji go oglądać, prawdopodobnie nie zajmował też eksponowanych stanowisk. Docierały do mnie tylko wieści o jego zaangażowanych wystąpieniach w Krakowskiej Kuźnicy (grupa partyjna krytycznie oceniająca politykę centrali).

Moja dalsza działalność w ZSP była równie urozmaicona. Musimy jednak wrócić wstecz. Wspomniałem, że zmieniłem pokój. Moi poprzedni współlokatorzy byli tak zajęci wymyślaniem psot pod moim adresem, iż poza Gieniem K. nie zaliczyli semestru i zostali relegowani z uczelni. Gieniu został przeniesiony do innego pokoju, gdzie z oprawcy stał się ofiarą. Zrozpaczony przeszedł z prośbą do mnie, abym przyjął go do naszego pokoju. Ponieważ aż tak miłosiernego serca nie mam, prośby pewno bym nie wysłuchał, gdyby nie asystujący rozmowie Janusz. Uparł się, że muszę okazać wielko-duszość zwłaszcza, że sam takie doświadczenia przeżyłem.

Tak więc Gieniu zamieszkał z nami. Początkowo wszystko biegło normalnie. Niedługo jednak w ramach swoich twórczych rozmyślań doszedł do wniosku, że dotykane wody jest niezgodne z prawami natury. Kiedy przebywanie w jednym pomieszcze-

niu stało się niemożliwe, Janusz postawił mu warunek. Kąpiel albo spanie za oknem (mieszkaliśmy na IV piętrze). Gieniu wybrał rozwiązanie drugie, które Januszowi studiującemu wówczas różne sposoby bytowania na skalnej ścianie, bardzo się spodobało. Zawiesiliśmy go więc na linach i Gieniu noc spędził spokojnie. Następnego wieczoru historia powtórzyła się, wodowstręt Gienia był wciąż silniejszy niż uciążliwość wiszenia na linach. Niestety, noc nie przebiegła już tak spokojnie. Nad ranem podjęto alarm pod hasłem „wisielec” (zgodnie z żeglarskim zwyczajem winno być raczej: „człowiek za oknem!”). Oczywiście sprawa została przekazana do Sądu Koleżeńkiego. Moim towarzyszom wydawało się iż będzie ciekawie jeśli główny oskarżony będzie równocześnie przewodniczył rozprawie. Gieniu złożył zeznania jakie mu zasugerowaliśmy. Tak więc akcja „wietrzeń” Gienia zostało przypisane mnie. Prorektor zajmujący się sprawami młodzieży wezwał mnie na rozmowę. Mojej propozycji pozostawienia zespołu sądzącego wciąż z niemyjącym się Gieniem, na okres 30 minut w zamkniętym pomieszczeniu, jako rzeczowego dowodu obrony, nie zaakceptował; stanął jednak na wysokości zadania i zaproponował rozwiązanie Salomonowe. Ja rezygnuję z funkcji przewodniczącego sądu, a władze uczelni umarzają sprawę. I tak zakończyłem karierę działacza ZSP.

Niespodziewanie były również pozytywne aspekty całej sprawy. Kiedy dwa lata później pojawiły się możliwości wyjazdów studentów za granicę, jako „zasłużony” działacz ZSP, na takie wyjazdy zostałem zakwalifikowany i to dwukrotnie (Soczi i Jugosławia). Pamiętano, że było o mnie głośno, zapomniano o co chodziło. Egzamin zdała kolejna zasada: „*nieważne jak mówią, byle mówili*”.

Ponieważ Januszowi pomysłów nie brakowało, afer w które byłem wmieszany było jeszcze sporo. Pomimo, iż w tym czasie byłem zdecydowanie pod wpływem Janusza, udało mi się również wygospodarować nieco czasu na inną działalność i rozrywki. Należał do nich kurs żeglarski oraz brydż. Moim partnerem brydżowym był Antoś Żmuda. Wspaniały oryginał. Opracował własną wersję otwarcia dwa trefl. Dzięki precyzyjnej licytacji na ogół udawało nam się ogrywać przeciwników, jak też poprawiać nasz budżet. Antoś był niezwykle zdolny i niezwykle wyluzowany. W ciągu sześciu lat udało mu się zaliczyć jeden rok fizyki. Miał zbyt wiele zainteresowań, wśród których na poczesnym miejscu była płeć nadobna. Gdy wyprowadzał się od kolejnej krakowianki, zwykle waletował⁵ w akademiku. Utrzymywał się między innymi z opracowywania dla kolegów sprawozdań z ćwiczeń laboratoryjnych, zwłaszcza gdy zainteresowanemu nie udało się uzyskać właściwych wyników pomiarów.

W czasie gdy byłem już asystentem, Antoś podjął decyzje uczciwego studiowania. Przypadkowo zgubił wyniki dokonanych pomiarów laboratoryjnych. Postanowił poprosić o pozwolenie powtórzenia pomiarów. Daremnie próbowałem przekonać go aby wykorzystał swoje wieloletnie doświadczenie sporządzania sprawozdań bez wykonanych pomiarów, tłumacząc iż żaden prowadzący ćwiczenia nie uwierzy że rzeczywiście zgubił wyniki. Był jednak nieugięty w realizacji podjętej decyzji „uczciwego studiowania”. W efekcie ćwiczeń laboratoryjnych nie zaliczył i został relegowany

⁵ *Walet*: Student mieszkający w akademiku bez zezwolenia. *Waletować*: mieszkac bez zezwolenia.

z uczelni. Kontakt z nim urwał mi się na wiele lat. Miałem nawet informacje iż nie żyje.

Parę lat temu przypadkowo dowiedziałem się, że ukończył matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, wyemigrował z kraju i zajmuje się bezpieczeństwem sieci elektronicznej IBM na Półkuli Południowej z siedzibą w Australii. Zdobyłem adres i wysłałem krótki e-mail: *dwa trefl*. Odpowiedź była serdeczna i długa. Nawiązaliśmy intensywny kontakt i ustaliliśmy siatkę spotkań. Zaplanowany wyjazd Antka do Włoch, uniemożliwiła mu operacja serca. Jego przyjazdy do Polski wyhamowała powódź, która zniszczyła odziedziczony przez niego dom w rodzinnym Sandomierzu (planował generalny remont). Mój wyjazd do Australii skasowało natomiast trzęsienie ziemi w L'Aquila. Na koniec warto dodać, iż w ramach przesuwania się działalności ekonomicznej do Azji, centrum w którym pracował Antoś obecnie zostało przeniesione do Indii, a on sam wylądował na emeryturze i chyba pozostanie w Australii. Pozostały mu wciąż szerokie zainteresowania. Niedawno przesłał mi interesujący elaborat dotyczący jego niebanalnych przemyśleń na temat religii.

Moje wyluzowane żakowskie życie trwało zaledwie rok, a zakończyło się po drugim roku studiów. Otóż prof. Mirosław Krzyżański po wakacjach uznał za swój obowiązek poinformowanie nas, iż w najbliższym czasie jedyna praca dla absolwentów matematyki to szkolnictwo średnie. Ponieważ perspektywa ta nie wzbudzała mojego entuzjazmu, zacząłem rozglądać się za innym kierunkiem studiów. Wybór mój padł na geodezję na AGH. Po prostu na tym kierunku było najwięcej matematyki, ponadto poznałem geodetów którzy w tym czasie zarabiali świetnie. Wybrałem się na rozmowę z dziekanem geodezji, aby omówić możliwość studiów równoległych. Usłyszałem jednak zdecydowaną odpowiedź odmowną. W tym momencie do dziekanatu wszedł prof. Stanisław Gołąb, znany krakowski matematyk, z którym miałem zajęcia. Usłyszawszy z czym przyszedłem, stwierdził „*ja go znam, on sobie radę da*”. Tak więc rozpocząłem studia równoległe na drugim fakultecie. Zajęć miałem dużo. Studiowałem intensywnie i na obu fakultetach należałem do stosunkowo nielicznej grupy studentów która zaliczała wszystkie przedmioty w przewidzianych terminach. Często jednak było to przygotowanie powierzchniowe. O obciążeniu psychicznym, którego wówczas nie byłem nawet świadomy, świadczy najlepiej fakt, iż przez wiele lat po zakończeniu studiów często budziłem się przerażony, iż pomiędzy kolejnymi egzaminami na jednej uczelni zapomniałem o egzaminie na drugiej. Oczywiście działalność nie związaną bezpośrednio ze studiami musiałem ograniczyć. W szczególności zupełnie przestałem grać w brydża. Ograniczyłem też wypadki na żagle. Pozostałem tylko przy intensywnym uprawianiu turystyki pieszej, jako podstawowej działalności wypoczynkowej. Natomiast dzięki terminowemu zdawaniu egzaminów, jak również wspomnianej poprzednio samowolnej rezygnacji z pracy na stanowisku pomocnika rolnego rodzinnego gospodarstwa, wakacje, poza obowiązkowymi praktykami geodezyjnymi, miałem wolne i mogłem swobodnie dedykować je zajęciom nie związanymi z nauką.

Z przeżyć, związanymi ze studiami matematycznymi, być może warto wspomnieć dwa egzaminy. Równania różniczkowe. Egzaminator prof. Ważewski, najważ-

niejszy wówczas matematyk krakowski. Zdaję wraz z koleżanką. Mamy wykazać pewien fakt. Zaczyna koleżanka, poprawnie, ale szybko się blokuje. Pałeczkę przejmuję ja i z zapalem zapisuję całą tablicę. Kiedy brakło już miejsca, uświadomiłem sobie, że prowadzone rozważania są błędne. Poinformowałem o tym egzaminatora. Polecił wyjaśnić popełnione błędy. Czasu straciliśmy sporo i pomimo iż było to pierwsze pytanie, egzaminator zabawę zakończył bez słowa. Po wyjściu na korytarz koleżanka szybko sprawdziła, iż wpisana ocena zmusza ją do powtórzenia egzaminu. Rozgoryczony niepowodzeniem zaglądnąłem do indeksu dopiero na drugi dzień aby ze zdumieniem odkryć, iż egzaminu powtarzać nie muszę, a uzyskana piątka podnosi moją średnią. Nie zawsze jednak było tak pięknie. Funkcje rzeczywiste. Do tego egzaminu byłem przygotowany bardzo solidnie⁶. Wykład był prowadzony w sposób trudny. W szczególności pewne fragmenty wykładu rozgryzłem prawdopodobnie jako jedyny na roku. Los chciał, że takiego fragmentu byłem pytany. Uzyskałem za ledwie trójkę. Kolega, któremu chwile wcześniej tłumaczyłem to przejście, otrzymał piątkę.

Muszę wyraźnie podkreślić, że życie żakowskie, a także sam Kraków wciągnął nas błyskawicznie. Akademik stał się naszym prawdziwym domem. Dość wspomnieć, że często, już w drugi dzień świąt moich łąckich kolegów ze studiów spotykałem w autobusie relacji Łącko – Kraków, którego trasa wiodła wówczas przez Nowy Sącz i Brzesko. Wracaliśmy natychmiast do Krakowa bo tam ciągle coś się działo. Kwitła wieloraka działalność, oczywiście ta na którą było przyzwolenie władz, zatem sportowa, turystyczna, kulturalna. Każdy mógł znaleźć coś zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Uważam, że zarówno życie studenckie we Włoszech, jak i w obecnej Polsce jest nieporównywalnie mniej urozmaicone. Byliśmy studentami na luzie. Państwo chcąc odciągnąć młodzież od polityki, a równocześnie przekupić, finansowało szereg imprez kulturalno-sportowych. Ze swej strony brać studencka na różne sposoby starała się urozmaicić szarą rzeczywistość dnia codziennego. W klubach studenckich oprócz tradycyjnych wieczorów tanecznych działały grupy zainteresowań. Na fali tej powstała piwnica Pod Baranami, klub Jaszczury, piwnica Pod Budą (tu występował z repertuarem góralskim w pewnym okresie Jędrzek Pawłowski, sąsiad z Czerńca, student WSR) i wiele innych. W takiej właśnie grupie, na terenie Rotundy, zaparcie trenował śpiew mój rówieśnik, aktywny wciąż w Krakowie Leszek Długosz. Niestety, piosenka jaką pomógł przygotować nam na konkurs piosenkarski na jedną ze wspomnianych poprzednio „sprawnościówek” zajęła ostatnie miejsce, co w klasyfikacji końcowej odebrało nam zwycięstwo. Jego muzyczne ucho do śpiewu, z naszego zespołu, dopuściło tylko indywidualnego wykonawcę. To w oczach jury nas zdyskwalifikowało, liczyło się wykonanie zbiorowe. Śledząc karierę Leszka, niemal ze sportowym zacięciem czytam w ostatnich latach pisane przez niego felietony w Dzienniku Polskim i ze wstydem wyznaje, iż nigdy nie udało mi się zrozumieć zawartych w nich myśli. Jedyne rozsądne tłumaczenie: niepowodzenie piosenki wywołało w mojej podświadomości uraz który tak się po latach objawia.

⁶ Przedmiot ten później wykładałem przez wiele lat. Napisałem również podręcznik.

Byliśmy ludźmi twardymi. O warunkach w internacie wspominałem w poprzednim odcinku. Również akademik przypominał raczej wojskowe koszary. Piętrowe żelazne łóżka, wygniecione materace, prymitywne zniszczone stoły i szafy. W zbiorowych łazienkach często brakowało ciepłej wody, a w wannach sypiali „waleci”. Aby znaleźć czystą ubikację nierzadko zwiedzałem cztery piętra. Należy jednak zaznaczyć, iż również tutaj z każdym rokiem następowała poprawa, a w ostatnim roku studiów, jako „zasłużony działacz” ZSP dostałem komfortową „dwójkę”, w nowo wybudowanym skrzydle akademika. Nasze zahartowanie widać też było w działalności turystycznej. Zaplanowanym wycieczkom nie przeszkadzały ani opady deszczu ani śniegu. Inny przykład naszej wytrzymałości. Lubek Pawłowski zakupił sobie motor, bodajże SHL-kę. Motorem tym przyjechał do Łącka, skąd zabrał mnie do Krakowa. Przez całą drogę, która wiodła przez Nowy Sącz i Brzesko, trzymałem w ręce walizkę wyładowaną wiktuałami i owocami. Podróż trwała parę godzin, ręka musiała wytrzymać.

Tymczasem w stosunkach Wschód-Zachód zaczęły zachodzić zmiany. Pojawiła się możliwość nie tylko wyjazdów do krajów bloku socjalistycznego, ale również w żelaznej kurtynie pokazały się furtki. Jedną z nich była wymiana studentów. Oczywiście chętnych było daleko więcej niż miejsc. Przy kwalifikacji liczyło się zaangażowanie w pracy społecznej i organizacyjnej. Dzięki wspomnianej działalności w Sądzie Koleżeńskim ZSP zostałem zakwalifikowany na wyjazd do Soczi, nad Morzem Czarnym. Już na pierwszym etapie w Kijowie uczestniczyłem w dość niezwykłym zdarzeniu. Wyjazdy turystyczne były właściwie wyjazdami handlowo-turystycznymi. Brać studentka była poinformowana raczej nieźle o tym co należało zabierać na handel. Informacje uzyskałem również ja. W deklaracji celnej zgodnie z prawdą wymieniłem posiadaną bieliznę damską. Celnik potraktował to humorystycznie, po czym pomógł mi wypełnić nową deklarację. Tego typu życzliwe traktowanie przez polskich celników spotkałem jeszcze wiele razy. Walczyli z handlem hurtowym, drobnym handlowym turystom często pomagali. Celnicy państw ościennych bywali bardziej rygorystyczni, a często złośliwi. Odnosnie Rosji wiadomo było, że cała obsługa hotelowa, począwszy od sprzętaczek, współpracowała ze służbami bezpieczeństwa i równocześnie zajmowała się drobnym handlem. Jeśli ilości nie były hurtowe, byli to kontrahenci najwygodniejsi i najbezpieczniejsi. Nasi koledzy wpadli jednak na lepszy pomysł. Na Chreszczatyku, głównej ulicy Kijowa, nawiązali kontakt z handlarzem, który sprytnie zwinął im cały towar. Los chciał iż następnego dnia przypadkowo spotkaliśmy go na mieście. Sprawna akcja i przy pomocy taksówki zawieźliśmy go do hotelu (porwanie w biały dzień!). Tam rozpoczęły się trudne pertraktacje poparte argumentacją fizyczną. Sytuacja humorystyczna i nerwowa, obie strony bowiem mocno bały się policji. Część strat udało się im jednak odzyskać. Ponieważ bezpośrednio nie byłem zainteresowany, mój udział ograniczył się do pomocy w porwaniu. Inny zabawny moment miał miejsce w Soczi. Na wieczorowej potańcówce muzyka zagrała kawałek zbliżony do twista. Grupą polską szurnęliśmy na parkiet. Po chwili prowadzący imprezę wodzirej wstrzymał muzykę i orzekł *„nasi tawariszczi iż Polshi pokazali kak tancowat nie*

⁷ Nasi towarzysze z Polski pokazali jak tańczyć nie należy.

nada⁷⁹”. Przechabawne są ścieżki ludzi. Parę lat później Zdzisek Denkowski⁸ ze stażu naukowego w Kijowie przywiózł mi zdjęcia z wycieczki w góry Kaukazu, którą zorganizowaliśmy podczas tego pobytu. Otrzymał je od poznanego tam Rosjanina, również adepta nauk matematycznych, który również był uczestnikiem naszej wyprawy. Zupełnie go nie skojarzyłem. Na jednym ze zdjęć występuję wraz z osiołkiem. Zwierze to widziałem wówczas po raz pierwszy, dlatego też koleżdy dołączyli wyjaśniający opis „Kaukaz, spotkanie krewniaków”.



Spotkanie krewniaków (Kaukaz, 1962)

Parę lat później ponownie znalazłem się nad Morzem Czarnym, tym razem w Picundzie. Gdy spacerowaliśmy nad morzem z olbrzymiej hali dobiegła nas twi-stowa melodia. Przypomniałem sobie taneczną historię z Soczi i znów w rozbawionej grupie wkroczyliśmy na parkiet aby ponownie usłyszeć słowa zakazu. Wyginaliśmy się dość długo zanim wodzirej zainteresował się nami. Następnie dobrą jeszcze chwilę nie mogliśmy doczekać się upragnionego „nie lzia”. Kiedy poza mną i moją partnerką reszta naszego towarzystwa straciła nadzieję i zrezygnowała, wodzirej wstrzymał muzykę i ... wręczył nam dyplom za zajęcie pierwszego miejsca. Duch zmian dotarł również do Związku Radzieckiego.

Po powrocie do Polski okazało się iż ZSP wysłała do Jugosławii grupę 10 działaczy, Kraków otrzymał jedno miejsce. Ktoś zrezygnował, ja paszport miałem gotowy, zaproponowano mi wyjazd. Oczywiście zgodziłem się. Pierwszy etap to obóz pod wojskowymi namiotami w Serbii. Rano budowaliśmy autostradę, po południu traktowano nas intensywną indoktrynacją ideologiczną. Polskę reprezentowały trzy grupy. Nasza,

⁸ Kolega ze studiów, profesor matematyki UJ



Entuzjazm budowy autostrady (Serbia, 1962)

Związku Młodzieży Socjalistycznej oraz Socjalistycznego Związku Młodzieży Wiejskiej. Oczywiście, ku zdumieniu pozostałych nacji, na każdy temat każda z naszych grup miała inne zdanie, co w warunkach ówczesnego komunizmu było niedopuszczalne. O ile warunki logistyczne jak i wyżywienie pozostawiały wiele do życzenia, sala konferencyjna była wyposażona świetnie. Ambasady zadbały też o odpowiednią ilość tłumaczy. Na 22 lipca ambasada polska dostarczyła nam pokaźnej ilości polskiej wódki, która wystarczyła do skutecznego zatrucia paru setek osób.

W ramach działalności sportowej zorganizowano turniej siatkówki. W naszej oraz w grupie ZMS-u byli całkiem dobrzy zawodnicy. Chociaż znali się wcześniej z rozgrywek krajowych, różnice ideologiczne były tak silne, że nie rozmawiali ze sobą. Byłem jedynym łącznikiem. Udało mi się zorganizować drużynę, której pomimo wyraźnie niższych umiejętności zostałem kapitanem. Rola najślabszego na boisku znudziła mi się. Któregoś dnia nie przyszedłem. Chłopcy oddali mecz walkowerem. To mnie zobligowało i w następnych meczach grałem. Ostatecznie zajęliśmy drugie miejsce. Bez mojego udziału niewątpliwie zajęlibyśmy pierwsze miejsce, nie można było jednak ich przekonać. Wspominam to głównie dlatego, że analogiczne mechanizmy działały wiele lat później, kiedy już we Włoszech pełniłem funkcje dyrektora Departamentu przez pięć kolejnych kadencji. Przepisy zezwalały tylko na dwie kadencje i tu również w pewnym momencie chciałem odejść.

Zarówno budowa autostrady jak i polityczne dyskusje nie wzbudzały mojego zainteresowania. Bratnią duszę znalazłem w jednym z działaczy ZMS-u, zajmującym zresztą w tej organizacji wysokie stanowisko. Kiedy inni udawali się do pracy, czy też na ideologiczne spory, my odwiedzaliśmy kolejną wioskę. Mój nowy przyjaciel, jak

przystało na działacza politycznego tamtej ery, przywiózł na handel koszule. Sympatyczni wieśniacy kupnem byli zainteresowani, przy czym, aby ułatwić negocjacje handlowe, jak też zdobyć wiadomości o byłym bratnim kraju (Tito wszedł już w konflikt z Moskwą), podejmowali nas gościnnie rakiją (ichniejszą śliwowicą) i kukurydzianymi podpłomykami. Poziom życia na wsi Jugosłowiańskiej był raczej skromny. Na przykład podstawowy posiłek przy pracach rolnych to był kukurydziany chleb zagryzany surową papryką. Ludzie byli jednak niezwykle życzliwi. Aby towaru starczyło na cały pobyt, musieliśmy ograniczyć wymianę. Na jednym wypadzie sprzedawaliśmy najwyżej dwie koszule. Na zakończenie handlowych wyczynów mój nowy przyjaciel w wiejskim sklepie teje miejscowości zakupił mi jako prezent koszulę noniron, krzyk mody w Polsce. Po pracy przy budowie „*autoput*” (autostrady) program wizyty przewidywał pobyt w Splitzie. Niestety, podczas naszego pobytu Split nawiedziło trzęsienie ziemi. Część turystyczna pobytu została zawieszona, w zamian w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na tydzień w Budapeszcie. Miasto to całkowicie mnie zauroczyło, a kiedy granice otwarły się szerzej, wracałem tam parokrotnie.

Podobny jak my stosunek do ideologicznych dysput miała grupa dziewcząt z Francji. Wspólnota poglądów bardzo nas zbliżyła. Aby z bliska przyjrzeć się realnemu socjalizmowi w następnym roku postanowiły przyjechać do Polski. Tak się też stało, a wzajemnych wizyt od tego czasu było wiele. Zawiązana przyjaźń trwa do chwili obecnej. Dokładnie zeszłego roku miałem przyjemność kolejny raz gościć w L'Aquila panie poznaną w Jugosławii w roku 1962, w przeszłym roku zamierzamy odwiedzić je ponownie we Francji.

I tak dobiłem ostatniego roku studiów matematycznych, na geodezji pozostały mi dwa lata. Kiedy rozdzielano tematy prac magisterskich byłem na geodezyjnej praktyce. Prof. Gołąb do którego przypisano mnie zaocznie, jako temat pracy zaproponował mi rozwinięcie jednej z jego młodzieńczych prac. Niemalże przeproszał mnie, iż z nadmiaru zajęć nie może mi nic poważniejszego wymyśleć. Na pierwszy rzut oka rzecz wydawała się prosta. W tym czasie niespodziewanie powstało duże zapotrzebowanie na matematyków. Pojawiła się też znaczna ilość wolnych stanowisk asystenckich na uczelniach. Prof. Krzyżański polecił mnie



Na podbój Budapesztu (1962)

swojemu znajomemu, prof. Burzyńskiemu, kierującemu katedrą matematyki na Wyższej Szkole Rolniczej. Zostałem zaproszony do domu prof. Burzyńskiego. Usadzono mnie na fotelu, na które były skierowane cztery źródła światła. Sam profesor siedział w cieniu. Rozmowa trwała ponad godzinę. Nazajutrz dowiedziałem się od prof. Krzyżańskiego, że zrobiłem bardzo dobre wrażenie i stanowisko jest moje. Ponieważ władze Wydziału Geodezji obiecały przyznać mi akademik oraz stypendium naukowe, a następnie zatrudnić, asystentura u Prof. Burzyńskiego – pomimo oryginalnego kolokwium – odpowiadało mi jako rozwiązanie czasowe. Rozmowa w domu Profesora, pomimo pozytywnego rezultatu, nie wzbudziła mojego zapału do głębszych więzów z WSR. Do akcji włączył się również prof. Opiał, który uważał, że skoro już nie na Uniwersytecie Jagiellońskim, to powinienem podjąć pracę na AGH. Wyższą Szkołę Rolniczą absolutnie wykluczył.

Pozostało tylko napisać pracę dyplomową. Tutaj napotkałem niespodziewane trudności. Próbowałem przekonsultować je z prof. Gołąbem, ten stwierdził jednak iż temat jest banalny i nie ma o czym mówić. Przygotowywał odczyt na zagraniczną konferencję i był zupełnie niedostępny. Ponieważ prof. Opiał wciąż naciskał abym zadeklarował się do pracy na AGH, w którymś momencie stwierdziłem iż sprawa jest właściwie bezprzedmiotowa, ponieważ nie jestem w stanie napisać pracy magisterskiej. Zaprosił mnie na konsultacje. Od wstępnego stwierdzenia „to przecież banalne”, po dwóch dniach nieustających rozważań podsumował, iż na tym etapie możliwości rozwiązania problemu będącego przedmiotem pracy raczej nie widać. Uszczęśliwiony chciałem wziąć nowy temat. Nie zgodził się, twierdząc że nie jest to moja wina, a oceny bardzo dobrej mieć nie muszę. Polecił mi opisać napotkane trudności i zgłosić się za dwa dni na obronę pracy magisterskiej. Termin podyktowany był wyjazdem prof. Gołąba. Przez te dwa dni zrehabilitowałem dotychczasowe przemyślenia i uzyskane rezultaty częściowe stworzyły całkiem przyzwoitą pracę. Kiedy zgłosiłem się na egzamin, decyzje były już podjęte. O pracę dyplomową w ogóle mnie nie zapytano. Dostałem jakieś formalne pytania i ocenę dobrą z pracy i bardzo dobrą końcową. (Smutna refleksja – kto w dzisiejszych czasach troszczy się o losy jednostek). W rzeczywistości praca dyplomowa zasługiwała również na ocenę bardzo dobry, ale byłem tak zadowolony z rozwiązania sytuacji, że nawet nie wspominałem iż mam ją gotową. Powstała potem plotka iż na obronie zamiast dysertacji przedstawiłem anty dysertacje. Oczywiście w tej sytuacji nie mogłem odmówić prof. Opiałowi i zadeklarowałem gotowość podjęcia pracy na AGH.

Prof. Górski, kierownik Katedry Matematyki II na AGH, gdzie miałem podjąć pracę, poinformował mnie iż zostanę zatrudniony od 1-go października. Złożyłem dokumenty i wraz z poznanymi w poprzednim roku w Jugosławii koleżankami z Francji, które dotarły do Polski, wyjechałem najpierw w góry (byliśmy też w Łącku), a następnie na Mazury. Po zakończonym tournée odtransportowałem towarzystwo na przejście do Czechosłowacji w Słonym i spokojnie zatrzymałem się u brata, który w tym czasie proboszczował w Lewinie Kłodzkim. Moje przyjaciółki po przekroczeniu granicy francuskiej w ramach dowcipu wysłały na mój przyszły

adres na AGH (lokum w Krakowie jeszcze nie miałem), piękną kolorową kartkę z bliźniaczkami w bocianim gnieździe (kolorowe widokówki były wówczas rarytasem). Ja spokojnie odpoczywałem w Lewinie, tymczasem w wyniku zamieszania biurokratycznego, do pracy zostałem przyjęty od 1 czerwca. W międzyczasie dotarła kartka Francuzek. Na kolejne zebrania Prof. Górski przychodził z tą kartką, wystawiał ją na widok publiczny, a przy wyczytywaniu mojego nazwiska informował iż nowy pracownik jeszcze nie dotarł, ale dotarła informacja o jego dorobku. Proponował też aby uznać moją obecność ze względu na czekające mnie wydatki. Niestety, część przyszłych kolegów informacje te potraktowała poważnie. Kiedy w końcu pokazałem się w pracy, opinie miałem już ugruntowaną, a na pocieszenie czteromiesięczne pobory. Jedni przyglądali mi się z niesmakiem, inni z zazdrością, nieliczni z sympatią (w tym prof. Górski). Żart ten nie pozostał bez wpływu na moje dalsze losy.



2. Pierwsze lata pracy

Zamartwiać się czasu nie miałem. Należało przygotować zajęcia, jak też kontynuować studia. Już w drugim roku pracy zlecono mi również wykłady. Zajęcia prowadziłem głównie na studiach wieczorowych. Był to okres kiedy pracujący ludzie doksztalcali się masowo. Przygotowanie ich często było dość marne, nadrabiali natomiast zapalem. Byli umotywowani. Po zakończeniu studiów mieli zapewniony awans. Zajęcia prowadziło się w bardzo przyjemnej atmosferze. Słuchacze wiedzy łaknęli. Nierzadko bywało iż byłem najmłodszym osobnikiem w sali. Pomimo iż byłem wymagającym, cieszyłem się raczej dobrą opinią i chyba sympatią przynajmniej części moich studentów.

Studia na Geodezji przebiegały spokojnie. Warte może odnotowania są następujące dwa zdarzenia, które zdecydowały że na geodezji nie podjąłem pracy. Ze względów czasowych nie dałem rady uczęszczać na wszystkie wykłady, a egzaminy z zajęć na których nie mogłem być obecny przygotowywałem korzystając ze świetnie prowadzonych notatek kolegi Jasia Leśniaka. Przedmiotem na który nie dałem rady uczęszczać była również Geodezja Wyższa, pomimo iż planowałem wówczas pracować w tym właśnie kierunku. W dniu egzaminu zgodnie z umową przyszedłem po notatki. Ponieważ Jaś Leśniak czekał jeszcze w kolejce na egzamin, wszedłem do sąsiedniego

pokoju, gdzie mój kolega Władzio Góral, absolwent studiów astronomicznych, podjął już pracę jako asystent. Przez otwarte drzwi zauważyłem koleżankę która zdawała egzamin siedząc na kolanach egzaminatora. Przypomniałem sobie krążącą powiastkę, że następna osoba zdaje wówczas na piątkę. Błyskawiczna decyzja i pomimo braku przygotowania wszedłem na egzamin bocznymi drzwiami. Po chwili wyszedłem z piątką w indeksie oraz mocnym postanowieniem, iż w tej katedrze pracować nie będę. Egzaminator był kierownikiem katedry, a sytuacja w której uczestniczyłem przekraczała skalę mojej tolerancji.

Drugą specjalnością geodezyjną, gdzie mogłem wykorzystać wiedzę matematyczną pozostał rachunek wyrównawczy. Z przeprowadzonych wcześniej rozmów wynikało że katedra prowadząca rachunek wyrównawczy jest zainteresowana zatrudnieniem mnie. Zacząłem przygotowywać się merytorycznie do pracy w tym kierunku. W tym celu zapoznałem się z rachunkiem krakowianów oraz algebrą jądrową, czyli dziedzinami które mogły być tutaj wykorzystane. Studiowanie stosownych monografii zabrało mi sporo czasu. Oczywiście przedmioty te nie były w programie studiów. W programie były natomiast ćwiczenia rachunkowe, bardzo zresztą elementarne. Rzuciłem pobieżnie okiem na podręcznik z tego zakresu i poszedłem zaliczyć ćwiczenia. Dostałem proste zadanie, ale w użyciu algorytmu obliczeniowego zablokowałem się. Wyszedłem, ponownie zaglądnąłem do podręcznika, zobaczyłem miejsce którego nie umiałem przejść, stwierdziłem, że jest to banalne i nie warto tracić czasu. Przeliczeń do końca nie zrobiłem i po paru dniach ponowiłem próbę zaliczenia. Sytuacja się powtórzyła. Wówczas już zrobiłem wszystkie rachunki i bezproblemowo zaliczenie uzyskałem. Propozycji pracy jednak mi nie ponowiono, ja również, zawstydzony tą wpadką, nie zapytałem czy oferta jest aktualna. Ponieważ inne propozycje z geodezji nie rokowały wykorzystania mojej matematycznej wiedzy (np. prof. Skawiny z Katedry Gleboznawstwa), po uzyskaniu dyplomu z geodezji, pozostałem dalej w katedrze matematyki. Z perspektywy czasu uważam iż stało się dobrze. Podstawowy rezultat studiów na geodezji, to przyjazne stosunki z geodetami, również zajmującymi się rachunkiem wyrównawczym. Prawdopodobnie studiom tym zawdzięczam pewną łatwość porozumiewania się z inżynierami, co niejednokrotnie uzmysławiano mi zarówno w Polsce jak i we Włoszech. Można jednak wątpić czy efekt ten wart był pięciu lat studiów.

Bodajże w drugim roku pracy po raz pierwszy zapoznałem się z sytuacją „persona non grata”. Stan ten powtórzył się w mojej karierze parokrotnie. W pewnym momencie grupa panien stanu wolnego, a wieku balzakowskiego wykryła, iż straciłem głowę dla jednej z młodszych członkiń tej grupy, co usilnie usiłowała mi uświadomić. Dla spokoju potwierdzałem, że dziewczyna owszem miła i oczywiście nie wykazywałem żadnej inicjatywy. Nieroztropnie przyjąłem jednak zaproszenie na prywatne spotkanie pracowników katedry. Na miejscu okazało się że towarzystwo składało się wyłącznie z owej koleżanki. Kiedy sytuacja zaczynała być gorąca, tchórzliwie uciekłem przez okno (mieszkanie na szczęście było na parterze). Na zewnątrz siąpił zimny deszcz, a parasol pozostał w przedpokoju gościnnego domu. Ucieczka zakończyła się

grypą. Kiedy po wyleczeniu pojawiłem się w pracy, cała katedra wiedziała że jestem wrednym uwodzicielem i wyzyskiwaczem niewinnych dziewcząt. Nie wzbudzającym wątpliwości dowodem mojej rozwiązłej moralności była wspomniana poprzednio kartka od Francuzek. Ponieważ historyczne ataki powtarzały się na kolejnych zebraniach, zastępujący prof. Górskiego (był na rocznym pobycie w Stanach) doc. F. Bierski zażądał, abym z oczywistych powodów odszedł z pracy. W raczej burzliwej rozmowie zaproponowałem aby mnie zwolnił, a dalszą rozmowę będziemy kontynuować w sądzie. Zwolnienia ani wyjaśnienia owych „oczywistych powodów” nie dostałem. Zrozumiałem jednak że prawda i słuszność nie wiele znaczą, jeśli większość jest przeciwko. Znacznie później dowiedziałem się, iż równocześnie dwie panie (studentka i owa koleżanka) znalazły się w błogosławionym stanie⁹. Z braku legalności bigamii sprawca (również pracownik katedry) za żonę mógł pojąć tylko jedną, dla drugiej trzeba było znaleźć i męża i ojca (kawalerzy, bądźcie zawsze nieufni gdy próbują was czarować!).

Z Bierskim na ten temat nigdy nie rozmawiałem. W późniejszym okresie często z własnej inicjatywy z zaangażowaniem dbał o moje interesy. Co więcej, kiedy reprezentowaliśmy różne stanowiska zwykle ustępował, pomimo wyższej pozycji służbowej. Podejrzewam, że z czasem zrodziło się w nim podejrzenie czy rzeczywiście „ofiara” miała racje i starał się zrehabilitować (druga nauka, trudne sytuacje należy bez paniki i rozpaczy przeczekać!). Na razie opinia sympatyzowała z „pokrzywdzoną” dziewczyną, a na mnie nieprzyjaźnie spoglądała nawet męska część zespołu. Mnie pozostawało milczeć i zajmować się swoimi sprawami zgodnie z góralską zasadą: „*kuferecek se zamykaj, a swoje se myśl*”. Właściwie specjalnego żalu do kandydata na biologicznego tatę mojego ewentualnego potomka (ostatecznie do urodzenia nie doszło) nigdy nie czułem. W jakimś sensie zostałem dowartościowany. Starannie jednak unikałem zarówno konfliktów jak i stosunków przyjacielskich, przewidując schodząc z linii ciosu. Kolega źle to jednak odbierał i jako członek dyrekcji w dużej mierze przyczynił się później do mojego wyjazdu z Polski. W ramach humorystycznych meandrów życia, po powrocie do Polski byłem jednym z nielicznych, którzy próbowali go bronić, kiedy koledzy zmęczeni jego awanturniczymi wyczynami rugowali go z wydziału. Po prostu uważałem że konflikt nikomu nie służy.

W 1969 r. powołano na uczelni Międzyuczelnianą Katedrę Modelowania Procesów Technologicznych. Jej organizator pan Docent uzyskał od rektora prawo doboru pracowników. Wśród wytypowanych byłem również ja. Myślę, że warto parę słów poświęcić organizatorowi katedry, człowiekowi oryginalnemu który miał pecha działać w niewłaściwym czasie. Otóż miał on niezwykły talent menadżerski przy zupełnym braku zdolności prowadzenia badań naukowych. Ze względu na poziom publikacji był przedmiotem powszechnych żartów, a jego talent organizacyjny zaledwie pozwalał mu w tym systemie przetrwać. Opinie taką przejąłem również ja, chociaż dość szybko wytworzył się między nami nieuzgodniony pakt o wzajemnej nieagresji. Był jednym z nielicznych ludzi który widział we mnie potencjał naukowy. Niestety, do-

⁹ Należy zaznaczyć, że źródło informacji było średnio wiarygodne, treść wyjaśniała jednak zajadłość ataku, stąd dałem mu wiarę.

piero wiele lat później zrozumiałem, że zdolności menadżerskie są często cenniejsze niż zdolność do badań naukowych. Pan Docent zwykle zabierał mnie na rozmowy z przedstawicielami przemysłu, podczas których odnośnie kwestii merytorycznych zdarzało mu się wygłaszać niesłychane nonsensy. Próbowałem to jakoś ratować, ale w dziedzinie zastosowań również moje umiejętności były niewielkie.

Za brak szacunku i zarozumiałość poniosłem zasłużoną karę. Po uzyskaniu przeze mnie doktoratu pan Docent jako szef katedry chciał wystąpić o nagrodę Ministra. Ponieważ również UJ poinformował mnie, że zamierza wystąpić, mimo namowy wybrałem UJ. Poważniejsza uczelnia. Nagrody nie dostałem bowiem stosowne biuro nie wysłało na czas dokumentacji. Podobnie stało się po uzyskaniu habilitacji. W czasie gdy takie nagrody dostawali wszyscy już za sam fakt przygotowania pracy, mnie udało się w obu przypadkach nie uzyskać nagród za prace dobre. Swoisty rekord, ale wina była moja. Wnioski wyciągnąłem i podobnych błędów w dalszej karierze starałem się unikać.

Z okresu pracy w Katedrze Modelowania warte odnotowania jest następujące humorystyczne wydarzenie. Rozpoczynająca u nas pracę młoda asystenta podpadła panu Docentowi. Postanowił ją wyrzucić z pracy. Ponieważ umowa przyjęcia mówiła o okresie dłuższym, należało zgodnie z obowiązującymi normami, przeprowadzić publiczną ocenę mającą potwierdzić nieprzydatność delikwentki na zajmowanym stanowisku. O obronę ocenianej poprosił mnie jeden z kolegów, którego uważaliśmy za jej chłopaka. Postanowiłem pomóc. Zgodnie z wymogami sztuki, krytykę zabierających wcześniej głos poparłem w całej rozciągłości, dorzuciłem swoją, po czym ze smutkiem przyznałem się do winy, była koleżanką, prowadziła u mnie zajęcia, a ja nie zauważyłem jej błędów. Do prośby o wyrozumiałość (dla mnie) dołączyłem prośbę o możliwość rehabilitacji. Tak sformułowana samokrytyka musiała dać pozytywny rezultat. Po zebraniu wziąłem do swojego pokoju uradowaną parę i stwierdziłem że mają sześć miesięcy na zawarcie związku. W przeciwnym razie biedna dziewczyna będzie musiała wyjść za mnie. O zdarzeniu zapomniałem. Pewnego dnia otwarły się drzwi mego gabinetu, a wsunięta głowa dziewczęcia zimnym głosem stwierdziła „Józek, minęło sześć miesięcy”. Faktów zupełnie nie skojarzyłem. Zrozumiałem dopiero, kiedy dziewczyna zaczęła wygłaszać o mnie mało pochlebne opinie. Na kolejne zebranie na którym ponownie omawiano postępy koleżanki politycznie nie przyszedłem. Pomimo zmiany katedry, bohaterka afery przez długi okres czasu nie pominęła żadnej okazji aby coś negatywnego na mój temat wygłosić. Panu Docentowi jak i krytykującym ją kolegom darowała nawet fakt konieczności zmiany pracy. Mnie nie wybaczyła i słusznie. Po co pomagałem.

Oprócz studiów wieczorowych Uczelnia organizowała dla pracujących studentów punkty konsultacyjne. Zajęcia takie prowadziłem w różnych punktach, przy czym najdłużej w punkcie przy Koneckich Zakładach Odlewniczych w Końskich oraz w Warszawie przy Hucie Warszawa. Zakłady te uhonorowały mnie swoimi złotymi odznakami zasłużonego. Odznaki te uwalniały od kontroli przy opuszczeniu zakładu. Ponieważ w tym okresie wynoszenie dóbr z zakładów pracy było praktyką nagminną,

zartowałem iż dostałem legalne zezwolenie na kradzież. Ważniejsze niż odznaczenia było dla mnie poznanie ludzi kierujących tymi zakładami. Niektóre z tych znajomości przerodziły się w długoletnie przyjaźnie. Wbrew wyrażanym dzisiaj często beztróskim opiniom, iż kadry kierownicze w okresie socjalizmu realnego były mało wartościowe, uważam, że często byli to zaangażowani pracownicy, znający się na swojej pracy, dla których dobro zakładu było istotne.

Do punktu konsultacyjnego w Końskich jeździłem ponad dziesięć lat, do Warszawy ponad piętnaście. Oba punkty były organizowane przez Wydział Metalurgii. W pierwszych latach na wyjazdy bliższe (np. Gliwice, Katowice, Końskie, Kielce) mieliśmy do dyspozycji samochody służbowe. Później korzystaliśmy ze środków publicznych lub własnych. Do Warszawy jeździliśmy natomiast pociągiem, niekiedy lataliśmy samolotem. Noclegi rezerwowano nam w centralnych hotelach Warszawy (MDM, Dom Chłopa, Metropol, Hotel Saski), które uważane były wówczas za najlepsze. Później, kiedy hotele zaczęły drożeć, Huta Warszawa przydzieliła nam mieszkania służbowe na terenie Zespołu Szkół przy Hucie Warszawa, gdzie prowadziliśmy zajęcia. Również w Końskich dysponowaliśmy mieszkaniami służbowymi. Pomimo stosunkowo niskich zarobków w jakimś sensie byliśmy grupą uprzywilejowaną. Ponieważ na wyjazdy dobieraliśmy się w gronie przyjaciół, pozostały mi z tego okresu wspomnienia bardzo przyjemne, chociaż obciążenie dydaktyczne na wyjazdach było zwykle wysokie. W nagrodę zaliczaliśmy okoliczne zabytki, ośrodki wypoczynkowe i restauracje. Przyjemne też były nocne rozmowy rodaków. Oczywiście przeważały tematy polityczne, a opinie wyrażaliśmy swobodnie, niezależnie od tego, że niektórzy z kolegów byli członkami partii. W stosunkach towarzyskich to nie przeszkadzało. Liczył się człowiek. Niemal obowiązkowo do kolacji musiała być herbata z łąką śliwowicą, a obowiązek zaopatrzeniowca spoczywał na mnie. Pewno dzięki śliwownicy koledzy starali się abym każdego roku jeździł z nimi do wspomnianych punktów konsultacyjnych, a próby zmiany obsady zajęć przez kolejne dyrekcje Instytutu Matematyki (kiedy powstał przeniesiono do niego Katedrę Modelowania przemianowaną na zakład) napotykały zdecydowany opór władz Wydziału Metalurgii.

Kieleckie, w szczególności Końskie, było politycznym zapleczem towarzysza generała Moczara, z okresu partyzantki „Mietka”. On dbał o rozwój tych ziem, on też patronował powstającym ośrodkom kształcenia. Oprócz punktów konsultacyjnych w Kielcach i Radomiu (oba z czasem przerodziły się w odrębne uczelnie), powstał również punkt konsultacyjny przy Koneckich Zakładach Odlewniczych w Końskich. Były to dawne tereny rolnicze, gdzie nie istniała kultura robotnicza. Miało to szereg negatywnych aspektów, np. nieodpowiedzialne niszczenie maszyn, brak niezbędnej dyscypliny pracy, wzajemne robienie sobie na złość często z poważnymi stratami dla zakładu. Tam gdzie istnieje ukształtowana klasa robotnicza, akty tego typu wandalizmu czy raczej nieodpowiedzialności, zdarzają się nieporównywalnie rzadziej. Po prostu konflikty rozgrywają się na innym terenie, środki produkcji są szanowane. Do czasów w których miałem z tymi zakładami kontakty, produkcja wciąż nie mogła osiągnąć wymaganego poziomu.

Towarzyszące tym zajęciom wydarzenia były bardzo pouczające. Zdarzało się że w czasie zajęć na salę wkraczał jakiś osobnik. Bez kontaktowania się ze mną informował studentów iż zajęcia zostają odwołane, a na moje pytające spojrzenia wyjaśniał „mam za zadanie towarzysza wykładowcę dostarczyć”. Za pierwszym razem doznałem uczucia wyraźnej niepewności. Później wiadomo było iż zostaniemy dowiezieni na kolejne przyjęcie lokalnego establishment partyjnego, zwykle przy udziale warszawskich przedstawicieli ekipy Moczara. Możliwość odmówienia nie istniała. Atmosfera tych spotkań była specyficzna. Wódka lała się strumieniami, działacze lokalni mogli zabierać głos tylko za zezwoleniem towarzysza sekretarza. On też odbierał głos, gdy któryś towarzysz w pijackim transie „*linju nie dierzał*”, czyli przestawał trzymać właściwy kierunek. Często wystarczało tylko wymowne spojrzenie, a niedokończone słowo więzło mówcy w gardle. Zrozumiałem wówczas co oznaczają stwierdzenia „połknąć własne słowa” czy „udusić się własnym słowem”.

O kondycje fizyczną uczestników dbał często powtarzający się toast „zdrowie towarzysza Mietka”, który obowiązkowo należało wypić na stojąco. Uwielbiałem go wznosić kiedy towarzystwo miało problemy z utrzymaniem się na nogach. Ja z kondycją nie miałem problemu. Kiedy uczestnicy mieli już w czubie, kieliszek spokojnie można było uzupełniać wodą. W tym świecie podejrzenie o takie „świętokradztwo” nie wchodziło w rachubę. Sam towarzysz Mietek na przyjęciach tych nigdy się nie zmateriałizował. Zwykle zastępował go towarzysz dyrektor Stręk.

Oczywiście tytuł „towarzysz” był zwrotem obowiązującym (towarzysz dyrektor, towarzysz wykładowca, towarzysz sekretarz, towarzysz z pospólstwa). Dla tamtejszego środowiska było oczywiste iż jesteśmy partyjni. Należy dodać, że w Krakowie poza oficjalnymi spotkaniami partyjnymi powszechnie przyjęty był termin pan. Tak też na gruncie neutralnym często zwracali się do siebie również partyjni. Czytelnikowi nie pamiętającemu tamtych czasów może wydać się to obserwacją banalną, w rzeczywistości była to istotna cecha Krakowa. Miasto to na swój sposób broniło się przed całkowitą komunizacją¹⁰. Kraków to był zupełnie inny świat.

Pamiętam że po jednym z pierwszych „twardych” przyjęć które przeciągnęło się do godzin rannych, na drugi dzień siedzieliśmy skacowani w Hotelu Centralnym w Kielcach z Prof. Różańskim, majorem AK, byłym dziekanem Wydziału Metalurgicznego. Jako bezpartyjny był właściwie poza układem władzy, dzięki towarzyskiemu charakterowi jak też praktycznej wiedzy w zakresie metalurgii, postrzegano Go bardzo pozytywnie¹¹. W pewnym momencie Profesor zadał pytanie: „*Panie Józiu, to pan jest partyjny?*”. Następuje dialog: „*Podobnie jak Pan*”. „*Ale ja nie jestem*”. „*Ja również nie*”. „*Panie Józiu, tośmy dali popalić*”.

¹⁰ Kraków w oczach władz uchodził za środowisko opozycyjno-burżuazyjne. Przez długie lata nie było tu żadnych inwestycji. Ekonomicznie podupadł. Aby rozłżyć krakowską mentalność, wbrew rozsądkowi ekonomicznemu zbudowano Hutę Lenina. „Konserwie Krakowa” chciano przeciwstawić „uświadomioną klasę robotniczą”. Stąd przez długie lata między miastem a Hutą panowała odczuwalna niechęć. Wypada dodać że ośrodkiem późniejszych rozruchów przeciw ustrojowi – zgodnie z prawami socjologii – zostało nie miasto, a Huta.

¹¹ Dość wspomnieć ilość odznaczeń, wśród których oprócz Virtuti Militari i szeregu odznaczeń państwowych i resortowych był Krzyż Oficerski OOP oraz Krzyż Komandorski z Gwiazdą.

Początek moich wyjazdów do Warszawy był również zabawny. Otóż po wojnie, studia były dwustopniowe, cztery lata inżynierskie, dwa lata magisterium. Ze względu na potrzeby rynku pracy absolwenci studiów inżynierskich często podejmowali natychmiast pracę. Wielu z nich porobiło zawodowe kariery i zaczęło odczuwać chęć uzyskania magisterium. Naprzeciw tym oczekiwaniom wyszła Akademia Górniczo-Hutnicza, która przy Hucie Warszawa postanowiła zorganizować dwuletnie studia magisterskie, przekształcone później w regularne studia wieczorowe dla pracujących. Organizacje zlecono doc. Janowskiemu, który swoje talenty organizacyjne wykażał przewodnicząc wspomnianej Młodzieżowej Radzie Wydziału. Ponieważ byli to w znacznym procencie urzędnicy ministerialni (w szczególności były wiceminister, były wiceprzewodniczący Komitetu Pracy i Płacy, trzech urzędujących dyrektorów departamentów Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego, paru kierowników wydziałów ministerialnych, byli i aktualni dyrektorzy zakładów przemysłowych), na uczelni rozpoczęła się walka o możliwość prowadzenia zajęć w powstającym punkcie.

W gronie ubiegających nie brakło też upolitycznionych matematyków. Doc. Janowski zaproponował do prowadzenia zajęć mnie. Niewątpliwie chodziło mu o człowieka odpowiedzialnego, a nie będącego konkurentem w walce o wpływy. Ponieważ z jednej strony na drabinie społecznej byłem zbyt nisko aby takie środowisko mogło mieć dla mnie znaczenie, z drugiej zaś chciałem poważnie zaangażować się do pracy nad doktoratem, odmówiłem. Pamiętam iż w piątek zostałem wezwany do rektora Anioły (pierwszego dyrektora Nowej Huty), który był bardzo konkretny: „*Panie magistrze, podobno odmawia pan prowadzenia zajęć. Jutro po południu jest pan w Warszawie. Bilety i rezerwacje hotelu za godzinę dostarczy panu sekretarka doc. Janowskiego*”. Widząc, że coś zamierzam wykrztusić, nie dopuszczając mnie do słowa dorzucił. „*Jeśli ma pan inne zdanie, w poniedziałek proszę do pracy nie przychodzić. Żegnam*”. Oczywiście zajęcia odbyłem, a z rektorem Aniołą miałem chyba tylko to jedno spotkanie, na którym z zresztą nie wygłosiłem żadnego zdania. Nie przewidywałem wówczas, że nawiązane dzięki tym wyjazdom kontakty staną się nieocenionym źródłem wiedzy o panujących metodach sprawowania władzy w ówczesnej rzeczywistości.

3. Romans z wojskiem

W Polskiej tradycji dwie instytucje cieszyły się zawsze olbrzymim autorytetem; Kościół i wojsko. We wspomnieniach które mają być w miarę kompleksowe nie może więc braknąć wzmianek dotyczących tych struktur. Od razu muszę wyznaczyć, że wojsko wspominam bardzo dobrze. Początkowo jako dostarczyciela wielu komicznych sytuacji. Później, kiedy miałem okazję lepiej poznać kastę oficerską, czy to jako studentów na studiach wieczorowych, czy też jako kolegów (w latach 1966-1968 prowadziłem zajęcia w Wyższej Oficerskiej Szkole Wojsk Chemicznych w Krakowie), nabrałem do tej kategorii głębokiego szacunku. Spotkałem tu wielu ludzi odpowiedzialnych, niezwykle patriotycznie nastawionych do kraju, przy tym niepozbawionych humoru i radości życia.

Należałem jeszcze do pokolenia studentów którzy jeden dzień tygodnia mieli przeznaczony na służbę wojskową. Mundury polowe trzymaliśmy w domu, buty wydawano nam tylko na dzień służby w Studium Wojskowym, które mieściło się na zapleczu Collegium Novum UJ. Ponieważ wojsko miało problemy z utemperowaniem studentów Akademii Artystycznej, na zajęcia wojskowe dołączono ich do Wydziału Matematyczno-Fizycznego UJ. Liczono że oschłe umysły matematyczno-fizyczne zreflektują artystyczną „nieodpowiedzialność”. Rozumowanie poprawne z drobną poprawką, to artyści wpłynęli na rozwój poczucia humoru adeptów nauk ścisłych. Oni trenowali zdolność rozbawiania publiczności, my staraliśmy się być nie tylko widzami ale i współuczestnikami.

Zacznijmy od niewinnego przykładu. Był to jeszcze okres, kiedy obok musztry wiele czasu poświęcano na ćwiczenia typu: powstań, padnij, biegiem!. Podczas takiej zabawy szeregowy Pałka, adept sztuk aktorskich, swoim już dorodnym brzuchem padł w upatrzoną sporą kałużę z takim zapalem, że bryzgi błota gęsto pokryły stojących w pobliżu oficerów. Kiedy dobroduszny major Bednarski w odruchu współczucia nachylił się nad leżącym, ten ubłoconą ręką schwytał go za mundur mówiąc z pretensją „*a wy macie guzik niezapięty*”. Jednym z podstawowych zadań kadry oficerskiej było dopilnowanie abyśmy byli starannie ubrani, my ze swej strony wkładaliśmy sporo wysiłku aby wyglądać jak patałachy. Nie unikano też humoru politycznego. Na zajęcia ideologiczne nasi koledzy przygotowywali się czasem niezwykle starannie, cytując na przykład fragmenty encyklik papieskich czy też klasyków marksizmu, które stały w jawnej sprzeczności z treścią prowadzonych szkoleń politycznych (co do oryginalności cytatów mam uzasadnione wątpliwości). Zabierający głos powoływali się przy tym na stosowne paragrafy konstytucji. Szczytowym osiągnięciem było sformułowania pytania na które prowadzący nie był w stanie odpowiedzieć, na przykład niezwykle głupiego. Należy podkreślić, że żadnych poważniejszych konsekwencji nikt nie poniósł. Kadra nauczająca widocznie też miała poczucie humoru ukrywając go za marsową miną, sążnistym wojskowym językiem czy też stwierdzeniami typu: „*studentenci, tu nie uniwersytet, tu trzeba myśleć*”.

Szkolenie wojskowe kończyło się dwumiesięcznym poligonem. Parę dni zajęć przeznaczonych było na forsowne marsze. Spaliśmy wówczas pod pałatkami. Pamiętam forsowanie wczesnym rankiem Wisły oraz nadwiślańskich rozlewisk w okolicy Tarnobrzegu. Mokro i piekielnie zimno. Byliśmy już tak wytresowani, że ciało mogło moknąć, chronić należało broń. Pamiętam też kolegę, który przy forsowaniu rzeczki zanurzył się cały, jednak ręka z karabinem sterczała nad wodą. Powód był dość prosty. Zagrożono nam, że wszystkie zniszczenia będziemy płacić lub odsłużyć. Na okres poligonu naszym dowódcą kompanii był kapitan ze służby czynnej. Sadysta który miał problemy z awansem i próbował się wykazać. Daremny trud. Kiedy w biegu w maskach na wzgórzu Telegraf, w kieleckich lasach, paru kolegów zemdlało, nasz dowódca ze Studium Wojskowego UJ (major Magrel) nie wytrzymał i pan kapitan został pozbawiony dowództwa (wiązanka jaką przy tej okazji zaserwował biednemu kapitanowi, była niewątpliwie najbardziej soczystą jaką kiedykolwiek słyszałem). Nawet

w tych sytuacjach czuwała nad nami ręka opatrności, a bardziej prozaicznie, naszych nauczycieli i dowódców.

Poligon, a zarazem obowiązujące szkolenie wojskowe kończyło się egzaminem. Pewnego wolnego popołudnia podszedł do mnie Janusz Śmiałek z niezwykłą propozycją: *A może tak kapralu czas byłby odzyskać godność ludzką*. Kiedy patrzyłem bez zrozumienia dorzucił *„no może przygotowalibyśmy się do egzaminu”*. Zdumiony poszedłem za nim. Od tygodnia byliśmy kapralami. Ci którzy zdadzą egzamin z wyróżnieniem mieli dostać stopień plutonowego. Janusz usiadł pod drzewem, wyciągnął kartkę papieru, ołówek i rzucił hasło: *„imperializm”* po czym skomentował *„gnijący”, „pękające więzy kapitalizmu”* podałem już sam. Kiedy tego typu sloganami starannie pokrył trzy kartki, stwierdził że jesteśmy przygotowani. Jednym z przedmiotów było szkolenie polityczne, średnia z egzaminów nie mogła być wyższa od oceny z politycznego. O przygotowanym „materiale naukowym” poinformowaliśmy resztę kompanii. Nie wszyscy odnieśli się z należyтым zrozumieniem. Znaczna część tych którzy prześlądnęli nasze slogany i miała tupet je powtórzyć, zdała (w tym autorzy) z wyróżnieniem. Według Janusza przez dwa tygodnie byliśmy wykreśleni ze społeczeństwa ludzkiego (stanowisko kaprala kojarzyło się wówczas z reżymem wojskowym). W nagrodę za dobrze zdane egzaminy dostaliśmy przepustki. Na ulicach Kielc minął nas, bez pozdrowienia, obejmujący dziewczynę kapral służby czynnej. Janusz zabrzmiał basowym głosem *„co to kapralu gniewacie się na nas”*. Kiedy zaskoczony żołnierz miał rzucić stosowną wiązanke, puścił dziewczynę i zsalutował, Janusz skomentował *„no widzicie plutonowy, warto było się uczyć”*.

Życie pokazało, że nie należało. Otóż tych którzy się wyróżnili wojsko postanowiło szkolić dalej. Kiedy otrzymałem wezwanie na przeszkolenie w Oficerskiej Szkole Wojsk Rakietowych, poinformowałem studentów wieczorówki gdzie prowadziłem zajęcia, że następne będzie miał w zastępstwie kolega M.. Ponieważ pan M. cieszył się raczej zasłużoną opinią sadysty, dwaj studenci mojej grupy będący pracownikami WKR (Wojewódzka Komisja Rejonowa) załatwili mi odwołanie. Sytuacja zaczęła się powtarzać. Dostawałem powołania, studenci załatwiali odwołanie. Zabawa trwała przez cały rok. Moi podopieczni zaliczyli przedmiot, ale papiery pozostały na biurku WKR. Kiedy w następnym roku otrzymałem ponownie wezwanie, postanowiłem podporządkować się. Koledzy z AGH szkolenia te wspominali całkiem dobrze. Potrzebna była tylko zdrowa wątroba. Rodzina dostawała pensje, a żołd pokrywał napoje. Przez przypadek, będąc na kolacji u majora Skalskiego, wspomniałem ze muszę z Krakowa zniknąć. Po wyjaśnieniu przyczyn, Skalski wyjazd wybił mi z głowy. Problem polegał na tym, że po przeszkoleniu nie było możliwości uzyskania paszportu przez kolejnych pięć lat (wojska rakietowe). Nie wiedziałem, że pułkownik (wówczas major) Skalski był naczelnikiem WKR. Natychmiast dostałem papier i pod dyktando napisałem podanie o odroczenie. Prowadzący sprawę kapitan był służbistą i niedługo po tym przysłał mi następne wezwanie. Kiedy kolejny raz otrzymałem odroczenie, w końcu wręczył mi wezwanie wraz z biletem i poleceniem natychmiastowego stawienia się w jednostce. Biletu nie odebrałem informując, że będę składał podanie o odroczenie.

Odpowiedział mi twardym żargonem wojskowym oraz stwierdzeniem, że włos mu na dłoni wyrośnie jeśli pojutrze nie będę na Mazurach (tam była szkoła). Przeszedłem na drugą stronę ulicy gdzie Skalski podpisał mi odroczenie. Do kapitana zgłosiłem się dopiero nazajutrz. Niestety mój Anioł Stróż udał się na zasłużoną drzemkę, a zwykle dobrze czujący się w mojej skórze diabełek podsunął mi zdanie „obywatelu kapitanie, plutonowy Myjak z zapytaniem czy obywatel kapitan ma włosy na dłoni”. Kiedy zobaczył odroczenie wściekły pobiegł do szefa. Treści rozmowy nie znam, ale musiał coś solidnie palnąć bo już do swojego biurka nie wrócił, a ja z wojskiem miałem spokój. Heniu Wróblewski który był studentem w sąsiedniej grupie pana M. (zanim przeniósł się do mojej) mówił mi później, że moi studenci aby uniknąć zajęć z moim kolegą, podobno co miesiąc składali się na butelkę. Pan kapitan kiedy zobaczył odroczenie bez stosownego załącznika mógł się zdenerwować wnioskując, że ktoś inny spija należy mu alkohol. Pan Skalski który był jeszcze z gwardii ludzi solidnych, na kapitana miał już oko. Moja sprawa była drobną kroplą, która przepełniła czarę.

Romans z wojskiem miał jeszcze ciąg dalszy. W 1966 roku podjąłem pracę na Wyższej Oficerskiej Szkole Wojsk Chemicznych w Krakowie. Komendantem szkoły był pułkownik Klamka. Szybko zostałem zaadaptowany przez korpus oficerski. Któregoś dnia zostałem zaproszony na kolejne spotkanie w domu pułkownika Klamki, z wyraźnym zaleceniem przygotowania zestawu kawałów. Były to głównie kawały polityczne. Na przyjęciu było dwóch sympatycznych cywilów. Bawiliśmy się świetnie. Nieco później zostałem wezwany do generała Rozłubirskiego, dowodzącego wówczas Krakowską Jednostką Desantową. Podczas wizyty wręczono mi nominacje na podporucznika, podpisaną 21 września 1977 r. przez dowódcę Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gen. dyw. Włodzimierza Oliwę. Jak się okazało jednym z cywilów na owym spotkaniu był gen. Rozłubirski. Mam więc usprawiedliwione przesłanki aby twierdzić, że nominacje na oficera w czasach socjalizmu dostałem za kawały antyradzieckie. W rzeczywistości pułkownik Klamka widział mnie w swoim zespole wykładowców. Ówczesne przepisy zezwalały na drugi etat w wojsku, co było finansowo opłacalne. Niestety, w następnym roku otrzymałem stypendium naukowe, które wykluczało dodatkową pracę. Później zacząłem wyjeżdżać za granicę, co również kolidowało z prowadzeniem zajęć. Pomimo to jeszcze przez parę lat szkoła oficerska trzymała dla mnie etat, zatrudniając matematyków na godziny zleczone.

4. Początki pracy naukowej

Po ukończeniu Geodezji pozostałem w Katedrze Matematyki. Należało zorganizować sobie warsztat pracy i nadrobić lata stracone na studia geodezyjne. Wśród pracowników AGH nie było ludzi, którzy prowadzili badania z interesujących mnie dziedzin matematyki. Z pomocą prof. Górskiego udało mi się uzyskać od władz uczelni możliwość sfinansowania seminarium prowadzone przez pracownika z zewnątrz. W moim zamierzeniu miał to być docent Czesław Olech pracujący w oddziale krakowskim Akademii Nauk, z którym nawiązałem już dość dobre stosunki. Znajomość,

a później przyjaźń z prof. Olechem zaczęła się raczej humorystycznie. Profesor uwielbiał góralskie dowcipy. Czasami, gdy prowadziliśmy równoległe zajęcia na AGH, po ich zakończeniu szliśmy do restauracji. On opowiadał mi kawał w języku literackim, ja powtarzałem go w gwarze. Aby załatwić sprawę seminarium udałem się za radą Olecha do prof. Tadeusza Ważewskiego, który w tym czasie decydował o życiu matematycznym w Krakowie. Prof. Ważewski wysłuchał, pomysł pochwalił, a na prowadzącego seminarium zaocznie wyznaczył doc. Andrzeja Lasotę. Aby zachować formę polecił mi przyjść następnego dnia na rozmowę z doc. Lasotą. Z Lasotą jako student miałem co prawda zajęcia, ale właściwie Go nie znałem. Okazało się że później, że dla prof. Olecha miał już inny pomysł. Został On dyrektorem Instytutu Matematycznego PAN w Warszawie, któremu szefował aż do swojej emerytury, odnosząc wiele organizacyjnych sukcesów. Był organizatorem Światowego Kongresu Matematycznego (Warszawa 1983), którego organizacja ze względu na sytuację polityczną była niezwykle delikatna. Część światowego środowiska matematycznego kongres bojkotowała, uznając iż udział w kongresie oznacza poparcie dla bloku komunistycznego. Znaczna część partyjnego lobby w Rosji było również przeciwna organizacji kongresu w Polsce, kraju który nie wzbudzał zaufania. Na domiar złego w tym czasie wybuchł w rosyjskim świątku matematycznym konflikt semicko-antysemicki. Uzyskanie niezbędnej zgody Moskwy oraz matematyków zachodnich popierających dość bezkrytycznie atakowanych ze względów politycznych matematyków żydowskiego pochodzenia w Rosji, a w konsekwencji nastawionych negatywnie do całego bloku socjalistycznego, wymagało niezwykłych talentów dyplomatycznych.

Międzynarodowy zjazd w kraju z bloku socjalistycznego, dla wielu grup opozycyjnych zarówno z kraju jak i z Zachodu, wydawał się doskonałą okazją do zaprezentowania antykomunistycznych przekonań. Ze swej strony służby bezpieczeństwa nasiliły inwigilacje. Opozycja jak i służby bezpieczeństwa informowały prof. Olecha o poczynionych krokach. Dla Niego był to marsz po linie. Niewątpliwie Jego olbrzymim sukcesem był fakt, iż nie było żadnych aresztowań¹². Dzięki olbrzymiemu autorytetowi udało mu się przekonać obie strony aby złagodziły swoje wystąpienia. Zdaniem samego prof. Olecha udana organizacja kongresu była istotnym czynnikiem postawienia Jego kandydatury do Akademii Papieskiej.

Ponadto prof. Olech przy współudziale Akademii Nauk ZSRR oraz Akademii Nauk pozostałych państw europejskiego bloku socjalistycznego utworzył w 1973 roku Centrum Matematycznego Doskonalenia Kadr Naukowych im. S. Banacha (tzw. Centrum Banacha), zlokalizowane w dawnym pałacu szkolenia kadr politycznych na Mokotowskiej¹³. Centrum to stało się jednym z wiodących na świecie ośrodków ma-

¹² Już po ustrojowych zmianach niektórzy „rewolucjoniści” oskarżali Go iż nie dał im wówczas dostatecznego „poparcia”, zapominając iż bez Jego interwencji ich sytuacja mogła być nieporównywalnie gorsza. Trzeba jednak podkreślić iż były to głosy odosobnione.

¹³ W ramach zwrotu upaństwowionych po wojnie pałaców, budynek oddano dalszym potomkom byłych właścicieli, których sprytni adwokaci odnaleźli w Anglii. Nowi właściciele natychmiast sprzedali go wskazanym przez biuro adwokackie podmiotom. Koszta odbudowania pałacu po zniszczeniach wojennych zostały zaliczone jako opłata za użytkowanie w okresie powojennym. Trudno nie mieć wątpliwości do słuszności niektórych decyzji podejmowanych w ramach nowego porządku.

tematycznych. Jest też prof. Olech jedynym uczonym w historii, który równocześnie był członkiem Akademii Papieskiej oraz członkiem Akademii Nauk ZSRR. Nie trzeba dodawać, że ma On również świetne osiągnięcia naukowe.

Zacząłem więc pracować naukowo pod kierunkiem docenta Andrzeja Lasoty, start jednak miałem trudny. Ze względu na równoległe studia na dwóch kierunkach, moje wykształcenie matematyczne ograniczało się do pobieżnego opanowania przedmiotów kursowych, praca naukowa wymaga nieco szerszej i głębszej wiedzy. Musiałem znacznie wzbogacić moje wiadomości. Po trzech latach czynnego udziału w seminarium doc. Lasota zaproponował mi temat pracy doktorskiej, nakreślając wyraźny program działania. Właściwie prowadził mnie za rękę. Postawione zagadnienie opracowałem poza jednym krokiem, który zdaniem mojego promotora winien być prosty. Nie byłem jednak w stanie go pokonać. Na moje narzekania wyznaczył mi spotkanie wczesnym rankiem, był przekonany iż uwiniemy się szybko. Bez posiłków siedzieliśmy do późnych godzin nocnych. Z tego spotkania zapamiętałem tylko głód i potworny ból głowy. O północy mój promotor, pewno równie głodny, wpadł w złość i potężnie mnie zwymyślał, stwierdzając: „*to twój doktorat i ty masz trudności rozwiązywać*” (niby tak, ale temat wymyślił On). To mnie jednak zmobilizowało i w następnych dniach założyłem kontrprzykład, czyli pokazałem, że postawiona teza jest fałszywa. Obserwacja ta anulowała pracę doktorską. Ambicja nie pozwoliła promotorowi wyrazić zgody na zmianę tematu. Ponieważ wyjeżdżał do Stanów, stwierdził, że coś w tym zakresie wymyślimy po jego powrocie, a chwilowo skierował mnie na studia doktoranckie które w tym czasie zorganizowano na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wakacje spędziłem we Francji. Bezpośrednio po powrocie zupełnie nieprzygotowany musiałem przystąpić do egzaminu na studia doktoranckie, który przesunięto na termin wcześniejszy od przewidywanego. Wpadłem fatalnie. Zawstydzony uciekłem wzbudzając gniew Lasoty, który moje przyjęcie przeforsował i oczekiwał słusznego uznania swoich zdolności argumentacji w sytuacji beznadziejnej.

Docent Lasota wyjechał do Stanów. Zostałem sam. Uczęszczałem na zajęcia, a w wolnych chwilach przez parę miesięcy, przyglądałem się bezradnie problemowi pracy doktorskiej. W końcu zacząłem coś kumać i kiedy po roku doc. Lasota powrócił z pobytu za granicą, pracę miałem właściwie napisaną. Jestem przekonany, iż ta wpadka tematyczna jak i nieobecność promotora były niezwykle korzystne dla mojego dalszego rozwoju. Zmusiły mnie do samodzielnego zaatakowania problemu. Znakomita część kolegów o porównywalnych lub lepszych zdolnościach, którzy nie napotkali trudności w pierwszych etapach pracy naukowej, często nie rozwinęła się dalej i pozostała przy doktoracie. Następnym stopni już nie uzyskali. Pracę miałem gotową, ale z powodów formalno-finansowych organizatorom było wygodnie abym kontynuował studia doktoranckie. Po roku udało mi się wymusić termin obrony, co jednak wywołało pewne zgrzyty na linii doktorant – promotor.

Pierwsze prace matematyczne przed doktoratem opublikowałem częściowo z panem Kasprzykiem, inżynierem zainteresowanym matematyką, częściowo sam. Wszystkie były inspirowane przez prof. Lasotę. Było więc rzeczą naturalną, że najważniejsze

rezultaty doktoratu opublikuję wspólnie z promotorem. Prof. Lasota wyraził zgodę. Redagując pracę do druku doszedłem do wniosku że uzyskane rezultaty są prawdziwe w kontekście znacznie ogólniejszym. Uzyskane idee zreferowałem przyszłemu współautorowi. Pomysł pochwalił, wysłuchał dość nieuważnie, a na rozpoczęcie współpracy zaproponował przejście na ty. Prace wysłałem do poważnego czasopisma, na szczęście recenzent zorientował się, iż proponowana wersja jest fałszywa, należało wrócić do wersji poprzedniej. Prof. Lasota odebrał to bardzo źle i wycofał się ze współautorstwa. Upewnił się też pewno w przekonaniu iż jako kumpel jestem do rzeczy, jako współpracownik mało odpowiedzialny. Wszelkie kontakty sprowadził na grunt towarzyski, dalej robiliśmy wspólne wypadki na łono natury, odwiedzali restauracje, byłem stałym gościem w Jego domu, natomiast matematyka stała się tematem tabu.

Prof. Lasota w tym czasie współpracował intensywnie z prof. James A. Yorkiem z Maryland (USA) oraz prof. Michael C. Mackeyem z Montrealu (Kanada). Prowadził też parę doktoratów w Polsce, jak również kontynuował współpracę z prof. Bernfeldem i prof. Shui-Nee Chow z Maryland. We współpracy z inżynierami (dr inż. P. Ruskiem, dr inż. J. Kołodziejem) zajmował się zastosowaniami matematyki w problemach technicznych. Nie miał więc ani czasu ani siły współpracować z partnerem, który nie gwarantował badań na odpowiednim poziomie. Potrzebował natomiast przyjaciela do relaksu. Ponadto po rocznym pobycie w Stanach nastąpił kryzys w Jego małżeństwie. Sądził, że Jego pozycja w domu ulegnie wzmocnieniu jeśli uda mu się wprowadzić mnie do rodziny. Mój interes był inny, szukałem tematyki i współpracownika. Również pogląd na moją prywatną przyszłość miałem inny. Parokrotnie próbowałem formułować nową problematykę i wciągnąć w dyskusje Andrzeja, każdorazowo robił jednak unik. Był to niemiły okres, moja dalsza przyszłość naukowa była niejasna, rozpaczliwie szukałem rozsądnej problematyki oraz możliwości dalszego rozwoju.

Recenzentem mojej pierwszej publikacji był prof. Z. Opiał. Lista poprawek i uwag znacznie przewyższała długość samego artykułu. Wszystkie uwagi nie tylko natychmiast uwzględniłem, ale zapamiętałem na całe życie. Kiedy obecnie obserwuje często obojętny, a nawet lekceważący stosunek autorów, do uwag recenzentów, niedbałość w redagowaniu, niesolidność w podawaniu źródeł, ogarnia mnie głęboki smutek. Niestety na naszych oczach nastąpiła ogromna dewaluacja słowa pisanego. Przepisy, które uzależniają dofinansowanie od ilości publikowanych tekstów, technika komputerowa która umożliwia kompilacje, przepisy które z trudem pozwalają zdefiniować plagiat, ocena pracownika na podstawie sztucznie ustalanych wskaźników punktowych¹⁴, zadają mu niemal cios śmiertelny.

Z doktoratem związane mam dalsze interesujące wspomnienia. W skład przewodu doktorskiego wchodził wówczas egzamin z filozofii marksistowskiej (lub ekonomii politycznej). Doktorantów z filozofii egzaminował prof. Augustynek. Ponieważ po-

¹⁴ Od pewnego czasu na listach American Mathematical Society figuruje jako najczęściej cytowany matematyk krakowski. Jest to niewątpliwie pewna informacja o wartości mojego dorobku. Wyciąganie jednak stąd wniosku iż jestem najlepszym krakowskim matematykiem byłoby całkowicie błędne. Tak niestety obecnie czynią biurokraci oceniający dorobek ludzi i instytucji naukowych. Biurokratyczna ocena oparta na wskaźnikach często wykrzywia rzeczywisty obraz i czyni wiele szkód.

dana literatura wydawała mi się bełkotem, poprosiłem o stosowną literaturę kolegę (Józka Miśka) który po ukończeniu fizyki podjął pracę w katedrze filozofii. Uzyskałem bardzo przejrzyste notatki wykładów przygotowane przez prof. Augustynka. Porównałem je z podaną literaturą i naniosłem szereg obserwacji krytycznych o podanej literaturze. Kiedy zaskoczony egzaminator zapytał w jaki sposób zdołałem tak dobrze przygotować egzamin, wyznałem iż zdobyłem jego notatki. Zapytałem również czemu ich nie opublikuje, uwalniając szeregi studentów od zmory niedorzecznej literatury. Odpowiedź była zaskakująca: „*pan przecież już sobie udzielił odpowiedzi*”. Kiedy patrzyłem nierozumiejącymi oczyma wyjaśnił: wydam podręcznik, znajdzie się więcej z pańską opinią i jestem załatwiony. Ci autorzy to przecież Komitet Centralny.

Historia miała ciąg dalszy. Kiedy parę dni później spotkałem prof. Opiala, ten oznajmił: „*prof. Augustynek był zachwycony pana egzaminem. Trzeba to wykorzystać. Niech pan zorganizuje spotkanie z prof. Augustynkiem, prof. Lasotą i mną*”. Parę dni później spotkaliśmy się na trwającym do wieczora obiedzie w Cracovii (wówczas była to jedna z bardziej ekskluzywnych restauracji w Krakowie). Warto było. Panowie cały czas dyskutowali na temat filozofii. Ku mojemu zaskoczeniu największym erudytą okazał się prof. Opiał¹⁵, za nim podążał prof. Lasota¹⁶, nieśmiało dotrzymywał im kroku prof. Augustynek. Trzeba jednak przyznać, że filozofie marksistowską – specjalność prof. Augustynka – dyskretnie omijano. Widać też było wzajemny głęboki szacunek. Dla obserwatora, nawet takiego dyletanta przedmiotu jak ja, była to prawdziwa uczta.

Ponownie na wniosek prof. Opiala spotkaliśmy się w Cracovii parę dni później, ale już bez prof. Augustynka. Prof. Opiał postawił problem wysłania mnie na staż do Florencji. Jako prorektor dysponował również rocznym stanowiskiem *profesore visitatore* z całkiem przyzwoitym wynagrodzeniem. Mój promotor jednak tematu nie podjął. Sądzę, że w jego opinii nie byłem jeszcze dostatecznie dojrzały jako matematyk. Nie bez znaczenia były też zgrzyty o których wspominałem. Zgodnie z moją przekorną naturą zapałałem chęcią wyjazdu właśnie do Włoch.

Ponieważ dalsza współpraca naukowa z prof. Lasotą wydawała się wątpliwa, samodzielnie zaś nie umiałem znaleźć rozsądnej problematyki, kiedy prof. Zbigniew Engel zaproponował mi przeniesienie się do tworzącego się na AGH Instytutu Wibroakustyki, wyraziłem zgodę. Dyrektorem miał być prof. Bogusz, z którym odbyłem długą i rzeczową rozmowę o planowanych badaniach. Parę dni później zostałem poproszony na rozmowę z prof. Boguszem, tym razem jako prorektorem AGH do spraw nauki. Wyjaśnił mi rzeczowo: jako przyszły dyrektor Instytutu Wibroakustyki cieszyłem się pana przyjściem, niestety jako urzędujący rektor¹⁷ muszę wyrazić sprze-

¹⁵ Prof. Zdzisław Opiał (1930-1974), genialny matematyk, interesował się również filozofią, sztuką, literaturą, historią. Znał płynnie parę języków. Był perfekcjonistą w każdej dziedzinie którą się zajmował.

¹⁶ Później dowiedziałem się że jeszcze będąc studentem matematyki wykładał filozofie marksistowską na szkoleniach organizowanych przez Komitet Wojewódzki PZPR dla działaczy partii. Sam członkiem partii nigdy nie był, co więcej, pomimo iż miał poglądy lewicowe, był zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu w wersji którą mieliśmy okazje oglądać.

¹⁷ Matematycy byli jeszcze w cenie. Dyrekcja Instytutu Matematyki za moje odejście żądała zbyt wiele. Władze rektorskie postanowiły nie udzielić zgody, a propozycje stypendium – wiedząc o moim zainteresowaniu Włochami – wymyślił prof. Bogusz, aby wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

ciw. Proponuje panu sześciomiesięczne stypendium naukowe na wyjazd do Florencji. Podobno chce pan tam jechać. Oczywiście propozycje przyjąłem i tak znalazłem się we Włoszech. Warunki finansowe były znacznie gorsze niż w propozycji prof. Opiala, bardziej jednak odpowiadały mojej ówczesnej pozycji naukowej. Nie wykluczam iż startując z wyższego poziomu, kariery we Włoszech bym nie zrobił. Po prostu zabrakłoby mi czasu na uzupełnienie wiedzy.

5. Próby startu w dorosłe życie

Po podjęciu pracy znalazłem mieszkanie blisko AGH, na ulicy Kremerowskiej. Wynająłem duży przechodni pokój. Mniejszy pokój zajmował ciężko już chory gospodarz. Pieczę nad chorym roztaczała sąsiadka z niższego piętra. Z gospodarzem zaprzyjaźniłem się szybko. Do moich obowiązków należało dyskretne usuwanie niedokończonych posiłków, co wbrew pozorom nie było łatwe, bowiem opiekunka swoją kontrolą objęła również mnie. A kontrole odbywały się zarówno w ciągu dnia jak i nocy. Gospodarz wiedział iż niedługo odejdzie, dość szybko zaproponował mi abym złożył stosowne podania o przydział mieszkania (było to mieszkanie kwaterunkowe). Z rodziną nie utrzymywał kontaktów, o co już wcześniej zadbała opiekunka, wówczas pewno jeszcze na etacie przyjaciółki. Sprawę musiałem załatwić z opiekunką której chory przekazał wszystkie sprawy. Pani owa miała podlotka rodzaju żeńskiego który wyraźnie sygnalizował iż zamierza mamie przysporzyć sporo problemów. Naturalnym rozwiązaniem dla mamy wydawało się ukierunkowanie temperamentu córki na stosownie wybrany obiekt, a taki właśnie niebiosza zesłały do domu. Ponieważ ewentualnego przyszłego zięcia należało wychować, bez uzgodnienia przeglądała moje rzeczy zabierając do prania zarówno bieliznę brudną jak i świeżo przyniesioną z pralni. Ułożone rzeczy w szafie systematycznie przekładała. Przypadkowo pozostawione pod łóżkiem skarpety odnalazłem w maśle. Ja starannie unikałem zaproszeń na obiady czy ponoć doskonałe ciasto domowe, pani zapominała złożyć stosowne podpisy. Tak przeciągając sprawę doczekaliśmy się śmierci gospodarza.

Pewnego wieczoru niespodziewania przyszła do mnie z prośbą o nocleg młoda nauczycielka, którą niedawno poznałem i dwa lub trzy razy umówiłem się na kawę. Ponieważ wciąż istniało niebezpieczeństwo kontroli byłej opiekunki, ponętnej propozycji nie zrozumiałem i z trudem swojego gościa wyeksmitowałem z mieszkania. Kiedy wracałem, czekała już w bramie podminowana córka opiekunki, której jeszcze z większym trudem udało mi się do mieszkania nie wpuścić. Potwierdziło to moje podejrzenie, że jestem pod ciągłą obserwacją. Kiedy wreszcie z ulgą położyłem się do łóżka, usłyszałem zgrzyt klucza i mamusia podlotka, pewno w odruchu zadowolenia z przebiegu wizyty mojej znajomej, przyniosła mi zupę w tym samym naczyniu, które systematycznie opróżniałem na prośbę gospodarza. Tym razem wyrzucić nie mogłem, oznaczałoby to akceptację sytuacji. Dumając jak wybrnąć z sytuacji zasnąłem. W majaczeniu sennym usłyszałem pełen wyrzutu głos gospodarza „*panie magistrze!, panie magistrze!*”. Oprzytomniałem natychmiast. Długo wpatrywałem się w nie-

szczęśny talerz. W końcu ubrałem się i resztę nocy spędziłem na rozkładanym fotelu w gabinecie szefa katedry (co prawda klucz dał mi w zupełnie innym celu). Czy o tej decyzji zdecydowało senne majaczenie, czy groźba że wyziębiona zupa wraz z wkładką mięsną wyląduje na mojej śpiącej głowie, czy też obawa że szalejące hormony doradzą podlotkowi wykraść klucze mamie i w mroku nocy próbować realizacji swojego planu podboju, nie wiedziałem w czasie sromotnej ucieczki i nie wiem po upływie lat.

Na drugą noc przenieśliśmy się do Bogusia Dunaja¹⁸, który jako asystent polonistyki na UJ miał przyznany pokój w naszym starym akademiku studenckim Rotunda. Do mojej sytuacji odniósł się ze zrozumieniem i prawie rok czasu mieszkaliśmy u niego „na waleta”. Kilkanaście miesięcy później odnalazła się też moja niedoszła dziewczyna. W międzyczasie wyszła za mąż i urodziła córkę (to wyjaśniało akcje noclegu). Dziecko zostało pod opieką teściowej w podkrakowskiej wsi, ona podjęła ponownie pracę na swoim nauczycielskim etacie w Krakowie. Z propozycji dalszego kontynuowania znajomości nie skorzystałem, natomiast po raz pierwszy z wdzięcznością pomyślałem o szaleństwie opiekunki zmarłego gospodarza. Nauczycielka całkiem mi się podobała i gdyby nie groźba wizyty sąsiadki, być może finał znajomości byłby całkiem inny. I znów potwierdzenie znalazła stara prawda „przyjaciel nie zawsze jest przyjacielem, wróg nie zawsze wrogiem”. Co dziś wydaje się nieszczęściem, jutro może okazać się szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Następne mieszkanie to wesoły lokal na ulicy Kurkowej. W mieszkaniu powyżej 130 metrów kwadratowych mieszkała tylko pani Jadzia, gosposia poprzednich lokatorów. Owdowiały właściciel zamieszkał u swojej przyjaciółki. Mieszkanie wynajęli moi koledzy ze studiów geodezyjnych: Andrzejek i Gunter. Pozostałe łóżka zwykle stały wolne. Przez pewien okres korzystał z nich Jaś Stanisław¹⁹ z Łącka, który dojeżdżał do Krakowa gdzie zaocznie kończył technikum elektryczne. Koledzy których próbowaliśmy dokooptować wytrzymywali najwyżej miesiąc. Powód był prosty. Andrzejek – nie bez naszego współudziału – systematycznie organizował imprezy. Istotną była też aktywna pomoc gosposi, która zabezpieczała stronę kulinarną. Robiła świetne wypieki, a jeśli czas nie pozwalał na rozwinięcie jej kunsztu kucharsko-cukierniczego, przygotowywała równie świetne kanapki. Nigdy też nie opuściła nawet minuty imprezy. Jeśli zabawa trwała do dziewiątej rano, pani Jadzia do dziewiątej pełniła rolę przyzwoitki, później sprzątała i na odpoczynek udawała się dopiero w godzinach południowych. Nasza działalność rozrywkowa cieszyła się niezwykle dobrą opinią. Gdy postanowiliśmy zrobić imprezę, telefonicznie wysyłaliśmy wici i do dwóch godzin dom był pełny. Komu tylko czas pozwalał, okazji nie przepuszczał. Powód – gwarantowana dobra zabawa. Śpiew, kawały, tańce. Do repertuaru weszły też przyspieszki łąckie. Dlaczego sąsiedzi nas nie denuncjowali? Niewątpliwie działały układy pani Jadzi oraz fakt, że najbliżsi sąsiedzi zarówno z piętra poniżej jak i powyżej – dorabiająca się inicjatywa prywatna – obdarzeni byli liczną trzódką córek, a w naszych imprezach uczestniczyli przyszli inżynierowie, ceniony wówczas materiał na zięciów. Ja, jako początkujący na-

¹⁸ Później profesor UJ, językoznawca,

¹⁹ Jaś Stanisław, Gienek Mrówka i Adam Kłag to moi najbliżsi koledzy z Czerńca. Należy tu jeszcze dodać szczerze obdarzonego fantazją Zbyszka Rdzawskiego, z nim jednak ze względów logistycznych kontakt miałem rzadszy.

ukowiec, w tej konkurencji notowania miałem raczej niskie. Co prawda dziewczynom zakazane było uczestniczyć w naszych imprezach, systematycznie jednak pani Jadzia zabierała moich kolegów do sąsiadów na degustacje ciast, które zwykle sama wypiekała. O ile mi wiadomo, żadnego pozytywnego finału tej działalności nie było.

Niestety, Andrzejek zaczął nawiązywać podejrzane kontakty z finansowym półświatkiem Krakowa. Między innymi zajął się skupem dolarów dla poznanego w tym okresie rzemieślnika. W ramach tej działalności zakupił tysiąc dolarowy banknot (średnia pensja w Polsce w tym czasie oscylowała około 30 dolarów). Rzemieślnik po zaciągnięciu opinii znawców stwierdził, że banknot jest fałszywy i zażądał zwrotu pieniędzy. Okazało się później iż był to unikalny egzemplarz, którego wartość przewyższała wartość nominalną. Banknot ów Andrzejek zakupił bodajże we Wrocławskim. Gotówki nie miał, ponadto chciał zarobić. Zaczął szukać innego nabywcy wykorzystując swoje podejrzane znajomości. Zapomniał, że zwykle świat cinkciarzy i milicjantów jest ściśle powiązany. Postanowiłem wówczas zmienić mieszkanie, a biadającej pani Jadzi, która wyraźnie przywiązała się do nas, nieszczęśliwie rzekłem, iż uciekam bowiem niedługo wkroczy tu milicja. Istotnie niedługo potem Andrzejek został zamknięty. Rozsierdzony rzemieślnik stratą pieniędzy jak również uzasadnionym podejrzeniem, że Andrzejek romansuje z jego żoną, poprzez wynajętych bandziorów zażądał aby Gunter w ramach zadośćuczynienia oddał mu nowego Volkswagena. Samochód ten dostał od matki mieszkającej w Niemczech. Gunter sytuacją był wyraźnie wystraszony. W Krakowie pojawił się też brat Andrzejka, świetny chirurg, ordynator jednego ze Śląskich szpitali. Wspólnie uradziliśmy, że jedyne wyjście to szczerza spowiedź Andrzejka przed organami bezpieczeństwa. Z owym rzemieślnikiem mętnie interesy prowadzili już od pewnego czasu. Gunter w interesy handlowe przyjaciela nie był wtajemniczony. Był tylko wynajmowany jako kierowca. Tak się też stało. W więzieniu wylądował rzemieślnik, o którego przypuszczalnie służbom chodziło. Andrzejka wypuszczono, obaj jednak z Gunterem ograniczyliśmy z nim kontakt. Uznaliśmy, że jest zbyt nieodpowiedzialny.

Ciekawa była dalsza historia Guntera. Mimo nacisków matki, czuł się Polakiem i Polski nie chciał opuszczać. Rozpoczął pracę na AGH jako asystent. Był zdolny i pracowity, zaczął szybką karierę. Zawistni wykryli że jest ukrytym Niemcem i przy okazji kolejnego awansu sformułowano to jako przeszkodę. Ponadto żona rozchorowała się na raka piersi, którego leczenie w Polsce było jeszcze w powijakach. Naciskany zawiścią i nadzieją lepszej opieki lekarskiej dla żony przeniósł się do Niemiec, gdzie z biegiem lat został głównym geodetą rządowym. Żonę wyleczono. Aktualnie jako emeryt prowadzi jeszcze wykłady z geodezji satelitarnej na akademii wojskowej. Karierę pomogła mu zrobić zwykła zawiść ludzka. Niespodziewany finał mieszkania na Kurkowej miał też miejsce w moim przypadku. Otóż na porodówce moja żona zgadła się z panią, która ponoć na naszych imprezach bywała. Opowiadała tak plastycznie o tych zabawach, że żona miała wątpliwości czy winna do domu wracać²⁰. Gdyby nie

²⁰ Pisząc ten tekst przyzwoitość naszych imprez potwierdziłem u pani Marii Stanisiz (Łącko, ul. Nadbrzeżna 6), która zwykle uczestniczyła w moich imieninach. Jej komentarz był jednoznaczny „pozwoliłaby pani Jadzia na jakikolwiek wyskok?”. Tak więc pamięć moja nieprzyzwoitych momentów nie zatarła, a spiszowa postać pani Jadzi pozostała we wspomnieniach uczestników bali na Kurkowej.

fakt, że zaczął się już kryzys mieszkaniowy, a noworodek potrzebował ciepłego kąta, być może trwałość naszego związku byłaby zagrożona. Uroku dodaje fakt, że owa rozmówczyni (z domu Kurowska), podobno była moją krewną. Zupełnie jej nie skojarzyłem, indagowany brat potwierdził jednak, że w rodzinie Kurowskich mamy. Zagadki tej nie udało mi się wyjaśnić.

6. Trochę falstartów, trochę fartu

Zanim przejdę do spraw bardziej poważnych, parę słów dedykuję jeszcze sprawom damsko-męskim, są one niewątpliwie w życiu bardzo istotne. W tej dziedzinie byłem raczej umiarkowany i stabilny. Niewątpliwie zaszkodziła mi (a może ochroniła!) pewna dyspozycyjność do słowa pisanego. Otóż dość wcześnie zacząłem na zamówienie kolegów pisać w ich imieniu czule listy. Efekt był taki, że kiedy rzeczywiście podobała mi się dziewczyna, nie byłem zdolny wykrztusić miłego słowa. Były już zdewaluowane, sprzedawałem je bowiem obcym. Powstał we mnie silny blok wewnętrzny. Dość wspomnieć, że własna żona o fakcie, że ją kocham dowiedziała się ponoć od Cyganki, wracając ze spaceru z dziećmi. Było to już parę lat po ślubie. Ponieważ inne wróżby owej Cyganki potwierdziły się, możliwości mojego uczucia żona nie wykluczyła, co niewątpliwie pomogło jej trwać przy mnie (dzięki ci dobra Wróżko!).

Wróćmy jeszcze do lat wcześniejszych. Adam, mój młodszy kolega z Czerńca, wypatrzył nad Dunajcem wczasowiczkę, którą postanowił poznać. O pomoc w tej akcji poprosił mnie. Pomagałem mu z takim zaangażowaniem, że zawarta znajomość trwała prawie przez cały okres studiów. Dziewczyna pochodziła z Krakowa, zostałem bywalcem w jej domu. Traktowano mnie przychylnie. Być może znajomość przerodziłaby się w trwały związek, gdyby nie fakt, że któregoś dnia nieostrożnie zabrałem z sobą innego kolegę z Łącka, podobnie jak ja studiującego w Krakowie. Zosi w domu nie było. Jej mama widząc przystojnego bruneta, który ze mną przyszedł, wpadła w reklamowy trans i zaczęła wymieniać niekończącą się listę zalet swojej córki. Kiedy w końcu lista została wyczerpana, zapadła z kolei w długą zadumę, którą zakończyła stwierdzeniem: „...*tak, tak, Zosia wszystko umie robić, ... jak się jej tylko chce*”. Oczywiście nie pozbawiony poczucia humoru i szczodrej szczypty złośliwości kolega takiej okazji nie przegapił i tak długo prześladował mnie tą szczerą wypowiedzią, że w końcu dziewczynę zmieniłem.

Życie dopisało też zakończenie tej historii. Parę lat później, pewnego wieczora do pokoju w Hotelu Asystenta AGH, który dzieliłem z Leszkiem Anczykiem, zaglądnęła nasza młodsza koleżanka, mieszkająca również w tym hotelu. Rozmowa przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Kiedy wyszła, obaj zgodziliśmy się, że jest to dziewczyna wyjątkowo wartościowa, ładna, świetny materiał na żonę. Nie należało marnować takiej okazji. Leszek zaproponował abym w końcu próbował porzucić stan wolny, ja podobną propozycję przedstawiłem jemu. Okazało się iż obaj nie czujemy jeszcze odpowiedniego powołania. W pewnym momencie jeden z nas rzucił „*a może?*”, na co drugi zareagował natychmiast „*światny pomysł?*”. Nie padło żadne nazwisko, nie było też dalszej wymiany myśli. Kiedy jednak po paru dniach odwiedził nas wspólny przyjaciel, między mną

a Leszkiem wybuchła zażarta kłótnia. Każdy z nas żądał od drugiego, aby odczepił się od wspomnianej dziewczyny bo nie jest jej wart. Przyjaciel słuchał uważnie, mitygować nas nie zamierzał, po krótkim czasie zamyślony wyszedł. Chociaż na uroczystości ślubne nie zostaliśmy zaproszeni, za szczęśliwe odnalezienie się ludzi dla siebie stworzonych butlę przedniego wina w zaciszu naszego pokoju wysuszyliśmy do dna.

W ramach zachodzących zmian pojawiła się możliwość wyjazdu na wakacje do Bułgarii. Na taki wyjazd namówili mnie państwo Wróblewscy. Heniu Wróblewski był studentem pierwszego kursu (rok akademicki 1964/1965) jaki prowadziłem na studiach wieczorowych. Reprezentował niezwykle umiejętności praktycznego rozwiązywania różnych kwestii technologicznych, przy pełnym braku zdolności myślenia abstrakcyjnego. Potrafił chałupniczo opracowywać technologie i uruchamiać produkcje artykułów, których na rynku brakowało. Aby nie mieć problemów z fiskusem produkował nielegalnie, pilnie bacząc aby produkcja miała ograniczony wymiar. W tych czasach ludzie działający w szarej strefie – by nie rzucać się w oczy – często zamiast zwiększać produkcje starali się raczej urozmaicać działalność. Ponadto Kasia i Heniu cieszyli się życiem. Henryk zgodnie z panującym wówczas duchem czasu postanowił zdobyć zupełnie niepotrzebny mu tytuł inżyniera. Uparł się przy tym – wbrew swoim naturalnym zdolnościom – opanować niezbędne minimum wiedzy matematycznej. Był to rzadki przypadek człowieka który potrafił referować bezbłędnie i płynnie kwestie matematyczne zupełnie ich nie rozumiejąc. Jego niebanalna osobowość mocno mnie zaintrygowała, a nawiązana znajomość przerodziła się w długoletnią przyjaźń. Kasia, żona Henia, wprowadzała mnie natomiast w tajniki nielegalnego handlu. Dla kompletnego opisu tego atrakcyjnego małżeństwa należy dodać, że działalność handlową Henryk miał w głębokiej pogardzie, co zupełnie nie przeszkadzało mu być głęboko zakochanym w żonie, oraz tolerować mnie jako handlowego pomocnika żony.

Jazda nad Czarne Morze była niezwykle urozmaicona. Zatrzymywaliśmy się w mijanych wioskach aby spieniężyć obrazy św. Józefa (Czechy), wyroby Cepelii i kosmetyki (Węgry, Bułgaria, Rumunia). Ponadto co trzysta, czterysta kilometrów mieliśmy przymusowy postój na naprawę jednego z samochodów. Wraz z nami (ja byłem pasażerem państwa Wróblewskich), drugim samochodem, jechało zaprzyjaźnione z moimi gospodarzami młode małżeństwo lekarzy. Na wyposażeniu mieliśmy cały warsztat, a niezastąpioną złotą rączką był oczywiście Heniu. W Bułgarii rozłożyliśmy biwak na wówczas jeszcze dzikich plażach Żółtych Piasków (parę lat później rozciągały się tam już rozległe eleganckie kompleksy turystyczne).

Pierwszego ranka wybrałem się na spacer wzdłuż morza w kierunku widocznego na horyzoncie campingu. Nadchodząca ze strony przeciwnej samotna dziewczyna mijając mnie rzuciła *„zupełnie pomyliłeś kierunki, spódnicy tutaj nie kupisz”*. Nie wiem czy bardziej zaskoczyło mnie podobieństwo języka bułgarskiego do polskiego, czy też – jak sądziłem – oryginalna reklama bazaru leżącego w przeciwnym kierunku. Nie od razu przypomniałem sobie, że parę miesięcy wcześniej na korytarzu AGH zauważyłem ubraną ekstrawagancko – jak na owe czasy – dziewczynę. Odruchowo zapytałem ją gdzie nabywa ubrania, a zaskoczonej nosicielce stroju wyjaśniłem że chciałbym aby

tak ubierała się moja dziewczyna. Kiedy usłyszałem że w Szkocji, machnąłem ręką i pobiegłem na zajęcia. W owym czasie Szkocja była równie odległa jak Australia. O szkockiej spódnicy z olbrzymią agrafką zupełnie zapomniałem. Okazało się, że Renata wraz z rodzicami zatrzymała się w Złotych Piaskach niemal dokładnie na ten sam okres co my. Od chwili spotkania nad morzem właściwie cały czas spędzała z nami. Szybko też zgrała się z pozostałą częścią naszego towarzystwa. Wczesnym rankiem, kiedy zwykle jeszcze spaliśmy, Renata pojawiała się ze świeżymi bułeczkami (dowożono je do campingu), zanim się rozbudziliśmy kawa była gotowa. Cały dzień przebywała z nami, do rodziców odprowadzałem ją dopiero po kolacji.

Po powrocie do Krakowa z kolei czas swój zaczęła dzielić pomiędzy zajęciami na AGH i moim pokojem. Była miła i grzeczna, znajomi chętnie ją akceptowali. Koledzy (niesłusznie) uważali że jest to moja aktualna dziewczyna. Taką interpretację naszej znajomości przyjęli też jej rodzice (zamożna rodzina krakowska, ojciec wpływowego profesor na AGH). Przeprowadzili szeroki wywiad dotyczący mojej osoby. Dość wspomnieć, że o pewnych faktach dotyczących mojej rodziny, w szczególności chorób jak też możliwość ciąży w opisanym poprzednio awanturze, dowiedziałem się dzięki rodzicom Renaty. Ponieważ informacje o rodzinie okazały się prawdziwe, informacje dotyczącą możliwej ciąży uznałem też za prawdopodobną. Egzamin wypadł dla mnie niekorzystnie. Dano mi raczej w ostrej formie do zrozumienia, iż jestem osobą niepożądaną. Urażona góralska duma podsunęła mi natychmiastową odpowiedź że z córką nie mam zamiaru chodzić, a u nich bywać. Problem polegał na tym, iż dziewczyna była w poważnym konflikcie z rodzicami, a zakaz tylko zwiększył jej chęć utrzymania kontaktu ze mną. Przychodziła jeszcze częściej, pomimo kar fizycznych za spotkania (różgi, klęczenie na grochu). Była zagubiona, potrzebowała układu odniesienia i powiernika. Ponieważ polubiłem ją, nie mogłem odmówić jej moralnej pomocy. Pozostaliśmy w stosunkach koleżeńskich, konsultowała ze mną wszystkie swoje problemy. Niewątpliwie w dużej mierze przyczyniłem się do tego że jej konflikt z rodzicami nie przyjął bardziej drastycznej formy. Dla otoczenia byliśmy parą. Od czasu do czasu Renata pytała czy możemy przestać być kolegami, a zacząć być rzeczywiście parą. Ta sama góralska duma nie pozwalała mi zmieniać statusu, konsekwentnie więc odmawiałem, co Renaty zupełnie nie zrażało. Spokojnie stwierdzała, że wobec tego poczeka aż zakończę stare historie.

Z biegiem czasu jej rodzice zaakceptowali moje istnienie i doszło do paradoksalnej sytuacji. Wychodząc na spotkania np. ze swoją grupą studencką, Renata mówiła, że ma spotkanie ze mną. Wtedy dostawała zezwolenie. Pozwalano jej nawet wyjeżdżać na rajdy studenckie sądząc że jesteśmy razem. Towarzyszyła mi w niektórych moich wycieczkach. Odwiedziliśmy też Łącko, parokrotnie Szczawę. Co jakiś czas zapraszała mnie do domu, wciąż jednak obrażony nie dawałem się namówić. Czekałem na oficjalne przeproszenie rodziców.

Kolejne wakacje ona spędzała w Anglii, ja w Deauville. Siedząc nad morzem zacząłem odczuwać brak rozmów z moją podopieczną przebywającą w tym czasie po drugiej stronie kanału La Manche. Odebrałem to jako sygnał, że czas zmienić awanturnicze życie, rodzaj znajomości z Renatą, oraz kawalerski żywot. Dojrzywałem do

decyzji. Po powrocie do kraju skontaktowaliśmy się telefonicznie. Okazało się, że oboje mamy do siebie ważne sprawy. Ja chciałem zapytać, czy zaproszenie jej rodziców jest wciąż aktualne. Oczywiście byłyby to jednoznaczna deklaracja. Przy spotkaniu powstał problem kto pierwszy ma zreferować swoją sprawę. Niemal wbrew swojej naturze postanowiłem być dżentelmenem i dopuścić pierwszą do głosu Renatę. (Postanowiłem być lepszy i to od zaraz). Zgodnie ze zwyczajem ostatnich lat chciała mojej porady. Otóż spotkała w Anglii chłopaka, też studenta AGH, który zaproponował jej aby została jego dziewczyną. Co powinna zrobić? Swojej kwestii już nie przedstawiłem. Sądzę, że gdybym pierwszy zabrał głos, Renata być może nie zadałaby swojego pytania, a rozwój sytuacji byłby zupełnie inny. Nie umiem też powiedzieć, czy u mnie silniejsze było oburzenie urażonego wirtualnego rogakza (dziewczyną moją była dopiero w zamierzeniach), czy też ulgi, że zachowuje stan wolny. Tak zakończyło się paroletnie koleżeństwo i pierwszy pomysł na małżeństwo. Absurdalne, ale wówczas o rozmowę poprosił mnie ojciec Renaty. Była to jedyna nasza poważna rozmowa. Chciał abym namówił córkę do zerwania z nowym znajomym. Wyglądało na to, że również rodzice Renaty pogodzili się z naszym (nieistniejącym) związkiem, zmęczenie materiału nastąpiło natomiast u głównej bohaterki.

Pretensje odnośnie Renaty niespodziewanie zgłosiła wiele lat później moja żona. Nie chodziło jej o znajomość, ale o to, że źle traktowałem moją podopieczną. Otóż źródła informacji żony doniosły, że nie tylko nazbyt skrupulatnie rozliczałem ją kiedy robiła mi zakupy, ale aby móc posprzątać moją kawalerską gawrę, środki czystości kupowała ze swojego skromnego kieszonkowego. Ja tego nie pamiętam, ale skoro żona tak twierdzi (*centuś, do tego pantoflarz!!*).



Basia z rodzicami i braćmi

Ziarno posiane w mojej świadomości podczas pobytu w Deauville, pomimo kamienistej gleby, zaczęło kiełkować. Kilka miesięcy później u moich krakowskich przyjaciół spotkałem miłą i spokojną dziewczynę która w Krakowie kończyła szkołę średnią. Trochę w żartach umówiliśmy się na kawę. Spotkanie okazało się ciekawe, ponawialiśmy go więc od czasu do czasu. O systematycznych spotkaniach zdecydował przypadek, właściwie Basia. Powód raczej niecodzienny – broda. Był to okres kiedy jeździłem na Saksy do Francji. Niedługo po poznaniu Basi jechaliśmy z kolegami do Francji pociągiem. Podróż trwała dwie doby. Następnie dwa dni zatrzymaliśmy się w Paryżu. Przez ten okres nie goliłem się. Jednego z kolegów mój zarost niezmiernie bawił. Założyliśmy się o dwie butelki koniaku że brodę dowiozę do Polski. Wartość zakładu warta była moim zdaniem poświęcenia. Kiedy wróciłem do kraju, okazało się, iż marzeniem Basi było posiadanie chłopaka z brodą. Na horyzoncie byłem jedynym brodatym. Pod warunkiem niegolenia brody zgodziła się ze mną systematycznie spotykać. Chciała pokazać koleżankom, że zrealizowała marzenie. Konsekwencji biedna nie przewidziała. Rodzice Basi mieszkali niedaleko Ojcowa. Okolica piękna, świetnie nadająca się na wypady. Pierwszy raz pojawiłem się bez zaproszenia. Niewątpliwie słusznie, czarnej polewki bowiem nie zdążono przygotować. Basię poprosiłem o pół szklanki herbaty. Dostałem. Dziewczyna która spełnia nawet takie życzenia²¹, toż to marzenie każdego mężczyzny. Szybko doszedłem do wniosku, że to będzie moja wybrana.

Na odwiedzenie mojej rodziny Basia jednak namówić się nie dawała. Któregoś dnia zwierzyłem się przyjacielowi Michałowi Maladze, iż zamieniam zmienić stan cywilny. Decyzję i wybór pochwalił, ale podejrzliwie zapytał jak to się stało, że Basia wyraziła zgodę. W moim odczuciu była to wątpliwość arogancka. Kiedy zorientował się, że z Basią jeszcze na ten temat nie rozmawiałem, odniosłem wrażenie że zaczyna wątpić w moją poczytalność. Jego brak wiary mocno mnie oburzył (skoro ja się zdecydowałem, gdzie problem!). Aby rozwiać niepewność (oczywiście Michała!) przy najbliższej okazji nabyłem bukiet dyżurnych goździków²² i poprosiłem Basie o rękę. Zgodnie z intuicją przyjaciela dostałem kosza. Ponieważ Basia była osobą miłą, zrobiła to delikatnie. Nie zrezygnowałem i powtórzyłem akcję tym razem już z dużym bukietem czerwonych róż. Rezultat był równie mizerny, pomimo takiej rozrzutności! Gdybym znał wówczas Basię lepiej, być może wiązanka zwiędłych polnych kwiatów dałaby lepszy rezultat. Nabrałem jednak pewności, że to właśnie będzie moja żona. Powstał problem jak przekonać dziewczynę o nieuchronności tego zdarzenia. Jak zwykle dopomógł przypadek. Jechaliśmy samochodem ul. Bohaterów Stalingradu (obecnie Starowiślna) w kierunku skrzyżowania przy poczcie. Przyśpieszyłem aby przejechać na światłach żółtych. Nie zdążyłem, pojawiło się światło czerwone. Wygłosiłem zdecydowanym tonem: „*albo za mnie wychodzisz, albo wrąbie się w skrzyżowanie*”. Przerazona krzyknęła: „*hamuj, zgoda*”. Była i jest słowna, kiedy strach minął zdania nie zmieniała. I tak dzięki brodzie i czerwonym światłom zdobyłem żonę.

²¹ Już po ślubie dowiedziałem się że w czajniku skończyła się woda, nowej nie chciało jej się gotować.

²² W tym czasie goździki były kwiatami na każdą okazję. Zwyczajowo dawało się jeden, wyjątkowo trzy, bardzo rzadko pięć kwiatów. Ponieważ w Krakowie mieszkałem już dość długo i cechy centusia przyswoiłem sobie doskonale, słowo bukiet oznacza pewnie co najwyżej trzy sztuki (gdyby było więcej zapamiętałbym wydatek).

Należy dodać, że sytuacja była już podbramkowa. Stan cywilny chciałem zmienić przed osiągnięciem lat Chrystusowych. Czasu zostało niewiele, opinię wśród znajomych miałem zrujnowaną i to w dużej mierze przez Basię. Jak wspominałem przy



Barbara Cecylia – Józef Wenecjusz (ślub cywilny)

okazji zagranicznych wyjazdów przywoziłem ciuchy na handel. Robiłem też trochę zakupów z myślą o Basi w magazynach elegantszych, które z polskiego punktu widzenia miały astronomiczne ceny. Ambitna dziewczyna prezentów nie akceptowała. Z trudem udawało mi się przekonać ją na zakup przywiezionych specjalnie dla niej rzeczy, pomimo że

podawałem cenę która reprezentowała niewielki procent tego co rzeczywiście wydałem. Kiedy koleżanki robiły uwagi odnośnie nowych strojów, Basia skarżyła się, że zdarłem z niej całą pensję. Koleżanki też tak chciały być obdzierane ze swoich zarobków. Oczywiście szerszej akcji charytatywnej tego typu nie mogłem rozwinąć. Uznano mnie więc za bezwzględno

wyzyskiwacza, prawdziwego krakowskiego centusia, do tego nieużytecznego. Kiedy Basia przyznała się że zamierza za mnie wyjść, prawdziwe pospolite ruszenie jej koleżanek starało się, ratować ją przed niechybną zgubą („Bacha, czyś ty zgłupiała, za tego typu!”). Przy załatwianiu formalności wyszła sprawa mojego drugiego imienia. Prostowanie dokumentów²³ zajęło mi



Ślub kościelny

parę tygodni i wbrew rozpaczliwym staraniom w dniu ślubu wiek 33 lat przekroczyłem o całe dziesięć dni.

Również natura ostrzegała nas przed podjęciem tego kroku. Jechaliśmy do rodziców Basi aby poinformować o naszych małżeńskich zamiarach. Było po deszczu.

²³ Do szkoły uczęszczał Józef, studiował Józef Wenety. Dowodem osobistym legitymował się obywatel: Józef Wenety, Józef Walenty, Józef Wenecjusz i Józef Wenecjusz. Dostał Krzyż Zasługi: Srebrny – Józef s. Jana(1979), Złoty – Józef (1984), Kawalerski OOP – Józef Wenecjusz (2011). Zezwolenie na żonę otrzymał Józef Wenecjusz (1973).

Na zakręcie pokrytym gliną naniesioną przez wodę wpadłem poślizg i wylądowałem w rowie. Odczytaliśmy to z Basią, jako sygnał aby się jeszcze zastanowić. Po dłuższym milczeniu stwierdziliśmy wspólnie „raz kozie śmierć” i kiedy pomożono nam wydostać



Mierz siły na zamiary

się, kontynuowaliśmy dalszą podróż. Tu należy podkreślić stoickie opanowanie rodziny żony, która zaakceptowała mnie bez oporów i ten przychylny stosunek trwa niezmiennie do chwili obecnej. Los nie chciał jednak ustąpić. Kiedy w dniu ślubu jechałem do domu Basi, aby wyruszyć do kościoła (kolegiaty św. Anny), drogę zajechał mi samochód i był to mój pierwszy wypadek. Na szczęście działo się to na oczach milicji. Na ślub dotarłem jednak z ponad godzinnym opóźnieniem (jedyna osoba której oczekiwanie ponoć nie denerwowało była panna młoda!). Na miejscu okazało się, że zamówiony kolega z obowiązującą wówczas białą limuzyną nie dotarł, była natomiast ciężarówka z napisem „Józek się żeni” (w drodze powrotnej napis głosił „Józek się ożenił”). Tomek, właściciel ciężarówki, nie omieszkał na klaksonie trzykrotnie okrążyć krakowski rynek. Milicji która nas zatrzymała wytłumaczył „Panie władzo, jedna naiwna Józka chciała”.

Milicjant spojrzał na mnie i uznając wartość argumentacji zrezygnował z mandatu.

Nie był to koniec przygód tego dnia. Kiedy po zakończonym przyjęciu weselnym wróciliśmy do domu, postanowiłem żonę wnieść do mieszkania na rękach. Miał to być symbol czekającej Ją szczęśliwej przyszłości. Mieszkałem na dziesiątym piętrze. Butnie nie skorzystałem z windy. Zaczęło się dobrze: *Już był u celu, już witał się z klamką*. Padłem (dosłownie i to z żoną w objęciach) na dziewiątym piętrze. Ostatecznie ledwie dyszącego do mieszkania dotaszczyła mnie żona. I tak jest po dzień dzisiejszy.

Dla równowagi należy dodać, że również moja Mama małżeństwo nasze zaakceptowała z pewną trudnością. Aby uzyskać zgodę na ślub, z bratem Staszkiem mieszkającym w Łącku, udałem się do Lewina Kłodzkiego gdzie Mama przebywała u brata Jana. Prosząc o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego – zgodnie ze zwyczajem – chciałem pocałować Ją w rękę. Bracia wraz z Mamą podnieśli wersalkę, ale schowanej ręki, którą Mama starannie przysiadła, nie wydostali. Całą drogę powrotną do Krakowa Staszek próbował mnie pocieszać. Zaskoczył mnie, sądziłem że jest człowiekiem twardszym. Widząc jego zmartwienie nie wypadało mi przyznać się, że właści-

wie jestem zadowolony, obowiązek synowski spełniłem, teraz mam wolną rękę (miał Dziadek raczej kiedy chciał mnie zabrać z Krakowa!). Sytuację starał się ratować brat Jan, który odważnie dał nam ślub (Dowód na załączonym zdjęciu). Oczywiście Mamy na tej uroczystości nie było, należy jednak dodać że podróż znosiła bardzo źle. Również ta sprawa zakończyła się happeningiem, choć w nieco malowniczej oprawie. Już po ślubie pojechałem z żoną do Lewina. Chcąc żonę przygotować na różne scenariusze przyjęcia, przez całą drogę powtarzałem półgłosem: „*żeby tylko żyłką po oczach nie cięli*”. Uczuciu grozy małżonka jednak nie uległa. Aby dobrze zaprezentować się przed teściową, podmalowała sobie oczy (robi to rzadko i dyskretnie). Czujne oko Mamy nienaturalność koloru dostrzegło. Życzliwie postarała się aby oczy synowej odzyskały kolor naturalny. Niestety, pod ręką miała tylko kuchenną ścierkę. Kiedy Basia cierpliwie zniosła ten kosmetyczny zabieg, starannie ogłędnęła ją ze wszystkich stron, po czym autorytatywnie orzekła: „*brzydkiś ty bo brzydki*”, a następnie już w moim kierunku z podniesioną pięścią „*aleś taką wziął, taką bedzies miął, a od innych ci wara!*” Chociaż do pierwszej części wypowiedzi miałem pewne wątpliwości, dotyczącemu mnie poleceniu – przynajmniej przez pierwsze czterdzieści lat małżeństwa – podporządkowałem się całkowicie.

7. Staż we Florencji

Jak wspominałem poprzednio rektor Bogusz przyznał mi 6-ście miesięczne stypendium włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był to rok 1975. Języka nie umiałem, zdążyłem wziąć zaledwie sześć lekcji. Zakochany w kulturze włoskiej znajomy student filologii włoskiej na UJ – lejąc obficie łzy nad moją niewiedzą i brakiem gorliwości (z braku czasu nie odrabiałem zadań domowych) – potrafił na tyle przekazać mi idee języka, że później byłem w stanie uczyć się go samodzielnie (chwała mu za to!).

Pomiędzy ośrodkami matematycznymi Krakowa i Florencji istniały tradycyjnie dobre kontakty. Oba należały do wiodących na świecie w dziedzinie różniczkowych, czyli dziedziny z której przygotowałem pracę doktorską. Wszyscy liczący się matematycy krakowscy zajmujący się równaniami mieli za sobą staże we Florencji. W takiej sytuacji niezbędne były referencje. Profesor Lasota, który był już parę razy we Florencji, udzielił mi bogatych informacji o tamtejszych specjalistach ale słowa pisanego nie dał. Wciąż chyba uważał że nie reprezentuję odpowiedniego poziomu. Nie chciał ryzykować. Prof. Opiała prosić nie mogłem, oznaczałoby to publiczne przyznanie się do braku zaufania ze tony prof. Lasoty, co absolutnie nie było w moim interesie. Znane już były nasze przyjacielskie stosunki, które niewątpliwie nobilitowały mnie w sferach matematycznych. Ograniczyłem się więc do listu który napisał mi przyjaciel dr Staszek Sędziwy (również on zaliczył już roczny staż we Florencji).

Na miejscu oczywiście nikt nie wiedział o moim przyjeździe. List okazał się cenny, chociaż dyskretnie indagowano mnie czemu nie wypowiedział się któryś z autorytetów krakowskich. Dzięki listowi pomóżono mi jednak znaleźć lokum i umożliwiono włączenie się w tamtejszą działalność matematyczną. Nowi koledzy odradzili mi uczęszczanie na kurs językowy twierdząc, że szybciej opanuje język rozmawiając

z nimi. Nieznajomość języka okazała się dla mnie w pewnym sensie zbawienna. Nie mogąc mówić nie obnażyłem braku podstawowych wiadomości, które według tamtejszych kryteriów powinienem był posiadać. Zakresy wykształcenia – co zresztą dość naturalne – nie pokrywały się, a z ich punktu widzenia braki te mogły być dyskryminujące.

Przez pierwsze sześć miesięcy opanowałem język na tyle że mogłem porozumiewać się oraz uzupełniłem wiedzę matematyczną tak, że na studiowane przez nich tematy mogłem dyskutować i efektywnie uczestniczyć w badaniach. Aby to uzyskać pracowałem 12 – 14 godzin dziennie. Niewątpliwie ważnym czynnikiem integrującym było włączenie się w życie towarzyskosportowe, wycieczki, biegi, wypadki nad morze (głównie na Elbę, gdzie moi nowi przyjaciele mieli letnie mieszkania). Dwa lub trzy razy w tygodniu jechaliśmy w pobliskie góry (Monte Morello) aby przebiec malowniczą dwunastokilometrową trasę. Dość szybko doszłusowałem do grupy szybciej biegających, co również ułatwiło nawiązywanie przyjaźni. Żonie udało się uzyskać paszport i mogła mnie odwiedzić, a to wówczas wcale nie było takie proste. Pomimo przysłowiowej niedostępności florentczyków, sporo domów otwarło przede mną drzwi. Mentalność rodowitych tubylców dobrze oddaje następujące zdarzenie. Na jednym z przyjęć poznałem młodego inżyniera, który zwierzył mi się, że jest zaproszony po raz pierwszy do domu rodziny florenckiej. Nie byłoby to szokujące gdyby nie fakt że: pochodził z pobliskiego Prato (30 km od Florencji – również Toskania), studia ukończył we Florencji, tu jako inżynier pracował już trzeci rok.

Środowisko matematyczne Florencji mój staż oceniło pozytywnie, pomimo, że nie uzyskałem jeszcze żadnych konkretnych rezultatów. Zaproponowano mi stypendium na następny rok. Propozycję oczywiście przyjąłem, tym bardziej że finansowo była wyraźnie przyzwoitsza.

Wyjazdu do kraju na okres wakacji nie mogłem ryzykować. Szansa na ponowne uzyskanie paszportu była nikła. Poświęciłem je więc na pięciodniowe zwiedzanie Włoch autostopem. Była to fascynująca przygoda i niektóre zdarzenia postaram się opisać

Pierwszy przystanek to Paestum, dobrze zachowane świątynie starożytnego miasta Greków. Będąc jeszcze we Florencji parokrotnie słyszałem intrygujące stwierdzenie „*świat kończy się w Salerno*”. Sens tej wypowiedzi zrozumiałem jak tylko znalazłem się poniżej Salerno. Tam dotarłem autostopem. Ponieważ do pobliskiego Paestum ruch był znikomy, ostatni odcinek należało pokonać komunikacją publiczną. Przy drodze młody chłopak sprzedawał arbuzy. Za uciętą porcję zażądał 500 lirów. Ponieważ cena wydawała mi się zbyt wysoka, humorystycznie rzuciłem „dam ci 100 lirów za całego arbuza” (przynajmniej 20 porcji), cenę wyraźnie zaniżoną. Kiedy wyciągnął jeden z większych okazów, nie wypadało się wycofać. Z kolei zapytałem czy jest i kiedy autobus do Paestum. Usłyszałem odpowiedź twierdzącą „*jeden przed południem drugi po*”. Na pytanie gdzie jest przystanek, chłopak powiódł ręką po horyzoncie na którym widać było ciągnącą się nitkę szosy. Dopiero po dalszym indagowaniu przechodniów zrozumiałem że informacje były poprawne. Istotnie, jeden autobus jechał z rana, drugi pod wieczór, w godzinach raczej losowych, a zatrzymywał się tam gdzie czekali pasażerowie. Po około trzygodzinnym oczekiwaniu autobus nadjechał, zatrzymał się

na mój widok, wsiadłem, po czym kierowca poprosił abym wyszedł i odjechał. Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że powodem był nieszczęsny arbut.

Ponieważ kolejny autobus miał być dopiero dnia następnego, piechotą dotarłem do najbliższej stacji benzynowej. Tutaj próbowałem zagadać tankujących benzynę aby, jeśli jadą w kierunku Paestum, byli uprzejmi mnie podrzucić. Dyspozycyjność była niezauważalna. W końcu jeden z zapytanych wyprawił mi ogromną awanturę za niepoprawną wymowę. Chciał wiedzieć z którego regionu Włoch jestem (długo tego pytania nie mogłem zrozumieć) i co za dureń był moim nauczycielem. Kiedy w końcu wyjaśniliśmy sytuację, podwiózł mnie pod wskazany adres (około 20 kilometrów). Urok polegał na tym, że jechał do odległego Rzymu, który leżał w dokładnie przeciwnym kierunku, a kilkanaście minut wcześniej przejechał przez Paestum. To są południowcy.

Ostello w Paestum okazało się wesołym hotelem o dobrej kuchni. Gospodarz zadbał abym już pierwszego wieczoru miał zapewniony transport na wieczorne tańce w jednym z tamtejszych nocnych lokali. Dołączył mnie do rodzeństwa w moim wieku. Było tak miło i wesoło, że następnego dnia nie wyjechałem. Plaża, zwiedzanie okolicznych zabytków, wieczorem lokal. Brat z zaangażowaniem pilnował siostry, nie wolno jej było nawet tańczyć. Przemięłe, wzbudzające sympatie rodzeństwo. Przedłużyłem pobyt. Piątego dnia przybyli z Neapolu dwaj kuzyni. Wydali mi się nieco dziwni. Na wieczorne tańce brat się nie wybrał, a pozbawiona opieki siostra zaczęła zachowywać się wyzywająco. Pod pretekstem zatrucia wyszedłem do toalety, po czym pieszo powróciłem do hotelu. Przyjaciele z Florencji ostrzegali mnie przed wyjazdem, na Południu Włoch z dziewczynami ani żartować ani flirtować nie należy. Gospodarz jeszcze nie spał, uregulowałem rachunek i wczesnym rankiem wsiadłem do pociągu aby kontynuować podróż. Żałowałem nawet, że nie mogę pożegnać się z nowymi znajomymi, ale następny pociąg był dopiero w godzinach południowych, na autostop nie można było liczyć. Kiedy znacznie później opowiedziałem o tym zaskakującym przeobrażeniu, znajomi z Neapolu wyjaśnili mi, że był to jeden z klasycznych sposobów naciągania turystów. Według nich kuzyni byli w rzeczywistości mafiosami (rzeczywistymi lub udającymi). Zadaniem dziewczyny było doprowadzić do podejrzanego sytuacji. Wówczas pojawiłby się krewny którego obowiązkiem byłoby zmyć zniewagę. W ostatniej rundzie do akcji wkroczyliby mafiosi sprowadzając problem do rozwiązania finansowego. Hańbę zmyć mogła krew lub pieniądze.

Następny ciekawy typ spotkany w tej wędrówce to przedstawiciel ruchu „Cristianismo per Comunismo”. Kręciłem się z nim przez trzy dni po opuszczonych zaułkach Calabрії. Rozwoził materiały propagandowe. Ja jako przedstawiciel państwa komunistycznego byłem żywym dowodem szczęścia, które na drodze przemian ustrojowych można osiągnąć. Niestety, to spotkanie zakończyło się również niefortunnie. Jednym z miejsc do których dotarliśmy była Jonica. Miejscowy komunizujący proboszcz miał ponoć wyrok śmierci wydany przez sąsiada, który na odmianę powiązany był z mafią. Aby wejść na plebanie pilnujący swojego guru młodzieńcy dokładnie oglądali nas przez peryskop. Niestety, niedługo po naszym przyjeździe zmuszono mnie do zabrania głosu. Świadomy, że grozi to zakończeniem wspaniałej wędrówki po bezdrożach Calabрії, zgodnie z moimi przekonaniem musiałem stwierdzić, że możliwości owoc-

nej współpracy Kościoła i komunizmu na bazie polskich doświadczeń nie widzę. Na terenie kościelnym i to w obecności księży kłamać nie wypadało. Powiało mrozem i najbliższą noc mocno głodny (sklepek miejscowy był już zamknięty) spędziłem w pobliskim lasku zakuty w śpiwór, śniąc o smakowitych zapachach które rozchodziły się po plebani. Potwierdzenie faktów o konflikcie proboszczów znalazłem po powrocie do Polski. Pisała o tym polska prasa, mówiono też w naszej telewizji.

Po utraceniu gościnności „Cristianismo per Comunismo” zatrzymałem się dopiero w Marsala, najbardziej na południe wysuniętym miasteczku Sycylii. Śpiącego na plaży zbudziła mnie wczesnym rankiem polska studentka. Zdradził mnie polski śpiwór, a byłem ponoć pierwszym rodakiem którego tam spotkała. Sama przyjechała wraz z rodziną rzymską, która zatrudniała ją jako opiekunkę do dzieci. Stąd rozpocząłem odwrót na Północ. Z Castelvetro do Sciacca ciuchcia pędziła wśród winnic z taką prędkością, że zdążyłem wyjść z pędzącego pociągu, narwać winogron i spokojnie wskoczyć do przedostatniego wagonu. Kiedy ukazały się imponujące Greckie świątynie Selinunte, wyskoczyłem z pociągu, a po paru godzinach wskoczyłem do następnego. Podczas drzemki w cieniu świątyń Selinunte ukąsił mnie jakiś insekt i następny dzień już w Sciacca dostałem wysokiej temperatury. Prawie nieprzytomnym chorym zajęła się mieszkająca w rozbitym na plaży campingu rodzina. Zostałem oprany, dokarmiony i wyleczony. Na wyposażeniu rodzina miała kuchnię, doprowadzony prąd, wodę, pralkę. Okazało się, że pozbawiony nóg gospodarz był cenionym kompozytorem sycylijskich piosenek, a zwykł tworzyć na łonie natury. Zezwolenie na opuszczenie Sciacca od moich opiekunów otrzymałem dopiero wówczas, gdy zaliczyliśmy odwiedzin u szerokiego grona ich tamtejszych znajomych.

Wypoczęty i odżywiony ponownie wyruszyłem autostopem. Jeszcze przed Ragusąabrał mnie brodaty typ, który dowiedziawszy się że pochodzę z komunistycznej Polski zaproponował mi wizytę w miejscu swojego pobytu. Polnymi drogami dotarliśmy do obozu rozbitego pod namiotami w dzikim, prawie pustynnym terenie. Nakarmiono mnie i ułożono do snu. Po południu drugiego dnia przewidziane było spotkanie z uczestnikami obozu. Po śniadaniu zaglądnąłem do dużego namiotu gdzie odbywał się wykład na temat zakładania materiałów wybuchowych. Wykład drugi dotyczył walk ulicznych. Wydawało mi się to bardzo dziwne. Kiedy zorientowałem się, że łazik obozowy udaje się po zaopatrzenie, nikogo nie informując wskoczyłem na pakę i z ulgą patrzyłem jak wóz oddala się od obozowiska. Sądzę, że był to obóz Czerwonych Brygad, które kilka miesięcy później przystąpiły do próby obalenia panującego systemu, aranżując szereg zamachów. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o ich istnieniu. Wydane w celu walki z terrorystami przepisy umożliwiały uwięzienie podejrzanych osób bez konkretnych dowodów. Znam przypadki profesorów którzy spędzili kilka miesięcy w więzieniu, bowiem uwięziony terrorysta bawił się również w prawdziwego studenta i w swoim notesie zapisał numer telefonu wykładowcy. Nasuwa się naturalne pytanie: *jak służbom bezpieczeństwa (lokalnej policji) udało się nie zauważyć dużego obozu szkoleniowego?* Więcej, gdzieś przecież musiano trenować strzelanie. Nikt nic nie widział i nie słyszał²⁴.

²⁴ Trudno nie podejrzewać, że istniały siły (prawdopodobnie skrajnie prawicowe) które przychylnym wzrokiem patrzyły na możliwość wybuchu rozruchów zorganizowanych przez lewicę. Dzisiaj wiadomo już, że np. krwawy zamach na Piazza Fontana w Bolonii zorganizowała prawica.

Z drugiej strony gdyby taki obóz był pod obserwacją i odnotowano by moją obecność, w najlepszym przypadku szybko znalazłbym się w rodzinnym kraju.

Następne punkty to grecka Siracusa, barokowa Catania i przepiękna Taormina. Z Taorminy udało mi się dotrzeć do krateru Etny, pomimo że w trakcie była erupcja gazowa. (Etnę odwiedzałem jeszcze parokrotnie, również podczas erupcji lawy). Następnie zaliczyłem wyspy archipelagu Eolie: Vulcano, Stromboli i Lipari. Na Vulcano kursował mały stateczek z Milazzo, bodajże raz dziennie, nie licząc kursów turystycznych. Wysepka była jeszcze zupełnie niezamieszкана. Obecnie jest to jedno eleganckie wielkie centrum turystyczne, inwestycja mafii. Wtedy docierali tam wyłącznie turyści indywidualni. Pamiętam, że pierwszej nocy na plaży spało nas ponad 50 osób. Ja dołączyłem do małżeństwa francuskiego, w grupie zawsze raźniej. On był inżynierem. Ona lekarzem. Na drugi dzień wydrapałem się na krater (300 – 500 metrów). Zauroczonej dziką, niedostępną od lądu plażą, spuściłem się w dół. Zmartwienie jak wydostać się z powrotem odłożyłem na drugi dzień, a sam ze znalezionych na plaży drzwi urządziłem w nadmorskiej grocie łóżko i nasyciwszy oczy urokami przyrody, zasnąłem. Zbudziło mnie stado szczurów, które przez moje leże urządziło sobie tor biegowy. Wstałem i aby zabezpieczyć się przed gryzoniami ze skał zbudowałem podpórki, na nich ułożyłem drzwi i zasnąłem ponownie. Tym razem rozbudzenie było gwałtowne. Konstrukcja legła w gruzach, z zatopionych pod nogami grot dochodziły groźne pomruki, morze huczało raczej niemilo. Kołysałem się jak pijany. Ponadto wybuchła gwałtowna burza. Wzrastające fale zaczęły grozić zatopieniem. Przerazonny porwałem plecak i wdrapałem się na górę. W ciągu dnia miałem obawy czy dam radę, w świetle błyskawic zrobiłem to ekspresowo. Resztę nocy i burzy przeczekałem siedząc pod drzewem po drugiej stronie krateru. Kiedy pojawił się stateczek odpłynąłem na Lipari, gdzie byli ludzie i cywilizacja. Już we Florencji koledzy wyjaśnili mi, że było to lokalne trzęsienia ziemi. Na powulkanicznych wyspach występują one dość często. W efekcie tych przeżyć w dalszej podróży starałem się jednak trzymać bliżej cywilizacji i hoteli.

Ponownie Florencja i twarda praca. Rozpocząłem wspólne badania z Francesco De Blasim. Neapolitańczyk zbuntowany wobec istniejącej rzeczywistości, nie utrzymujący kontaktów ze swoją wpływową burżuazyjną rodziną, zwolennik ruchów głoszących sprawiedliwość społeczną. Pracę rozpoczął na uniwersytecie w Neapolu jako asystent profesora Carla Mirandy, jednego z głównych „baronów” tamtejszych czasów. Nie odpowiadał mu jednak narzucony reżym i pomimo głębokiego szacunku jaki żywił do pozycji naukowej Mirandy, uciekł aż do Rodezji, gdzie pracował jako wykładowca. Stamtąd wyjechał na studia doktoranckie do Stanów Zjednoczonych. W Stanach uznał, że promotor ma tematykę mało ambitną, przeniósł się więc do Anglii, a następnie podjął prace na uniwersytecie we Florencji. Przypadek zrzucił że we Florencji przebywał wówczas Lasota. Pierwsze wartościowe prace napisał wspólnie z Lasotą. Dlatego też uważał się za ucznia Lasoty. Kiedy pojawiłem się we Florencji zaproponował mi współpracę. W pierwszej chwili propozycji nie podjąłem, chciałem pracować z Arrigo Celliną. Ponieważ z nowym rokiem akademickim Arrigo przeniósł się do SISSA w Trieście, przyjąłem wcześniejszą propozycję Francesco. Był to strzał

w dziesiątkę. Współpraca ta okazała się bardzo korzystna dla obu stron i w decydującym stopniu zdecydowała o mojej przyszłości. Istotną rolę odegrał fakt iż obaj matematycznie zostaliśmy ukształtowani przez Lasotę. Pomimo nieporozumień z Lasotą, Jego pozycja i sława roztaczała nade mną ochronny parasol.

Również sprawy rodzinne ułożyły się dobrze. Żona dostała paszport, znajomi załatwili nam przyjemne lokum z wyjściem do ogrodu w wolno stojącym domu w pięknej części willowej Florencji. Sama Florencja była zupełnie inna niż dzisiaj. Ulice nie blokowały tłumy turystów. W dni świąteczne pomimo że wszystkie muzea były bezpłatne, nie było do nich kolejek²⁵. W dni powszednie muzea były właściwie puste, a na legitymacje Schronisk Młodzieżowych wejście mieliśmy również bezpłatnie. Na posiłki chodziliśmy do stołówki studenckiej, która były całkiem dobra i tania. Przyjaciele dbali o organizację turystycznych wycieczek po pełnej uroków Toskanii.

Jedyny problem to włoskie zezwolenie na pobyt żony. Niestety, mój opiekuńczy Anioł Stróż zdrzemnął się na chwile i palnąłem głupstwo. To warto opowiedzieć. Któregoś dnia w centrum Florencji napotkaliśmy dwie demonstracje. Udało mi się wydrapać na kamienną przyzbę zabytkowego pałacu i kiedy manifestanci zaczęli się obkładać się, rozbawiony z bezpiecznej wysokości ochoczo zachęcałem do walki. O zdarzeniu zapomniałem. Kiedy żonie skończyło się zezwolenie na pobyt udaliśmy się w sprawie przedłużenia na kwesturę. Do gabinetu zaprosił mnie sam naczelnik, poczęstował kawą i landrynkami (mężczyzna który ma landrynki!) oraz zadał szereg pytań: kogo znam, z kim się przyjaźnię, z kim mam kontakty w Czechach. Sprawy nie załatwiłem, natomiast systematycznie musiałem wracać do kwestury. Za każdym razem podobnie: kawa, landrynki, te same pytania i uporczywe stwierdzenie „z Polski, a to twoją stolicą jest Praga”. Początkowo sądziłem że jest to po prostu głupek. Aby żony nie deportowano do Polski musieliśmy interweniować w ministerstwie. Na szczęście podsekretarzem stanu był kuzyn zaprzyjaźnionego profesora. Pomimo tak wysokiego poparcia żona wizy nie dostała. Nie miała też odpowiedzi negatywnej, co dawało jej prawo na czekanie w miejscu aktualnego pobytu. Nie mogła Włoch opuścić ze względu na brak możliwości powrotu. W dniu w którym skończył się termin mojej wizy, policja pojawiła się w naszym mieszkaniu aby dopilnować naszego wyjazdu. Na szczęście przez przypadek dzień wcześniej przenieśliśmy się do mieszkania miejscowego kolegi który wyjechał za granicę. Spokojnie spędziliśmy jeszcze we Florencji miesiąc. Powodu trudności wizowych zacząłem domyślać się, kiedy Sandro Pertini, prezydent Włoch, publicznie oskarżył Republikę Czechosłowacji, że na jej terenie szkolone są Czerwone Brygady. Potwierdzenie dostałem później. Otóż policja porobiła zdjęcia gdy manifestantów podgrzewałem do walki (prowadząc wywiad pokazano je kolegom z instytutu). Dla służb było oczywiste że prowadzę działalność polityczną. Fakt że nie zostaliśmy wydalen z Włoch zawdzięczamy wyłącznie kuzynowi prof. Villariego pełniącemu wówczas funkcje wiceministra. Skończyło się dobrze, ale ryzykowałem szybkie zakończenie włoskiej przygody.

²⁵ Dzisiaj wejście do galerii Uffizi, Pitti czy Belle Arti to parogodzinne oczekiwanie w kilometrowych kolejkach.

Ród Ćwikowskich, Pasiudów i Kurzejów

Gdy patrzę na rozległe gałęzie drzewa genealogicznego od strony mamy zachwyca mnie fakt, że z jednej pary ludzi żyjących w dziewiętnastym wieku “wyrośli” tyle bardzo zdolnych osobowości. Mówię w tym momencie o Antonim Ćwikowskim i Marii z Jaworskich – moich praprapradziadkach. W książce “Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama” z 1910 roku można przeczytać:



Antoni Ćwikowski

“Ćwikowski to wzór polskiego chłopca, gospodarza. Urodzony w 1844 w Czerncu uczęszczał do Szkoły w Łącku – podówczas jeszcze niemieckiej, w niej celował zdolnością i pilnością. W 18-tym roku odumarł go ojciec więc za zezwoleniem władz wojskowych ożenił się z Maryą Jaworską i rozpoczął ciężką ale wydatną pracę, na dwudziestokilko morgowym gospodarstwie. Już jako młodego gospodarza obrano go wójtem, członkiem rady szkolnej w Łącku i komitetu kościelnego. Urzędy to piastował kilkakrotnie a dla swojego rozumu nieskazitelnego charakteru, wydatnej pracy zyskał szacunek i poważanie w gminie i okolicy. Jego staraniami zawdzięcza Czerniec nabycie większej ilości lasu, niezbędnego dla Gminy. Miłując w szkole naukę, poznał jej korzyści i potrzebę, to też

synom swym dał wyższe wykształcenie. Najstarszy dr. Stanisław – adwokat w Nowym Sączu, młodszy Franciszek, profesor w gimnazjum w Nowym Targu, trzeci Jan – kierownik szkoły ludowej, wreszcie najmłodszy Michał po ukończeniu szkół w Nowym Sączu osiadł na ojcowskim zagonie”



dr Stanisław Ćwikowski



Jan Ćwikowski



Franciszek Ćwikowski

Z owego małżeństwa przysła na świat najpierw trójka: Józef (ur.1863), Jan (1865), Franciszka (1868) Małgorzata (1870). W 1873 w Łącku i okolicy krwawe żniwo zbierała cholera. Śmierć nie patrzyła na to, czy ktoś pochodził z biednej czy z zamożnej rodziny. Najmłodsza Małgosia zmarła 23 lipca 1873, a starsi synowie cztery dni później. Rodzice byli w tej sytuacji bezradni, proszę sobie wyobrazić jak wielkim bólem musiało być przepełnione serce matki, która w niespełna tydzień straciła trójkę dzieci... Na szczęście wiek XIX minął i klęska "moru" już nie powróciła. Przeżyła jedynie moja praprababcia, Franciszka. Dwa lata, po pamiętanym jeszcze letnim horrorze, narodziła się moja druga praprababcia Maria, następnie dr. Stanisław Ćwikowski (1877), Jan (1879), Franciszek (1881) i najmłodszy Michał (1883) – który pozostał na ojcowskiej gospodarce.

Lata miały, czarniecka młodzież dorastała... Franciszka Ćwikoszczanka wyszła za mąż za sąsiada zza potodku "Benowia" – Jana Pasiuda. W ten sposób "gazdówka" Pasiudów nie poszła w obce, lecz zaufane ręce. Pasiudowie mieli duże włości, ich dom stał przy głównej drodze w Czerncu, w latach 90. został zburzony (pozostał tylko kawałek dobudówki, który teraz stoi przy nowym domu Stanisława Pasiuda.



Franciszka i Jan Pasiudowie mieli czwórkę dzieci:

- Stanisław Pasiud
- Franciszek Pasiud
- Anna Klag z d. Pasiud
- Jadwiga Bogucka z d. Pasiud

Co do samej Franciszki była to osoba obdarzona bardzo donośnym i czystym głosem. Do dziś w Archiwum Polskiego Radia powinno być nagranie jej śpiewu przyśpiewek łąckich nagrane w latach 50-tych XX wieku. Ponoć gdy nawoływała kury słyhać ją było aż na Oblaz...

Maria Ćwikoszczanka wyszła za mąż za ubogiego wdowca Wojciecha Kurzeję z Kiczni. Było to przyjęte ze zdziwieniem, że dziewczyna z bogatego rodu wydaje się tamże. Jakie były przyczyny takiego zamążpójścia, kto to wie... Mieli piątkę dzieci:



Stanisław Pasiud



Franciszek Pasiud



Anna Klag



Jadwiga Bogucka

- Piotr Kurzeja – mój pradziadek
- Władysław Kurzeja – w Nowym Sączu
- Zofia Pasiud – moja prababcia z d. Kurzeja
- Agata Bieniek – w Szczawnicy z d. Kurzeja
- Franciszka Pałka – w Łącku z d. Kurzeja

Gdy Wojciech Kurzeja umarł, Maria wyszła ponownie za mąż za “Matusa” na Paproć i urodziła córkę Halinę. Zaraz po urodzeniu córki zmarła na zapalenie płuc, miała 36 lat.

Osierocone dzieci, z pierwszego małżeństwa, dzięki pomocy wujostwa mieli zapewnione w miarę dobre życie. Piotr i Zofia zostali u ciotki Franciszki Pasiud. Z taką różnicą, że Piotr przeniósł się później na “Myjakówkę, a Zofia została na stałe, wychodząc później za mąż za swojego kuzyna Stanisława Pasiuda. Franciszka Pałka i Agata Bieniek uczyły się w szkole w Podegrodziu. Pałkowa zamieszkała z mężem Janem na “Czyżeńcu” a Agata Bieniek w Szczawnicy. Władysław Kurzeja wyuczył się na adwokata i był poważany w Nowym Sączu.

Dr Stanisław Ćwikowski (1877-1960) ukończył wydział prawa na Uniwersytecie Lwowskim (obronił dyplom doktora praw), pracował w Nowym Sączu jako adwokat. Aktywnie działał w PSL “Piast” wchodząc w latach 1914-1918 i w 1924-1927 w skład Rady Naczelnej stronnictwa. Pełnił również mandat posła na Sejm Ustawodawczy (1919-1921). Po secesji Jakuba Bojki w 1927 przeszedł do Zjednoczenia Ludu, gdzie próbował porozumieć się z obozem sanacyjnym. W 1938 został wybrany do Naczelnej Rady Adwokackiej z ramienia Izby Adwokatów w Krakowie (M. Smogorzewska “Posłowie i senatorowie RP 1919-39 Tom I A-D Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998)

Michał Ćwikowski był najmłodszym z tego rodzeństwa. Ożenił się z Katarzyną Faron i mieli razem dziesięcioro dzieci:

- Maria Adamczyk z d. Ćwikowska
- Franciszek Ćwikowski – adwokat

- Justyna Ćwikowska – zmarła na gruźlicę jako panna
- Tadeusz Ćwikowski
- Jadwiga Kurzeja (w Jazowsku) z d. Ćwikowska
- Michał Ćwikowski
- Józef Ćwikowski
- Rozalia Gurgul z d. Ćwikowska
- Jan Ćwikowski
- Stanisław Ćwikowski

Piotr Kurzeja ożenił się z Wiktorią Arendarczyk z Janasówki w Łącku. Jej matka to Franciszka z d. Kałużna (1854-1926) i Jakób Arendarczyk (1852-1930). Pradziadkowie wychowali czwórkę dzieci



Zofia 1voto Kłag 2voto Ukleja z d. Kurzeja
 Maria Myjak z d. Kurzeja
 Władysław Kurzeja – mój dziadek
 Helena Więclawek z d. Kurzeja

Zofia Pasiud z Stanisławem Pasiudem mieli dziesiątkę dzieci

Rozalia 1voto Ciapała 2voto Marek z d. Pasiud
 Maria Faron z d. Pasiud
 Janina Kurzeja z d. Pasiud – moja babcia
 Wiktoria Gorczyca z d. Pasiud
 Jadwiga Biernacka z d. Pasiud
 Zofia Pokrzyk z d. Pasiud
 Józefa Niemiec z d. Pasiud
 Władysława Potoniec z d. Pasiud
 Helena Pasiud – zmarła w wieku 20 lat
 Jan Pasiud



Dziadek z babcią jak i pradziadkowie byli kuzynami w linii prostej. Było to zjawisko dość powszechne, chodziło przede wszystkim o to, aby nie rozdzielić ziemi i nie wprowadzić obcych do rodu.

Dziadkowie mieli szóstkę dzieci:

- Stanisława Chowaniec z d. Kurzeja
- Maria Wnęk z d. Kurzeja – moja mama
- Wojtuś Kurzeja – zmarł gdy miał 3 miesiące

- Jadwiga Gromala z d. Kurzeja
- Rozalia Mazuga z d. Kurzeja
- Anna Madziar z d. Kurzeja



Od lewej stoją: babcia Janina I dziadek Władysław Kurzeja, Bronisław Wnęk, Maria I Józef Wnęk – (rodzice), Jadwiga Gromala I Rozalia Mazuga. Siedzą od lewej Zofia I Stanisław Pasiud – pradziadkowie (Stanisław na kolanach trzyma mojego najstarszego brata – Romana.), Zofia Pokrzyk

Siostry i brat mojej babci, jak również siostry dziadka, i on sam byli bardzo muzycalni, śpiewali w łąckim chórze “Zew Gór”. Początkowe fazy tego zespołu tak wspomina siostra dziadka Maria Myjak: *“W latach okupacji chodziłyśmy już do Łącka do Moryty, w domu parafialnym śpiewałyśmy kolędy. Najpierw był to tylko chór dziewczęcy a później doszli też chłopcy – zresztą Moryto chodził po kolędzie to jak widział gdzie takiego, że miał głos, albo w kościele słyszał to zbierał. A potem u Moryty w domu, bo on wtedy jeszcze mieszkał w tej organistowce naprzeciw szkoły podstawowej, on tam miał duży pokój, tam było pianino, już był żonaty z Smajkiewiczzonką i mieli już Staszka tego co w Warszawie, Wacka i Witka – oni leżeli w takim modnym wtedy podwójnym łóżku tam te dzieci spały i my tam śpiewali. Zimno było jak cholera, bo niby mieli piec kaflowy, no ale węgla nie było, paliło się drzewem, a co to ciepła dało... Lampami naftowymi paliliśmy to nas było 30-40 osób to te lampy aż gaśły. Moryto ćwiczył niesamowicie piękne rzeczy.*



Orkiestra grała coraz lepiej i jak był oplatek strażacki w Czerncu, my już wtedy byli takim chórem, że my śpiewaliśmy, a orkiestra grała i mieliśmy taką partyzancką piosenkę...

*Szumi bór, szumi las
Wieje halny wiatr
Hula od Prehyby
Muska szczyty Tatr*

*Idzie w bój leśna brać
Idzie Szwabów prac
tam grzechocą automaty,
a tu walka na granaty
Bum bum tratatata!*

*A kto chce rozkoszy użyć na wojence
Niech idzie razem z nami w las!
Lepiej u nas na wolności niż w udręce
W niewoli spędzać wojny czas.*

*My żyjemy wesoło
Chociaż burza w około
Nie obchodzi nas Gestapo ni łapanki
Stój Szwabie bo tu polski las!*

Śpiewaliśmy na cztery głosy, a orkiestra grała to ludzie płakali, bo to każdy przeżył, każdy stracił kogoś na tej wojnie. To było straszne.

Dom pod numerem 33 położony był zaraz przy drodze, drewniany z podmurówką i gankiem

Podzielony był na dwie części. W środku była sień zakończona z obu stron drzwiami, z przodu dla gości, a z tyłu na obejście. Wchodząc przez ganek od ulicy po prawej stronie mieszkali moi dziadkowie z mamą i resztą dzieci, a po lewej pradiadkowie – Piotr i Wiktoria Kurzeja. Mieli kuchnię z widokiem na zabudowania gospodarcze i “izdebkę” z oknem na ulicę. Po prawej stronie była duża izba, która w latach 50-tych została przegrodzona na dwie części.



Mama na tle domu rodzinnego

Wcześniej w “Myjakówce” – bo tak ten dom nazywali – mieszkał mój dziadek z siostrami i rodzicami. Z “dużą izbą” po prawej stronie związanych jest parę ciekawych historii, które opowiedziała mi ciocia Maria Myjak. Przytoczę tu jedną z nich:

“Jak się miała wojna zacząć to do nas do domu przyjeżdżali studenci – to byli Niemcy przebrani za studentów polskich, w naszych strojach, w czapkach studenckich (bo wtedy mieli takie berety okrągłe) i u nas mieszkali w dużej izbie ja im jeszcze sprzątałam, pamiętam jak dziś. Oni wszystkie mapki rysowali i było im tak łatwo wejść do Polski, bo wszystko mieli zaznaczone gdzie który dom, teraz widzę dom ciotki Pałkowej (biały dom między p. Krawczykami a domem Lucyny Więclawek) tu był wcześniej inny piękny, duży dom i podpalili go. Oni wszystko wiedzieli gdzie co jest...

O ile w Kiczni, na Woli czy innych miejscowościach położonych w górzystych, zalesionych terenach było nieco spokojniej, o tyle życie przy drodze głównej, w czasie wojny, było ciężkie. Mama opowiadała mi, że gdy Niemcy szukali ludzi do przymusowych robót wpadli do domu Kurzejów. Dziadek ukrył się na poddaszu za kominem, gdyby położył się w sianie które tam było pewnie zostałby przebity przez żołnierza widłami, całe szczęście, że nie szukali dalej. Ciocia Myjakowa wspomina pewną sytuację.

„My się kryły, ja w domu u Łędźwina, to mnie ich matka pod pierzyną kryła bo mnie do Niemiec chcieli zabrać na roboty, a tata się tak bał, żeby mnie nie wzięli (Zośka, siostra już była mężatką i jej mąż był w niewoli) to ta babina mnie pod pierzyną kryła, ludzie byli tacy złośliwi, że skarżyli jeden na drugiego. To ja raz szłam do ustępu, ktoś mnie zobaczył, że tam jestem i ja w nocy już uciekłam górą. Tata najął jedną kobietę, dał jej pół metra (50 kg) zboża bo miała dziecko, taka stara panna i pojechała za mnie na moją kartę do Krakowa, do Arbeitzamt, ale miała świerzb i oni ją wrócili, bo Niemcy się brzydzą tych chorób.”

Jednak oprócz nieprzyjemnych chwil czas wojny przynosił też radosne wspomnienia. Młodzież z Czernca, Łącka i Zarzecza po nieszpórach niedzielnych chodziła do cukierni u Faron (obecnie Zakład Fryzjerski pani Barbary Nowak z domu Twardowskiej).



Od lewej: Maurer z Zarzecza, moja babcia Janina Pasiud (po mężu Kurzeja), Władysław Dziorny z Łącka, Maria Kurzeja (po mężu Myjak), Leon Faron, Talarczyk, NN



Od lewej babcia, Maurer, Maria Myjak



Od lewej Maria Myjak, Maurer, babcia Janina

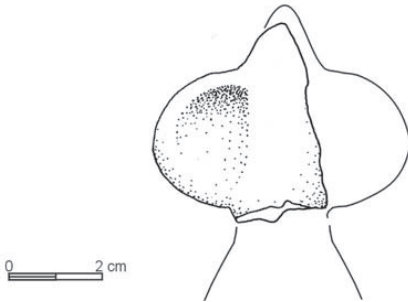


Maria Kurzejanka (Myjak) i Maria Pasiudzianka (Faron) przed domem rodzinnym Czerniec 33. W tle w środku Zofia Klag (Ukleja) z pierwszym mężem Antonim Klagiem i jego siostrą (w czerni)

Moi rodzice Maria i Józef Wnęk są małżeństwem od Bożego Narodzenia 25.12.1974r. Mają piątkę dzieci: Romana, Władysława, Renatę, Mariusza i Marcina – autora niniejszej pracy. Mama przez trzydzieści lat pracowała jako nauczycielka w Przedszkolu najpierw w Jazowsku, później w Łącku. Tata z zawodu ślusarz, śpiewał na weselach. Aktualnie jest w Stanach Zjednoczonych. Odkąd pamiętam w moim domu zawsze brzmiała muzyka, moi bracia i siostra uczęszczali do Ogniska muzycznego w Łącku. Potrafią grać na akordeonie, trąbce, skrzypcach, gitarze. Ja postanowiłem iść trochę dalej i obecnie uczęszczam do Studium Organistowskiego w Tarnowie. Jeśli Bóg da może “będzie coś z tego”

Znad Dunajca nad Dunaj tropem wierzeń sprzed trzech tysięcy lat

Najciekawszy chyba zabytek, odkryty podczas dotychczasowych badań prehistorycznego osiedla na „Górze Zyndrama”, został znaleziony podczas wykopalisk prowadzonych w sierpniu 2011 roku przy wschodnich umocnieniach grodziska, w warstwach związanych z osadą ze środkowej epoki brązu. Pod koniec jednego z dni pracy, gdy wykop czyszczony był do dokumentacji na głębokości 110 cm, pod cienką warstwą oderwanej łopatą ziemi pojawił się nieoczekiwanie niewielki gliniany przedmiot – fragment figurki przedstawiającej stylizowaną postać ludzką. W archeologii każde tego rodzaju nietypowe i niespodziewane odkrycie otwiera dla zespołu prowadzącego badania zupełnie nową i wymagającą zgłębienia problematykę. W wypadku przedmiotu – przez członków ekspedycji ochrzczonego natychmiast jako „Plastus” – chodzi o zagadkę związaną z wierzeniami religijnymi sprzed trzech tysięcy lat.



*Fragment glinianej figurki z Maszkowic
i rekonstrukcja jej górnej części
(fot. M.S. Przybyła, rys. M. Skoneczna)*

Jedną z podstawowych procedur, które archeolodzy wykorzystują w rekonstrukcji dawnych kultur, polega na poszukiwaniu w literaturze specjalistycznej wydobytých podczas wykopalisk przedmiotów, podobnych do siebie pod względem manieri wykonania bądź funkcji (tak zwanych analogii), a następnie na dokładnym analizowaniu ich kontekstu, czyli relacji względem innych rodzajów zabytków lub nieruchomych pozostałości (np. relikwów budowli lub konstrukcji grobowych). To

dlatego tak ważne jest precyzyjne dokumentowanie wszystkich obserwacji dokonanych podczas badań wykopaliskowych. Poszukiwanie analogii nie odbywa się oczywiście „na ślepo”. W poruszaniu się po ogromnym zbiorze informacji zgromadzonych przez sto pięćdziesiąt lat istnienia naukowej archeologii, pomocne są wszelkie wstępne sugestie odnoszące się do czasu i regionu pochodzenia interesującego nas zabytku.

Dzięki studiom prowadzonym nad zabytkami z Maszkowic, zwłaszcza nad bardzo licznie znajduwaną przez nas ceramiką naczyniową, możemy obecnie z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że fragment glinianej statuetki został zdeponowany (porzucony lub celowo złożony do ziemi), gdzieś pomiędzy 1450 a 1300 rokiem przed narodzeniem Chrystusa. Wiemy też, że ludzie, którzy byli właścicielami tej figurki pochodzili z południa. Ich przodkowie przybyli na miejsce zwane dziś „Górą Zyndrama” kilkanaście generacji wcześniej – około 1650 roku przed narodzeniem Chrystusa. Były to te same czasy, kiedy w dalekim Babilonie władza pierwsza dynastia królów, zapoczątkowana przez Hammurabiego, a w Egipcie po raz drugi najazdy obcych ludów przerwały władzę faraonów, kończąc istnienie tzw. Średniego Państwa. W tym okresie, na górującym nad żyzną doliną Dunajca i zapewniającym naturalną obronę wzniesieniu, powstała mała forteca, z umocnieniami w postaci niskiego kamiennego muru, zbudowanego z piaskowcowych płyt.

Przypuszczamy, że przyczyną, dla której osadnicy pojawili się nad Dunajcem była chęć kontroli ważnego szlaku komunikacyjnego i handlowego. Osiedle na „Górze Zyndrama” mogło być więc w początkach swego istnienia rodzajem umocnionej faktorii – miejscem leżącym na trasie wiodącej od Bałtyku do Morza Egejskiego. Wiadomo również, że spośród znanych obecnie stanowisk archeologicznych było ono najdalej na północ wysuniętą placówką zamieszkaną przez ludzi o kulturze właściwej dla dorzecza Dunaju i dla Bałkanów. I właśnie tam – na południowo-wschodnich krańcach Europy znaleźć można najliczniejsze analogie dla statuetki odkrytej w 2011 roku.

W pierwszym rzędzie wymienić trzeba liczną grupę figurek (znanych jest już ponad 350 egzemplarzy) znalezionych w różnych miejscach w północnej Serbii, południowo-zachodniej Rumunii i w Bułgarii. Ich wiek szacuje się, podobnie jak w wypadku statuetki z Maszkowic, na lata 1450-1300 przed Chrystusem. Identyczne z zabytkiem z „Góry Zyndrama” są także ich rozmiary (od dziesięciu do dwudziestu centymetrów wysokości) oraz kształt, a zwłaszcza tendencja do daleko posuniętej stylizacji postaci ludzkiej – z głową zredukowaną do stożkowatej górnej partii, a ramionami do półkolistych wypustek. Większość odkrywanych na północnych Bałkanach figurek jest jednak zdobiona. Cienką, głęboko rytą kreską wykonany jest na nich rysunek odtwarzający ozdoby (kolie i bransolety) oraz detale stroju przedstawianej postaci, najprawdopodobniej kobiecej. W wielu wypadkach, dla podkreślenia efektu, linie ryte wypełnione są białą masą inkrustacyjną, odcinającą się od kremowej lub brunatnej powierzchni glinianej statuetki. W przeciwieństwie do figurki z Maszkowic, podobne do niej zabytki z północnych Bałkanów znajdowane

są zwykle nie w miejscach gdzie mieszkało, lecz towarzyszą zmarłym, jako element wyposażenia złożonego do grobu.

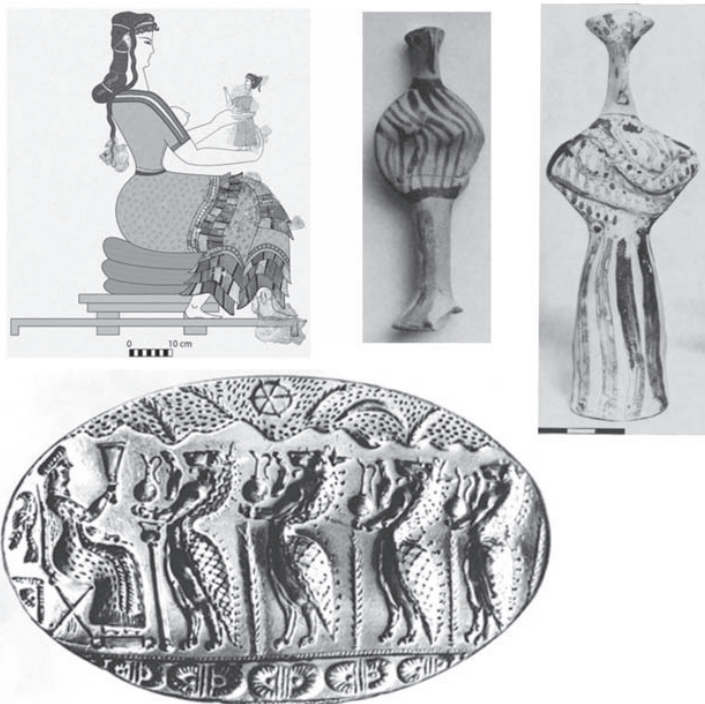
Szczegółowe studia przeprowadzone nad prehistorycznym cmentarzyskiem położonym w miejscowości Cırna, nad jeziorem Nasta, w południowej Rumunii, pozwoliły dokonać obserwacji przybliżającej nieco miejsce, jakie zajmowały gliniane figurki kobiet w rytuale pogrzebowym ówczesnych mieszkańców południowej Europy. Okazało się, że we wszystkich grobach, gdzie odkryto te zabytki pochowane były wyłącznie dzieci.



Przykłady figurek kobiecych z północno-bałkańskich cmentarzysk z epoki brązu (wg V. Dumitrescu)

Zależność ta jest o tyle interesująca, że zbiega się z obserwacjami dokonanymi w strefie, gdzie gliniane statuetki zbliżone do okazu z „Góry Zyndrama” występują najliczniej, a ich znaczenie dyskutowane jest przez archeologów od ponad stu lat. Chodzi tutaj o figurki pochodzące ze stanowisk tzw. kultury mykeńskiej, odkrywanych na Peloponezie, w Attyce, ale również na wyspach Morza Egejskiego i na wybrzeżu Azji Mniejszej. Ich prostsze i wcześniejsze odmiany produkowane były dokładnie w tym samym czasie, kiedy do ziemi trafiła statuetka z Maszkowic i podobne do niej zabytki z północnych Bałkanów – w stuleciu pomiędzy 1420 i 1330 rokiem przed narodzeniem Chrystusa. Określane są one jako typy Phi i Tau, gdyż przypominają kształtem te greckie litery: głowa przedstawianej postaci jest stożkowata lub cylindryczna, z rzadko zaznaczonym nosem, a ramiona to półkoliste lub trójkątne skrzydełka. W przeciwieństwie do figurek północno-bałkańskich ich dolna partia ma jednak postać cylindrycznej podstawki, a nie klosza. Inaczej, bo z użyciem czerwonej farby, wykonany jest też ornament. Gliniane figurki kobiet w mykeńskiej Grecji zrobione są bardzo starannie, najprawdopodobniej w wyspecjalizowanych warsztatach garncarskich. Obserwacja ta pozwala przypuszczać, że ich głęboka stylizacja

nie jest wynikiem braku umiejętności wytwórców, lecz należy ją traktować jako efekt zamierzony. Specjaliści zajmujący się sztuką starożytnej Egei stoją zresztą na stanowisku, że schematyczne mykeńskie figurki powstały jako celowo uproszczona wersja znacznie bardziej realistycznych pierwowzorów pochodzących z Krety, gdzie podobne statuetki przedstawiają zwykle kobiety ze skrzyżowanymi ramionami, lub postacie trzymające w ramionach dziecko.



Greckie figurki typów Phi i Tau oraz rekonstrukcja fresku z Myken i przedstawienie tronu bogini na pierścieniu z Tirynsu (wg E. French i B.R. Jones)

Z obszaru Grecji pochodzi większość obserwacji, które mogą rzucać światło na rolę i symboliczne znaczenie statuetek kobiecych w Europie epoki brązu. Choć świat, w którym żyli mieszkańcy osiedla w Maszkowicach oraz społeczności zamieszkujące północne Bałkany, różnił się od świata epoki brązu w basenie Morza Egejskiego pod względem stopnia rozwoju struktur społecznych, gospodarki i sztuki, to wydaje się, że bardzo wiele aspektów kultury, było wówczas jeszcze wspólnych dla ludów całego naszego kontynentu. Tereny Grecji są zaś miejscem, gdzie bezimienne dotychczas europejskie społeczności po raz pierwszy w dziejach wchodzą na arenę pisanej historii, gdzie poznajemy najstarsze nazwy ich plemion i władców oraz ich zwyczaje, w tym także wierzenia.

Rzecz jasna dzieje się to w atmosferze politycznego konfliktu. Po gigantycznej eksplozji wulkanu Thera (dziś Santoryn), która około 1627 roku przed narodzeniem Chrystusa zniszczyła flotę i porty na Krecie, zakończyła się polityczna i gospodarcza supremacja władców tej wyspy – potomków legendarnego Minosa. To stwo-

rzyło szansę dla powstania nowych potęg. Pierwszą z nich było królestwo Hetytów w środkowej Anatolii (dzisiejsza Turcja). Drugą, jego główny konkurent w panowaniu nad wschodnimi wybrzeżami Morza Egejskiego – lud, który sami Hetyci określali w swoich dokumentach dyplomatycznych jako Ahhiyawa, a który do historii przeszedł pod nazwą Achajowie, zapisaną kilkaset lat później przez Homera. Ahhiyawa dzielili się na szereg niezależnych królestw, skupionych wokół potężnych twierdzy, takich jak Mykeny lub Tiryns w Argolidzie, lub mniej „zmilitaryzowanych” pałaców, takich jak Pylos w Messenii. W zhierarchizowanym społeczeństwie mykeńskim dużą rolę odgrywał oficjalny kult, którego obiektem mogli być zarówno przodkowie panujących władców, jak i najważniejsze „państwowe” bóstwa. Dzięki zapiskom sporządzonym ponad trzy tysiące lat temu przez urzędników królewskiego pałacu w Pylos, z zastosowaniem pierwotnej odmiany pisma alfabetycznego (tzw. pismo linearne B, odszyfrowane dopiero w połowie XX wieku), znamy imiona dużej części mieszkańców mykeńskiego Olimpu. Są wśród nich zarówno bogowie występujący znacznie później w mitologii klasycznej Grecji – Zeus, Hera, Posejdon, Hermaias (Hermes), jak i tajemnicze bóstwa zapomniane w okresie tzw. „ciemnych wieków” po upadku mykeńskich cytadel – Diwia, Marineus oraz Komawenteia.

Z którymi z nich związane mogły być figurki kobiece? Badania archeologiczne potwierdzają ich obecność w budowlach pełniących funkcję centrów rytualnych oraz w miejscach o szczególnym znaczeniu dla dynastii, a fragmentarycznie zachowany fresk z klatki schodowej fortecy w Tirynsie pokazuje scenę niesienia tych przedmiotów w procesji ofiarnej. W Mykenach statuetki kobiece znajdowane były między innymi w pobliżu starej nekropoli królewskiej (okręgu grobowego B), gdzie deponowano je w trakcie obrzędów odprawianych jeszcze 200-300 lat po tym, gdy zaprzestano chowania w tym miejscu władców i ich rodzin.

Inny zespół figurek kobiecych pochodzi z tej części zamku w Mykenach, gdzie znajdował się dom Wanaxa – bo tak sami Mykeńczycy tytułowali swoich królów. Tam również, na ścianie jednej z budowli, znajdują się pozostałości fresku przedstawiającego dłoń (całą postać rekonstruuje się jako boginię zasiadającą na tronie) trzymającą statuettę kobiecą. Zdaniem niektórych badaczy może to sugerować, że kobiece figurki gliniane są symbolem ściśle określonego bóstwa kobiecego – tronu-jącej bogini – zajmującego szczególną pozycję w panteonie epoki brązu. Jej przedstawienia znane są też z innych zabytków z terenu Grecji, między innymi ze złotego pierścienia odkrytego na terenie cytadeli w Tirynsie, gdzie bogini ta przyjmuje procesję ludzko-zwierzęcych demonów.

Ogromna liczba statuetek kobiecych pochodzi jednak z kontekstu, którego nie można wiązać z oficjalnym kultem mykeńskich Wanaxów – z domów rzemieślników i rolników, z wiejskich sanktuariów i ubogich grobów. Uważa się, że podobnie jak wiele stuleci później w Cesarstwie Rzymskim, również w Grecji epoki brązu, obok „państwowego” lub „oficjalnego” kultu, cementującego społeczeństwo i wiążącego je z rodziną panującą, istniała również strefa popularnego, prywatnego rytuału,

leżącego gdzieś na styku sformalizowanej religii i pierwotnej magii. I także w nim gliniane figurki kobiece musiały odgrywać ważną rolę.

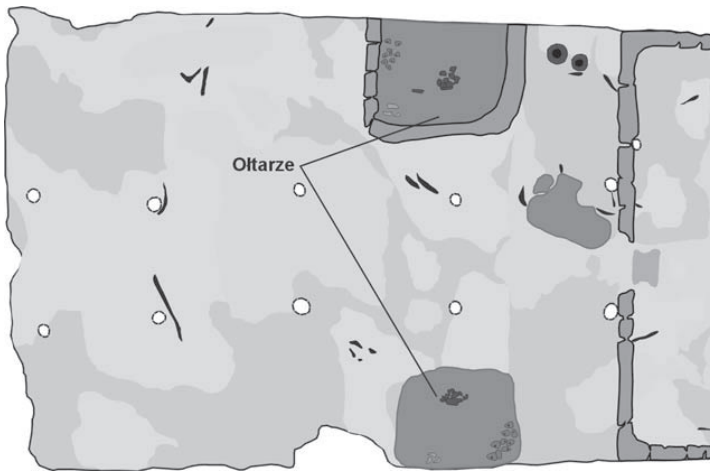
Najlepiej świadczy o tym masowość ich występowania. W ciągu XV i XIV stulecia musiano ich wyprodukować dziesiątki tysięcy, skoro w samych tylko Mykenach znaleziono do dziś aż 1100 egzemplarzy! Dzięki bardzo dokładnym badaniom takich stanowisk archeologicznych jak „Dolny Zamek” w Tirynsie lub wczesnomykeńskie miasteczko Nichoria w Messenii na południu Peloponezu, zebrano wiele informacji, których próżno byłoby szukać w związanych z władcami archiwach oraz w pałacowej sztuce. Okazuje się, że statuetki znajdujące w budynkach mieszkalnych występowały prawie zawsze pod progami drzwi wejściowych (strzegąc wnętrza przez złą magią?), lub obok palenisk stanowiących symboliczne centrum domu. Czasem, jak w wypadku cytadeli w Aigerze (północno-zachodni Peloponez) składano je też na podłodze magazynów z żywnością. Innych informacji dostarczają dawne nekropole, zwłaszcza te zlokalizowane w centrum kultury mykeńskiej, czyli w Argolidzie. Na jednej z nich – w Prosmynie – przeprowadzona została analiza związku pomiędzy wiekiem zmarłej osoby i obecnością lub nieobecnością statuetek kobiecych. Okazało się, że tak samo jak na północnych Bałkanach, zdecydowana większość grobów zaopatrzonych w figurki zawierała szczątki dzieci.

Kilka dekad badań nad funkcją glinianych figurek kobiecych w Grecji epoki brązu pozwala sformułować wniosek, że choć od początku wiązały się one z oficjalnym kultem, być może jednej z najważniejszych, choć nieznaney nam z imienia bogini, szybko przeniknęły, jako prosty symbol do sfery popularnego, codziennego rytuału. Tam figurki mogły być stosowane w zabiegach związanych z ochroną ogniska domowego przed złymi duchami lub magią (tzw. funkcja apotropaiczna), albo w rytuałach pogrzebowych. W jakiś szczególny sposób wyobrażenia opisujące zobrazowane przez statuetki bóstwo łączyły te dwie funkcje – ochronę żywych i opiekę nad zmarłymi – zwłaszcza nad zmarłymi dziećmi.

Przypomnę, że ta ostatnia funkcja wyraźnie rysuje się również w wypadku znalezisk figurek z północnych Bałkanów. Powstaje jednak w związku z tym pytanie – w jaki sposób określone przekonania religijne trafiły tam z obszaru Grecji? O dawna znane są już liczne świadectwa bezpośrednich kontaktów pomiędzy ludnością zamieszkującą Grecję w epoce brązu, a obszarami środkowej Europy. Kontaktów szczególnie intensywnych mniej więcej pomiędzy 1650 i 1150 rokiem przed Chrystusem, czyli w okresie rozkwitu królestw ludu Ahhiyawa.

Mykeńscy „bohaterowie” (zawodowych kupców ówczesny język grecki jeszcze nie znał) wyprawiali się – niczym legendarni Argonauci – w głąb terytoriów „północnych” plemion pozyskując ich wytwory i naturalne bogactwa. Tak do Myken trafiało złoto i miedź z Siedmiogrodu, bursztyn znad Bałtyku, a później również broń produkowana przez warsztaty zlokalizowane w Alpach. Na tereny Europy Środkowej docierały natomiast wytwory luksusowe (ozdoby, broń), ale też nowe wzorce w zakresie dekoracji, budownictwa, sposobu walki i zapewne również wierzeń. Jednym z najbardziej spektakularnych w ostatnich latach odkryć związanych

obecnością Ahhiyawa w naszej części Europy jest zespół mykeńskich ozdób odkryty w Bernstorf w południowych Niemczech, na terenie podobnej do maszkowickiej górskiej fortecy, zamieszkaney w XV i XIV wieku przed Chrystusem. W skład tego znaleziska wchodzi między innymi paciorek bursztynowy z wyrytymi znakami pisma linearnego, układającymi się w imię wytwórcy lub właściciela – Pa-nwa-ti. To poza basenem Morza Śródziemnego pierwszy zapisany wyraz w Europie, o półtora tysiąca lat starszy od następnych inskrypcji, pozostawionych przez rzymskie legiony. Obszary południowych Niemiec stanowiły jednak tylko jeden z końcowych „przystanków” dla mykeńskich wpływów. Głównym ogniwem pośredniczącym w kontaktach „północnych” ludów Europy z terenami Grecji były natomiast społeczności zamieszkujące osiedla na sztucznych pagórkach (tzw. tellach) rozproszone na Wielkiej Nizinie Węgierskiej oraz twierdze w górach Słowacji i Siedmiogrodu. Wysuniętą poza główny grzbiet Karpat placówkę tych właśnie ludów badamy od trzech lat w Maszkowicach. W tym regionie kulturowym śródziemnomorskie inspiracje, w różnych aspektach życia są najlepiej widoczne. Pojawiają się kamienne konstrukcje obronne, istnieją świadectwa wykorzystywania w walce rydwanów i stosowane są egejskie motywy dekoracyjne, takie jak spirala i meander. Szczególnym odkryciem z tego obszaru, związanym ze sferą kultu, są pozostałości świątyni o typowej dla obszaru Grecji konstrukcji, tzw. megaronu. Obiekt ten, odsłonięty przez archeologów w miejscowości Sălacea w Rumunii posiadał dwa boczne ołtarze, na których leżały pozostałości naczyń glinianych, kamienne noże oraz ciężarki tkackie. Nad wejściem do świątyni znajdował się natomiast fryz w postaci zawijających się spiralnie linii.



Rzut zachowanej, przypodłogowej partii świątyni w Sălacea (wg N. Chidioșan i I. Ordentlich, rys. M.S. Przybyła)

Wracając do Myken i glinianych figurek kobiecych wspomnieć trzeba o jeszcze jednej prawidłowości zaobserwowanej podczas badań nad kontekstem tych zabytków. Okazuje się, że statuetkom tym, znajdowanym w domach, zwłaszcza w okolicy palenisk, bardzo często towarzyszyły figurki przedstawiające krowy lub byki. Czy zależność ta jest jeszcze jedną przesłanką do rekonstrukcji wierzeń związanych ze

schematycznymi przedstawieniami zapomnianego bóstwa kobiecego? Faktem jest, że figurki przedstawiające bydło stanowią jeden z najczęstszych tematów w sztuce epoki brązu, także na terenach Bałkanów i w Karpatach. Czasem występują w kontekstach uderzająco podobnych do tych znanych z Grecji – na przykład na badanym w ostatnich latach przez słowackich i niemieckich archeologów osiedlu w Rybníku nad Hronem, odkrywano je po jednej w każdym odsłoniętym domu. Jedynym jednak, poza stanowiskami greckimi, miejscem gdzie oba te symbole spotykają się jest osada w Maszkowicach. Główka figurki bydłowej znaleziona została jeszcze podczas dawnych badań Marii Cabalskiej w ziemi wypełniającej jamę-piwniczkę położoną tuż przy budynku odkrytym w latach 2010-2012, tym samym, z obrębu którego pochodzi znalezisko figurki kobiecej.

Drobiazgowo opisywane przez archeologów odkrycia i obserwacje stanowią elementy łamigłówek, które czasem, zestawione ze sobą mogą ujawnić pewne prawidłowości – rodzaj wzoru pozwalającego na wgląd w określony aspekt zachowań człowieka w bardzo odległej przeszłości. W taki właśnie wzór może wpisywać się fragment statuetki glinianej znaleziony na „Górze Zyndrama”. Dzięki dokładnemu przeanalizowaniu okoliczności odkrycia tego zabytku, wiedzy o podobnych przedmiotach pochodzących z innych regionów Europy i o ich lokalnych kontekstach, uzupełnionej przez treści wynikające z przedstawień ikonograficznych i najstarszych źródeł pisanych, możliwe jest przyjęcie prawdopodobnej hipotezy dotyczącej kultu sprzed prawie trzech i pół tysiąca lat. Możemy zatem przypuszczać, że stylizowane figurki kobiece z XV-XIV w. przed Chrystusem są przedstawieniem żeńskiego bóstwa, które miało odpowiadać za ochronę ogniska domowego oraz opiekę nad zmarłymi dziećmi. Możemy dalej uznać, że bóstwo to było przedmiotem czci w dużej części Europy południowo-wschodniej, a na tereny leżące na północ od Karpat jego kult dotarł wraz z grupami osadników z południa, takimi, jak populacja, która zbudowała i zamieszkiwała osadę obronną w Maszkowicach. Nie wiemy natomiast, czy podobieństwa w zakresie wierzeń widoczne na terenach rozciągających się od dorzecza Dunaju do Peloponezu wynikały z istnienia pewnej starszej, wspólnej tradycji religijnej w kulturze tego obszaru, czy też były raczej rezultatem rozprzestrzenienia się elementów kultu na drodze kontaktów pomiędzy ludźmi pochodzącymi z różnych regionów Europy, a zwłaszcza aktywności achajskich kupców-podróżników.

Trudno jest dzisiaj ustalić etniczne pochodzenie ludności jaka zamieszkiwała w odległych wiekach ziemie dzisiejszych Karpat. Chciałbym przynajmniej w dużym zarysie i uproszczeniu pomóc czytelnikowi w zrozumieniu jak kształtowało się zasiedlenie naszego regionu i jakim wpływom etnicznym podlegały ziemie które i dzisiaj znajdują się na pograniczu państwa. Być może pełniej oddają sprawę badania DNA, ale i one nie potrafią odpowiedzieć na wiele zasadniczych pytań.

Ludność kultury łużyckiej

Ludność tej kultury pojawiła się na naszych terenach już bardzo dawno, bo około 1200-1000 roku p.n.e.¹, może nawet nieco wcześniej o czym świadcząby ceramika odnaleziona na wzgórzu w Maszkowicach², gmina Łącko. Mimo iż kultura łużycka obejmowała terytorialnie obszar niemal całej współczesnej Polski trudno jest nam definitywnie zaliczyć ją do jakiejś konkretnej grupy etnicznej.

O wiązaniu kultury łużyckiej z Prasłowianami świadczyłyby pewne dane archeologiczne, jak ciągłość kulturowa oraz słowiański charakter większości nazw rzecznych w dopływach Wisły i Odry. Ale i tu zjawiają się nazwy o pochodzeniu „staroeuropejskim” lub weneckim, co niektórzy badacze tłumaczą pokrewieństwem między kulturą łużycką a Ilirami i Italoceltami³. Sama etymologia rzeki Dunajec, nad którym leżą Maszkowice wywodzi się od Celtów, a etymologia drugiej największej rzeki w regionie, Popradu, nie została wyjaśniona⁴. Większa część badaczy kwestionuje materiał archeologiczny dla odtwarzania stosunków etnicznych⁵, podobnie ja skłaniam się ku takiemu pogładowi. Ogólnie przyjmuje się, że sprawą przynależności etnicznej ludności kultury łużyckiej jest sprawa otwartą, wymagająca dalszego badania⁶. Można jedynie podać, iż dotychczasowe badania materiału kostnego z cmentarzyska w Częstochowie pozwoliły ustalić skład rasowy, jaki występował na tamtym terenie. Zawartość materiału kostnego w grobach ciepłopalnych pozwala tylko na przybliżone określenie wieku i płci zmarłego. Niestety z epoki brązu i wczesnej epoki żelaza znamy tylko parę przykładów pochówków szkieletowych dających lepsze rozeznanie antropologiczne. Dzięki znalezisku w Częstochowie, należącemu właśnie do cmentarzyska szkieletowego, przeprowadzono analizę składu rasowego. Przeprowadził ją Z. Kapcia, w oparciu

¹ K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia Starożytna Ziem Polskich*, Warszawa 1979, s. 56.

² M. Cabalska, *Osadnictwo kultury łużyckiej w rejonie średniego biegu Dunajca w świetle badań z Maszkowic pow. Nowy Sącz*, „Prace Archeologiczne”, z. 5: 1963, s. 52, por. M. Cabalska, *Z badań nad problematyką najstarszej ceramiki zdobionej ornamentem guzowym z terenu Małopolski w świetle materiału z Maszkowic*, „Slovenska Archeologia”, t. 22: 1974, s. 39-54.

³ K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia...*, s. 82-84.

⁴ M. Cabalska, *Pradzieje powiatu nowosądeckiego*, „Rocznik Sądecki”, t. 10-11: 1969/1970, s. 176.

⁵ K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia...*, 81-84

⁶ Tamże, s. 82-84.

o klasyfikację Ireneusza Michalskiego. Uznaje on, iż współczesne podstawowe rasy to: rasa nordyczna, rasa kromanoidalna, rasa śródziemnomorska, rasa armenoidalna i laponoidalna. Oprócz nich mogą w Europie występować odmiany rasy żółtej, jak rasa wyżynna i mongoidalna oraz rasa orientalna. Badania z serii Częstochowy-Rakowa (19 osobników) wykryły wysoki udział rasy kromanoidalnej, rasy wyżynnej (żółtej) i jej krzyżówek z innymi rasami oraz rasy laponoidalnej. U sześciu osobników wykryto składniki nordyczne, u dwóch armenoidalne, u jednego berberyjski. Badania pozwoliły też ustalić średni wiek życia na 25 lat. Analiza ta musi być jednak traktowana z ostrożnością, póki analizy z większego obszaru nie pozwolą na uogólnienia tych danych dla kultury łużyckiej⁷.

Trakowie

Kolejny lud, albo ludy, które pozostawiają nam swój ślad w Karpatach to Dakowie i Trakowie. Zostawili nam oni w spadku wiele nazw topograficznych, takich jak *Magura*, *Kiczora*, *Gruń*, *Grapa*. W licznych opracowaniach wiązano etymologię tych nazw z pochodzeniem rumuńskim, i wędrówkami niektórych rumuńskich ludów pasterskich w XIII i XVIII wieku. Istnieje jednak szereg wątpliwości przeczących tej teorii. Czy mogły bowiem rumuńskie plemiona narzucić nazwy topograficzne ludności która mieszkała już od wieków na tym terenie i przewyższała przybyszów liczebnie? Raczej jest to mało prawdopodobne⁸. Wiemy jednak że obecność Daków poświadczona jest na Słowacji nazwami plemiennymi oraz w badaniach archeologicznych. Po przybyciu Celtów około III wieku p.n.e. nie zostali oni tam wyniszczeni ale podporządkowani nowym zdobywcom, tworząc wiele mieszanych grup dacko-celtyckich⁹ z tego powodu trudno definitywnie określić nam które plemiona wyliczane przez starożytnych autorów należą do Daków, Traków, Celtów, a które stanowią połączony element etniczno kulturowy. Wiemy jedynie, iż cała terminologia pasterzy z terenu Karpat nie pochodzi od żadnej mieszkającej tam obecnie grupy etnicznej, musi więc być od nie starsza i wywodzić się najprawdopodobniej od wspomnianych wcześniej Daków czy Traków¹⁰.

Celtowie

Dunajec, rzeka nierozzerwalnie związana z regionem, posiada celtycki rodowód nazwy, jak podałem już wyżej. Należy więc odpowiedzieć na pytanie skąd przybyli. Możemy mówić o obecnością Celtów na ziemiach Polskich, a także na terenie przyległym do Karpat w Kotlinie Węgierskiej.

⁷ J. Prokopowicz, *Cmentarzysko kultury łużyckiej w Częstochowie-Rakowie*, „Materiały Archeologiczne”, t. III: 1961; T. Węgrzynowicz, J. Miśkiewicz, *Wędrówki po wykopaliskach*, Warszawa 1972, s. 132-134.

⁸ T. Sulimirski, *Trakowie w północnych Karpatach i problem pochodzenia Wołochów*, „Acta Archaeologica Carpathica”, t. 14: 1974, s. 82-83.

⁹ Tamże, s. 81-83.

¹⁰ Tamże, s. 82-92.

Pobyty Celtów w Karpatach zachodnich można rozpatrywać zarówno w oparciu o źródła archeologiczne, jak i pisane¹¹. Źródła wskazują wyraźnie, iż Celtowie na terenie Kotliny Węgierskiej byli ludnością napływową, nie autochtoniczną. Źródła greckie pozwalają wnioskować, kiedy Celtowie przybyli na te obszary. Było to około IV wieku przed naszą erą. Niestety fragmentaryczność źródeł nie pozwala nam na jakieś jaśniejsze sprecyzowanie sytuacji politycznej na południe od Karpat przed I wiekiem naszej ery, czyli w czasie gdy panowanie Celtów na tym obszarze chyliło się już ku upadkowi.

Ludność celtycka, która migrowała na wschód składała się z niejednorodnych pod względem etnicznym mieszanek plemion Celtyckich, pochodzących między innymi z północnej Italii, gdzie plemię Bojów po ostatecznej klęsce, zadanej im przez Rzymian, w II wieku przed naszą erą opuściło tamte tereny. Ludność Celtycka zaczęła się mieszać, po osiedleniu się w Kotlinie Węgierskiej, z ludnością miejscową. Celtowie zdobyli jednak dominującą rolę polityczną i kulturalną nad autochtonami. Podobne zjawisko mieszania się i dominacji kulturowej i politycznej dostrzegamy na terenach przylegających bezpośrednio do Karpat Zachodnich. Tam główną rolę odgrywały, jak się wydaje, plemiona celtyckie Bojów, Skordysków, Taurysków. Ci ostatni prawdopodobnie tworzyli jakiś rodzaj związku plemiennego wraz z Lirami¹². Ekspansja Celtów na tereny Kotliny Węgierskiej miała też inny kierunek. Otóż czeskie plemiona Bojów przeniosły się na południe na początku I wieku naszej ery, obejmując tereny aż po Cisę.

Około 60 roku dwa plemiona celtyckie, Bojowie i Tauryskowie, dowodzone przez Kritasira, zostały rozbite przez Daków pod wodzą Burebisty. Był to ważny rozdział w historii tej części świata. Spowodowało to rozprzestrzenienie się dackich wpływów na Kotlinę Węgierską, przeniesienie się części Bojów do Galii. Być może wyludnione po tych zmianach obszary stały się terenem zasiedlanym przez Ilirów. Zwycięstwo Daków przetrwały odłamy plemion Bojów zamieszkałe na południe i zachód od dzisiejszej stolicy Słowacji, Bratysławy. Drugie plemię, jakie ocalało tą dziejową zawieruchą to Anartowie, osiadli na Nizinie Wschodniosłowackiej. Wiemy o nich ze źródeł rzymskich z okresu podboju ziem nad środkowym biegiem Dunaju¹³.

Najbardziej wiarygodne jest to, iż na terenie Karpat zamieszkiwał celtycki lud Kotynów. Umiejscawia się ich na terenie gór zachodniej i środkowej Słowacji, czyli na terytorium tak przecież bliskiemu Sądeczyźnie. Prawdopodobny koniec Kotynów nastąpił w czasie wojen narkomańskich¹⁴. Z obszaru Karpat znamy jeszcze jeden lud celtycki, mianowicie Bastarnów. Ich lokalizację przedstawia nam Strabon, pisząc o nich i jednym z plemion wchodzącym w ich skład, Peucynach. Według niego zamieszkiwali oni obszar między Dunajem a Dnieprem. Na zachodzie mieli graniczyć z plemionami germańskimi. Zdaje się potwierdzać to nieprecyzyjna wzmianka Pliniusza. U Tacyty czytamy, że zamieszkiwali oni na wschód od Swebii, granicząc

¹¹ Z. Woźniak, *W kwestii pobytu Celtów w Karpatach Zachodnich*, „Acta Archaeologica Carphatica”, t. 8: 1966, s. 65.

¹² Tamże, s. 66.

¹³ Tamże, s. 67.

¹⁴ Tamże, s. 68.

z Germanami i Sarmatami. Kotynowie mieli według niego graniczyć „od tyłu” z Markomanami i Kwadami¹⁵. Co może oznaczać to „od tyłu”? według mnie, sądzę że Tacyt, opisując tak położenie Kotynów, miał na myśli to, iż mieszkają oni na północ od Markomanów i Kwadów. Trzeba pamiętać, że pisał to z perspektywy Rzymu, a więc, wszystko, co dalej na północ było czymś dalszym, zapleczem, czymś znajdującym się od tyłu.

Również inskrypcja z Tusculum wymienia Bastarnów. Dotyczy ona prawdopodobnie M. Viniciusa, konsula z 19 roku przed naszą erą, który po przekroczeniu Dunaju prawdopodobnie walczył z Kotynami i Bastarnami. Jednak na podstawie tej wzmianki możemy jedynie wnioskować, iż oba te plemiona mieszkaly na północ od Dunaju. Ciekawa jest natomiast informacja u Ptolemeusza, który w opisie Sarmacji pisze o plemieniu Gytonów, zamieszkałych wokół Vistuli, poniżej Wenedów. Interesująca jest dalej informacja o tym, kto siedział u źródeł rzeki Vistula. Byli to Awarinowie, niżej od nich Ombronowie, a koło Karpat, Biessowie i Piengitowie¹⁶.

Wszystkie starożytne źródła umieszczają Bastarnów po północnej stronie Karpat. W zwyczajach mieli być podobni do Germanów, między innymi w stroju i budownictwie mieszkalnym. Być może był to jakiś mieszany związek plemienny. Trudno wywnioskować to z opisu Tacyta, który sam waha się czy zaliczyć lud Peucynów (albo Bastarnów) do Germanów czy Sarmatów. Mieszane małżeństwa z Sarmatami miały upodobnić ich do nich z wyglądu. Tacyt, jak czytamy dalej w jego opisie, nie ma zbyt przychylnego zdania o Bastarnach, pisząc o nich że są brudni i apatyczni¹⁷.

Część badaczy uważa, że ich późniejszą wędrówkę na południe można traktować bądź jako początki ruch migracyjny Germanów, albo ostatnie ruchy migracyjne Celtów¹⁸.

Wielka migracja Celtów wyszła prawdopodobnie z górnej i środkowej Renu. Na wschodzie Celtowie penetrowali obszary, których zasięg prawdopodobnie możemy dość dobrze określić, odnosząc go do występowania kultury lateńskiej. Już w IV wieku przed naszą erą występuje duże skupisko celtyckiego osadnictwa na Morawach, a w III i II wieku przed naszą erą Celtowie silnie wrastają w tereny na Słowacji¹⁹. Również na terenie Polski Celtowie osiedlają się i tworzą mieszaninę kulturową, obejmującą obszary w okolicach Krakowa, i na wschód po rzekę Rabę. Prawdopodobnie nie mamy tu do czynienia jedynie z pojedynczą działalnością celtyckich kupców, metalurgów czy innych rzemieślników, lecz z osiedleniem się na tych terenach większej celtyckiej grupy plemienną, która być może wraz z ludnością kultury przeworskiej tworzyła jakiś mieszany organizm polityczny²⁰.

Dlaczego Celtowie wybrali akurat te tereny na swą ekspansję? Wiemy, że lud ten zawsze niemal dbał o to, aby zająć tereny dobre pod względem rolniczym. Nie zasie-

¹⁵ Tacyt, *Germania*, przekład (na język angielski) J.B. Rives, Oxford 1999, 41-43.

¹⁶ J. Piaskowski, *O lokalizacji Bastarnów po północnej stronie Karpat wschodnich*, Acta Archaeologica Carpathica, t. 10: 1968, s. 199-201.

¹⁷ Tacyt, *Germania*, 46.

¹⁸ J. Piaskowski, *O lokalizacji...*, s. 202; Woźniak 1966, s. 69.

¹⁹ Z. Woźniak, *W kwestii...*, s. 69-71.

²⁰ Tamże, s. 71.

dlili na przykład Alp i ominęli Pireneje kierując się dalej na południe²¹. Obszarami karpackimi interesują się jednak od II wieku przed naszą erą. Mogło to być spowodowane tym, że dopiero po tym okresie mogli wprowadzić znaną z innych obszarów panowania Celtów gospodarkę opartą na hodowli bydła. Tego typu gospodarka miała dużo większą skuteczność na terenie górskim w porównaniu z uprawą roślin. Wyklucza się jednak opór miejscowej ludności kotlin karpackich, który mógłby być przeszkodą przed celtycką penetracją tego terenu²². Celtowie najprawdopodobniej przegrali izolację tych terenów u schyłku II-I wieku przed naszą erą. W tym właśnie czasie na terenie Karpat Słowacji pojawiają się liczne monety celtyckie, ceramika grafitowa i duża liczba wyrobów metalowych. Ale prawdopodobnie to wyżej wspomiane zwycięstwo Daków w 60 roku przed naszą erą, powoduje, że przemieszczają się do Karpat Kotynowie. Spowodowało to podniesienie poziomu gospodarczego na tym obszarze, na przykład musiała istnieć na terenie Karpat Słowackich mennica celtycka, bijąca monety tzw. *vel kotyński* srebrne i złote, znane na razie wyłącznie z rejonów górzystych na Słowacji²³.

Kotynów wiąże się z kulturą puchowską. Kultura ta prawdopodobnie powstała ze stopienia się ze sobą elementów dawnych ludów zamieszkujących Karpaty, czyli izolowanych grup kultury łużyckiej i kultury lateńskiej. Mogło to się stać na skutek kontaktów handlowych, ale również dzięki migracji z południa Kotynów i Osów. Obecnie uważa się, że stapianie się kultury puchowskiej nie zostało zainicjowane przez plemiona Daków. Nie było bowiem masowej kolonizacji Kotliny Węgierskiej przez Daków po ich zwycięstwie nad Bojami, tym bardziej mało prawdopodobna staje się taka ich ekspansja na stokach Karpat zachodnich. Kulturze puchowskiej przypisuje się dość znaczny zasięg. Obejmować miała całą północno-zachodnią Słowację, Słowację środkową, aż do Karpat węgierskich, część terenów w pobliżu bramy Morawskiej. Jedną z hipotez głosi, że to właśnie ona zajmowała rejon podkrakowski. Znamy ją z osad przeważnie obronnych, z dużą ilością ceramiki grafitowej. Prawie zupełnie kultura ta pozbawiona jest grobów²⁴. Na podstawie obecnego stanu badawczego wiemy, że w swoim obrębie kultura puchowska nie była jednolita. Być może odbija to w sobie niejednorodny skład etniczny z jakiego składała się ludność kultury puchowskiej. Ich wspólną cechą były podobieństwa, które znajdujemy w ceramice lateńskiej. Rozpoznano stosunkowo lepiej sytuację kulturową tego okresu na terenie Słowacji niż w Polsce południowej. Wiemy jednocześnie, że późno datowane znaleziska puchowskie nie stoją w sprzeczności z przekazami źródłowymi, które mówią o zniszczeniu plemienia Kotynów. Na terenie Polski mamy kilka stanowisk kultury puchowskiej²⁵. Są to obiekty w Poznachowicach Górnych, Dobczyce, w powiecie Myślenickim, Sporsza w okolicach Żywca. Z terenu Sądecczyzny znamy grody w Podegrodziu (grodzisko „Grobla”) oraz z Marcinkowic. Znamy z tych obiektów po kilka zachowanych fragmentów ceramiki grafitowej. Z Marcinkowic pochodzi oprócz tego ułomek brązowej bransolety.

21 Tamże, s. 72.

22 Tamże, s. 73.

23 Tamże, s. 74-75.

24 Tamże, s. 76.

25 Tamże, s. 77.

Ciekawym aspektem osadnictwa puchowskiego na Sądecczyźnie jest to, że wszystkie te osady powstały na dawnych grodziskach kultury łużyckiej²⁶. Ważne wnioski można wysunąć analizując ceramikę grafitową. Można ją uważać za ślad penetracji kultury puchowskiej z terenów Słowacji. Najprawdopodobniej byli by to Kotynowie. Świadczyłoby o tym specyficzne ukształtowanie brzegu naczynia odnalezione w Pychowicach Górnych²⁷. Drugim wyjaśnieniem jest prawdopodobne rozprzestrzenianie się celto-przeworskiego zespołu kulturowego z rejonów dzisiejszego Krakowa. Mogłaby o tym mówić obecność przeworskiej ceramiki na stanowisku w Podegradziu. Może to być w końcu dowód na przetrwanie relikwów ludności kultury łużyckiej, a która dzięki kontaktom handlowym z celto-przeworskim, bądź południowym kręgiem oddziaływań celtyckich, używała po prostu niewielkiej liczby artefaktów o lateńskim charakterze. Na obecnym etapie badań bardzo trudno rozstrzygnąć, która ewentualność jest prawdziwa. Uważa się jednak za bardziej prawdopodobny wariant „krakowski”, przyjmując rozprzestrzenianie się wpływów lateńskich właśnie z tamtego obszaru, a Karpaty w takim wypadku stanowiąc musiały barierę, poza którą nie rozprzestrzeniają się wpływy kulturowe. Inne zabytki kultury lateńskiej rozsiane na terenie wschodnich rubieży Małopolski, jak z Medyki, Sierakości, Rzeszowa, doliny Sanu są prawdopodobnie śladem kontaktów łączące dwie części terenów zakarpaccich przez przełęcz Dukielską. Istniało więc połączenie dużych centrów kultury lateńskiej z Polską. Możliwe również, iż istniało bezpośrednie połączenie ośrodka Celtów pod Krakowem ze Słowacją, przez przełęcz Dukielską, ale co istotniejsze przez dolinę Dunajca²⁸.

Pozostałością Celtów (lub raczej ludności kultury puchowskiej), lub przynajmniej ich wpływów na Sądecczyźnie, jest być może kamienny wał, jaki otaczał grodzisko w Maszkowicach, osadzie przypisywanej kulturze łużyckiej. Siedmiometrowy wał licowany był wielkimi płaskimi głazami a wypełniony został rzeczonymi otoczakami, pospolitymi w korycie Dunajca. Spoiwem dla kamieni była glina²⁹. Gdyby wał ten wzniosła ludność kultury łużyckiej było by to niemałe zaskoczenie i zagadka, ludność kultury łużyckiej wznosiła w zasadzie forty drewniano-ziemne³⁰. Nic jednak nie przemawia za tym by do zaniku kultury łużyckiej w Maszkowicach przyczynili się zbrojnie Celtowie. Co prawda, liczne są w Maszkowicach zabytki związane właśnie z kręgiem puchowskim, jak nożyce i liczne fragmenty ceramiki³¹, ale są one śladami kontaktów handlowych, a nie najazdu z IV wieku p.n.e., na który to okres można według Marii Cabalskiej datować kamienny wał³².

Nie wiemy czy Celtowie zdominowali Sądecczyznę, zajmując niszę po ludności kultury łużyckiej. Wiemy natomiast, że wywarli znaczący wpływ, choćby dając nazwę naszej głównej rzeki, Dunajca.

²⁶ Tamże, s. 78.

²⁷ Tamże, s. 78-79.

²⁸ Tamże, s. 79.

²⁹ M. Cabalska, *Osadnictwo...*, s. 50.

³⁰ Tamże, s. 55.

³¹ M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby żelazne ze stanowiska kultury łużyckiej w Maszkowicach*, „Przegląd Archeologiczny”, t. 19/20: 1971, s. 51-77; M. Cabalska, *Pradzieje powiatu nowosądeckiego*, „Rocznik Sądecki”, t. 10/11: 1969-1970, s. 113-120.

³² M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby...*, s. 72

Pasma górskie Sądeckizny³³

Innego omówienia wymagają nazwy pasm górskich naszego regionu, w szczególności Beskidów. W zapiskach da się ich wyróżnić około 5 obocznych postaci nazw Beskidów i Bieszczad. Są to między innymi: *Bieszczad*, *Bieściad*, *Beściad*, *Bessid*. Według badaczy za podstawową formę należy podać wariant *Bieszczad*. Pozostałe wywodzą się prawdopodobnie z gwar ruskich (przez zmiękczenie – gdyż ukraińskie gwary karpackie zmiękczają niektóre spółgłoski i upodabniają je do ś, ć, śc³⁴).

Warto podkreślić, że nazwa Bieszczad wskazuje na jej znajomość przez Słowian dobrze przed rokiem 1000 n.e. mielibyśmy prawo uznać tę nazwę nawet za Polską, jeśli oboczność *Bieszczad/ (na Bieszczadzkie)*, podobnie jak w wyrazie świat – na świecie, bo wymiana a na e jest zamiana specyficznie Polską, a zasza prawdopodobnie wcześniej, bo około roku tysięcznego³⁵. Wariantów nazwy Beskidów jest znacznie więcej niż Bieszczadów. Lista ich jest dość długa jednak warta przytoczenia. Mamy więc *Beskid*, *Bieskid*, *Biesked*, *Bieskod*, *Biskid*, *Beskiad*, *Beskit*, *Beśkid*, *Beszkit*, *Byskyd*. Prawdopodobnie wszystkie te warianty są ruskie³⁶. Wspomnieć należy, że takie zróżnicowanie wariantów nazw świadczyć może o obcym pochodzeniu nazwy, o jego wielokrotnym zapożyczeniu, zarówno w różnych czasach jak i miejscach. W związku z tym pewne próby wyjaśnienia nazwy Bieszczad i Beskidów w oparciu o materiał języka rodzimego nie dały pozytywnych rezultatów. Ważne jest też rozmieszczenie tych nazw po obu stronach grzbietów Karpat, co daje nam do zrozumienia, że właśnie tu znajduje się ich ojczyzna, i to tutaj od kogoś przejmowali ją Słowianie. Może nawet ojczyzna tego wyrazu leżała bardziej na południe, a dopiero kolonizacja wołoska przeniosła tę nazwę dalej na północ. Prawdopodobnie był to wyraz pospolity i oznaczał jakiś szczegół terenowy, być może las na stokach gór³⁷.

Jeśli chodzi o samo pochodzenie tych nazw, to istniały na ten temat koncepcje już od XVI wieku. Uczeni tamtego okresu niezbitnie twierdzili, że na terenach Bieszczad i Beskidów przebywały plemiona Bessów, znanych z przekazów Ptolemeusza. Bronili takiego poglądu liczni badacze. Dziś taki sąd nie jest uwzględniany przy rozważaniach historycznych. W opinii licznych specjalistów wiarygodne są tylko następujące etymologie: pochodzenie germańskie, tracko-iliryjskie, albańskie. Wariant pochodzenia od ludów tracko-iliryjskich wskazany przez Johna Loewenthala, pokazuje nam na przykład trackie słowa *beskeidos* i *beskidos*, których domniemane znaczenie to „granica”. Podobnego zdania jest F. Kopeczny, uważając wariant tracki za jeden z dwóch możliwych do przyjęcia w wywodzeniu nazw tych gór. Hipoteza Loewenthala ma jednak słabą stronę, którą jest nie potwierdzona na podstawie żadnego znanego źródła rekonstrukcja językoznawców.

Inna próba wyjaśnienia etymologii nazw Bieszczad i Beskidów to wywodzenie tych nazw od Germanów. Pierwszym, który wysunął taką hipotezę był Jan Wagilewicz.

³³ Nie będąc językoznawcą muszę zdać się w większości na wyniki prac cytowanych autorów.

³⁴ F. Wysocka, *Nazwy Bieszczady i Beskidy w świetle badań historyczno-językowych*, „Acta Archaeologica Carpathica”, t. 10: 1968, s. 29.

³⁵ Tamże, s. 29-30.

³⁶ Tamże, s. 30.

³⁷ Tamże, s. 31.

Porównywał on Bieszczady ze szwedzkim słowem *beskydda*, co oznacza „zasłona”. Jednak za autorytet uważa się jeszcze dziś pracę Jana Rozwadowskiego, który to uczony wskazał na wyraźnie obce pochodzenie nazw tych pasm górskich. Uważał on, iż jest to nazwa pochodzenia germańskiego, odpowiadająca między innymi skandynawskiemu *besked*, co oznacza rozdzielenie lub rozłączenie³⁸.

Przyjmując, że nazwy Beskid i Bieszczady nie pochodzą z czasów średniowiecza, nie są wytworem ówczesnego osadnictwa niemieckiego na terenie Karpat, lecz prawdopodobnie z V-VII wieku naszej ery, kiedy to Słowianie zajmowali te tereny. Być może właśnie wtedy natknęli się oni na jakieś pozostałości ludności germańskiej, zachowanej w postaci reliktu w zachodnich Karpatach. Dzięki temu przyjęli i zaczęli przystosowywać germańskie nazewnictwo do słowiańskiej wymowy³⁹. Z wywodem od germańskich Gotów nazwy pasma (pasm) górskich na Sądecczyźnie należy być jednak ostrożnym. Starożytne źródła historyczne dość niejasno określają bowiem ich siedziby oraz rozwój osadnictwa na ziemiach współczesnej Polski⁴⁰. Trasa wędrówki Gotów odbiega też geograficznie od Sądecczyzny i Beskidów⁴¹.

Inna hipoteza, „albańska”, wysuwana przez Kazimierza Dobrowolskiego, zakłada podobieństwo nazw Bieszczad i Beskidów z albańskimi wyrazami oznaczającymi „hałę”, „łąkę”, „pastwisko”, a która dotarła na nasze ziemie wraz z migracją wołoską, dopiero w XIII wieku naszej ery. Hipoteza ta ma jednak swoją słabą stronę, a mianowicie brak na całym szlaku migracji wołoskiej nazw odpowiadających lub pokrewnych Beskidowi⁴².

Na podstawie całego materiału badawczego, jaki obecnie posiadamy, możemy wnioskować, iż Beskid i Bieszczady zostały w różnym czasie zapożyczone przez migrujących Słowian. Bieszczad najprawdopodobniej spadkiem po Germanach. Najprawdopodobniej nazwa ta została stosunkowo wcześniej przejęta przez Słowian. Druga natomiast nazwa Beskid, najprawdopodobniej również germańska, zanim została przejęta miała bliżej nie określone koleje losu, jakieś etapy pośrednie. Na obecnym etapie badań jakieś jednoznaczne rozstrzygnięcie pochodzenia i etapów rozprzestrzeniania nazewnictwa nazw Beskid i Bieszczad nie jest możliwe⁴³.

Wyżej przedstawiona próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, jakiego pochodzenia są nazwy pasm górskich Bieszczadów i Beskidów, szczególnie tych drugich, genetycznie związanych przecież z terenem Sądecczyzny byłaby niepełna, gdyby nie próba odpowiedzi na pytanie, jaki rodowód ma nazwa Karpat, gór, których jedynie małą częścią są Beskidy. Zrozumienie etymologii Karpat może pomóc nam w odtworzeniu może tylko w jakimś małym zakresie, stosunków etnicznych na terenie tych gór, a przez to na obszarze samej Sądecczyzny.

³⁸ Tamże, s. 32. Warto porównać definicje pochodzenia nazwy Beskid z innymi pracami onomastycznymi – patrz: Eugeniusz Pawłowski, *Nazwy terenowe Ziemi Sądeckiej*, Prace Onomastyczne 30, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk, 1984, s. 15, czy tegoż autora „Nazwy miejscowe Sądecczyzny”, tom I, Kraków. 1965, s. 162.

³⁹ Tamże, s. 33.

⁴⁰ O siedzibie Gotów wspominają już autorzy starożytni: Plinusz Starszy, Strabon, Tacyt i później Jordanes.

⁴¹ Por. J. Strzelczyk, *Goci – rzeczywistość i legenda*, 1984; A. Kakowskiego, *Goci: od Skandzy do Campi Gothorum*, 2007.

⁴² F. Wysocka, *Nazwy...*, s. 33-35.

⁴³ Tamże, s. 35-36.

„Karpaty” była do niedawna uważana za nazwę funkcjonującą jedynie w dziełach naukowych. W przeciwieństwie do Beskidów, które można wywodzić z tradycji ludowej, która możemy połączyć w tym wypadku z prawdopodobną bytnością Germanów na tamtym terenie lub ich wpływom, o tyle Karpaty występują w dziele Ptolemeusza jak i u Marcjana, autora z IV wieku naszej ery. Prawdopodobnie najwcześniejsza wzmianka – u Herodota ten jednak przedstawia pod tą nazwą rzekę *Karpias*. Według badań etymologów nazwa ma pochodzenie indoeuropejskie. Jego reliktem jest albańskie słowo *karpe* oznaczające „skałę”. Zachował się on do naszych czasów z dialektów ludów trackich, osiadłych w zamierzchłej przeszłości wokół Dunaju i jego dopływów. Istniał również lud o nazwie „Karpi”, mieszkający na północ od Dunaju.

Z powodu takiego podobieństwa starano łączyć jakoś ze sobą góry i lud Karpi. Niestety z takiego stanu rzeczy rodzą się dylematy badawcze. Nie wiadomo mianowicie czy nazwę gór wywodzić od ludu Karpi czy odwrotnie, Karpi od gór. Takie dwie możliwości dają zupełnie inne wnioski badawcze. Pierwsza, zakładająca że Karpaty pochodzą od ludu Karpi. W takim wypadku nazwę Karpat należałoby tłumaczyć jako góry Karpi, a lud ten byłby po prostu mieszkańcami tamtych terenów. Druga hipoteza mówi o tym, że Karpaty jako nazwa powstała samodzielnie, a nazwa w takim wypadku oznaczałaby „skaliste góry”⁴⁴.

Istnieje pewne podobieństwo, choć kwestionowane przez część badaczy, nazwy Karpat i greckiej wyspy Karphatos. Jest w dalszym ciągu pytaniem czy nazwy te powstały od siebie rozłącznie, czy też istnieje między nimi jakaś zbieżność, łącząca Karphatos i odległe przecież pasmo górskie w środkowej Europie. Jeśli powstały razem, to według badaczy musiało to nastąpić w bardzo odległych od Ptolemeusza czasach. Budzi to wątpliwości, jak również czy albański wyraz mógł przetrwać aż do naszych czasów, wywodząc się od starożytnych Traków? Badacze mają poważne wątpliwości, ze względu na znaczną ilość przeobrażeń, jakie musiał język tracki przejść w ciągu tak długiego okresu czasu. Nie ma jednoznacznego rozstrzygnięcia tej kwestii, gdyż język Traków i Ilirów nie jest nam dobrze znany, praktycznie wiemy o nim bardzo niewiele⁴⁵.

Ważną sprawą jest to, kiedy nazwa Karpat zaczęła się popularyzować. Najprawdopodobniej dopiero w epoce renesansu, bo choć o Karpatach wzmiankuje Jan Długosz, to późniejszy od niego Miechowita wspomina o „górach Sarmackich”⁴⁶. Wygląda na to, iż nazwa „Karpaty” funkcjonowała początkowo jedynie jako określenie naukowe⁴⁷.

Jak widać, trudno o jednoznaczną odpowiedź jakie ludy zamieszkiwały w czasach przedhistorycznych ziemie dzisiejszej Sądecczyzny. Mówienie o mieszkańcach jako o „Prasłowianach”, „Protosłowianach”, Celtach, Germanach czy innych ludach jest dużym uproszczeniem. Widać jednak, że w ślad za wielokulturowością i przenikaniem się różnych trendów w sztuce materialnej, szła różnorodność etniczna, mieszanina i ciekawa kompozycja etniczna. Nic w tym dziwnego, skoro Sądecczyzna była i jest terenem pogranicza kultur i narodów.

⁴⁴ S. Urbańczyk, *Karpaty i Krępak. Pochodzenie i dzieje nazw*, „Acta Archaeologica Carpathica”, t. 10:1968, s. 10-11.

⁴⁵ Tamże, s. 11-13.

⁴⁶ Tamże, s. 13.

⁴⁷ Warto przyjąć się też bliżej nazewnictwu *Tatr*. Patrz: *Pasterstwo Tatr Polskich i Podhala, T. 5, Wędrówki pasterskie i nazewnictwo ludowe Tatr i Podhala*, praca zbiorowa, 1963, s. 14-23.

Rytro w pierwszej połowie XIX wieku. Przyczynek do historii infrastruktury i zabudowy miejscowości

Wieś Rytro znana jest wszystkim na Ziemi Sądeckiej, a także daleko poza jej granicami, głównie dzięki niepowtarzalnym walorom klimatycznym i krajobrazowym oraz fakcie istnienia na jej terenie ruin średniowiecznej strażnicy obronnej. Miejscowość może również poszczycić się swoją długą historią, ale niestety nie doczekała się ona jak dotąd szczegółowego opracowania. Z pewnością na taki stan rzeczy wpływa niewielka zachowana ilość materiałów archiwalnych oraz ich znaczne rozproszenie, co sprawia, że pojawiające się w obiegu informacje są głównie szczątkowe, a przez to niejednokrotnie są powtarzane bez sprawdzenia. Pojawiają się one zwykle w przewodnikach turystycznych, lub w formie krótkich wzmianek prasowych.

Najstarsze zachowane dokumenty wspominające omawianą miejscowość pochodzą z czasów panowania Władysława Łokietka, a dokładniej z 1312 r., kiedy to władca potwierdził prawo dla sióstr klarysek w Starym Sączu, pozwalające na pobieranie cła nad rzeką Poprad w Rytrze. Wolno jednak przypuszczać, że teren był zamieszkały już dużo wcześniej. Świadczy o tym chociażby fakt odnalezienia na wzgórzu Połomi, stanowiącej obecnie integralną część gminy Rytro, zabytków z czasów rzymskich. W okresie średniowiecza mieszkańcy zajmowali się głównie rolnictwem, a centralnym ośrodkiem wsi stał się zamek, pełniący funkcję strażnicy i komory celnej. Według miejscowej tradycji kres świetności strażnicy położył najazd wojsk księcia Rakoczego w 1648 r. Od tego czasu pozostaje on w ruinie, jednocześnie stając się rozpoznawalnym symbolem miejscowości. Od kilku lat prowadzone są na warownym wzgórzu prace archeologiczne i rekonstrukcyjne.

Oprócz jednak omawianego zamku, niewiele wiadomo na temat zabudowy Rytra, także w bliższym naszym czasom XIX wieku. Wydany w 1889 r. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* podawał informację, że domy są drewniane, czyste i służące w lecie dla przybywających gości. Zabudowę tworzyło 112 domów mieszkalnych, w tym 7 w części „Mikolaszka”, 7 – „Ryczanów”, 36 na Połomi i 10 w posiadłości barona Liebiga. Poza tym podawano, że w Rytrze brakuje szkoły, a jako jedyny zakład przemysłowy funkcjonował młyn wodny.

Przytoczone powyżej dane statystyczne zapewne niewiele odbiegały od ogólnej sytuacji panującej w XIX w. w Rytrze. Miejscowość, przy niewielkim zaludnieniu, nie posiadała zapewne również ważniejszych obiektów użyteczności publicznej. Jedynym, prócz wspomnianego wyżej młyna, mogła być tylko karczma, a z innych obiektów most na rzece Poprad i ewentualnie kładki nad potokiem Roztoczanka. Kościół parafialny powstał dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, a do tego czasu wierni obrządku łacińskiego udawali się na modlitwę do świątyni w sąsiednich Barcicach.

przedostania się na drugi brzeg była dość utrudniona. Roczny zysk uzyskany ze sprzedaży drewnianych bali miał wynieść 4680 florenów, a w przeciągu pięciu lat spodziewano się zgromadzić łącznie 20400 florenów. W omawianym piśmie zaznaczono też, że wszelkie należności ze sprzedaży tego drewna należy odprowadzić do kasy urzędu, podobnie jak rozliczenie roczne w związku z budową mostu. Do rocznego sprawozdania należało również dołączyć kwity na 30 sągów drewna, gdzie każdy bal musiał posiadać 2,5 m długości.

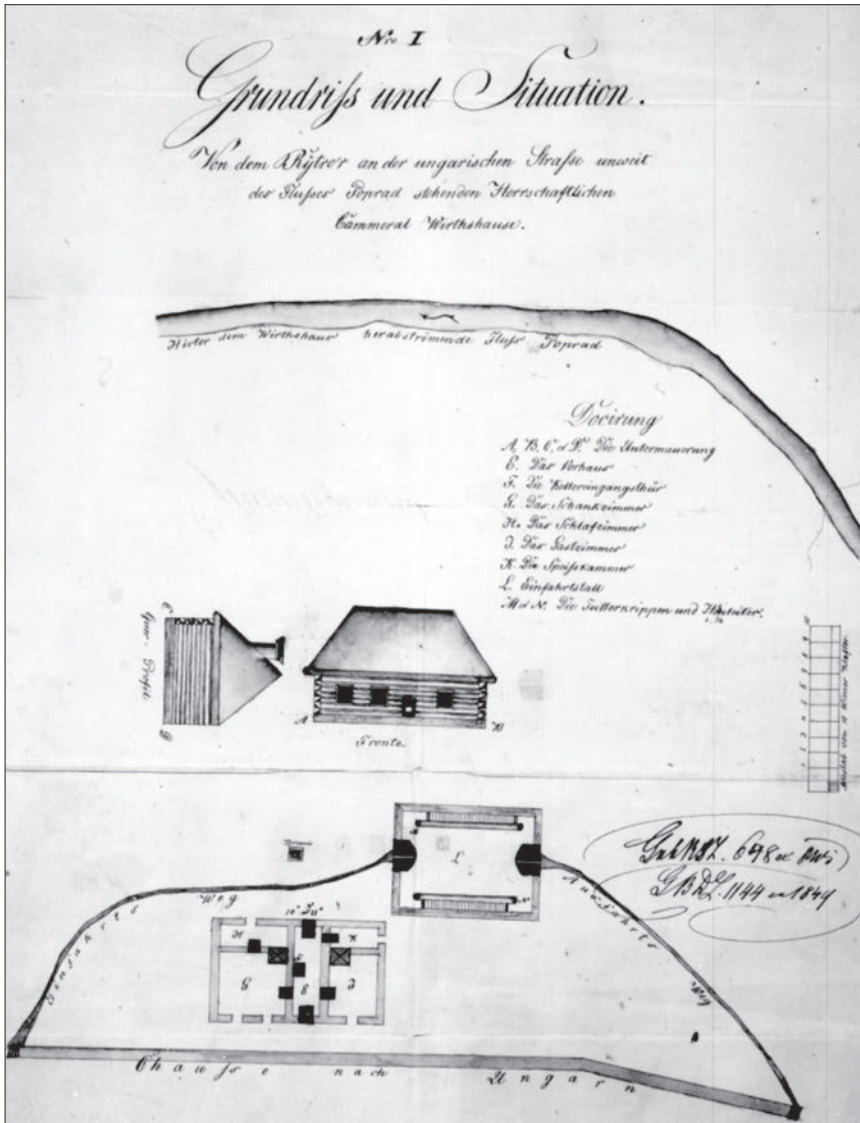
Konstrukcja, której ogólny zarys został przedstawiony na dołączonym i widocznym wyżej planie, zakładała wybudowanie łącznie sześciu filarów w formie skrzyń wypełnionych kamieniami. Cztery spośród nich miały stanowić umocnienie brzegów rzeki, a dwa stanowić podporę w jej korycie. Jednak w mało objętościowej specyfikacji materiałowej, z powodu nieczytelności dokumentu, braku nagłówków oraz zastosowania archaicznego języka niemieckiego, nie sposób dzisiaj precyzyjnie scharakteryzować poszczególne elementy drewniane i ich ilość, która miała posłużyć do budowy. Dodatkowo sprawę utrudniają podawane przez wystawcę dokumentu niestosowane już od dziesiątek lat jednostki miar. Wolno jednak przypuszczać, w oparciu o rozpoznawalne dane, że do realizacji przedsięwzięcia potrzebnych było 365 elementów.

Ważną informację zamieszczono w końcowej części dokumentu, bowiem zgodnie z nią drewno wyławiano nie na miejscu w Rytrze, ale na odległym o ok. 10 km odcinku Łomnica, który administracyjnie należał do tej samej gminy. Drewno wyłowione w Łomnicy oraz to, które minęło jednak tenże odcinek i zostało wyłowione w Barciach, należało przetransportować do Piwnicznej, gdzie poddawano go obróbce. Do pomocy zostali zobowiązani także leśnicy w Piwnicznej.

W końcowej części dokumentu nie ma jednak sprecyzowanego żadnego postulatu skierowanego do adresata. Skutkiem tego administrator (kierownik) urzędu w Starym Sączu, Johann Radoschan, naniósł w dniu 1 kwietnia 1816 r. adnotację, w której potraktował pismo z Rytra wraz z planem jako oświadczenie w sprawie inwestycji, a nie podanie o budowę mostu. W konsekwencji pismo pozostało bez odpowiedzi ze strony urzędu.

Niestety nie posiadamy informacji, czy ostatecznie, zgodnie z projektem, most powstał, bowiem nie ma na ten temat dalszych dokumentów. Bez względu jednak na finał czynionych zabiegów, już na podstawie tego dokumentu widać, jak ważne miejsce w życiu mieszkańców Rytra, prawie 200 lat temu, zajmowała bezproblemowa i stabilna komunikacja. Przedstawiona na planie konstrukcja, oparta na drewnianych, skrzyniowych filarach, wypełnionych kamieniami, miała zapewnić trwałość obiektu na rwącym Popradzie, chociaż z drugiej strony takie rozwiązanie techniczne, oceniając z dzisiejszego punktu widzenia, stanowiło standard. Z pewnością jednak, jeśli nawet most został zbudowany, nie mógł w dłuższej perspektywie oprzeć się destruktywnym siłom natury. Taki pogląd można śmiało wysunąć, mając na względzie bliższy nam XX wiek, kiedy w tym samym miejscu cyklicznie stawiane przeprawy w formie podobnych drewnianych mostów na Życzanowie, były bez mała corocznie zrywane przez wodę powodziową. Problem ten zniknął dopiero kilkanaście lat temu, gdy powstała żelbetonowa konstrukcja obiektu.

Innym zachowanym dokumentem świadczącym o przeszłości Rytra i jego zabudowie, jest plan poziomy i sytuacyjny miejscowej, niewielkiej karczmy, sporządzony w 1849 r. Trudno jednak na jego podstawie określić, kiedy obiekt powstał, ale dzięki szczegółowemu rysunkowi można zapoznać się ze specyfiką jego budowy. Usytuowano go przy głównym trakcie prowadzącym na Węgry, a łączącym na tym odcinku sąsiednie wsie Barcice i Młodów. Posiadał on prostą konstrukcję drewnianą usadowioną na podmurówce i zwieńczoną czterospadowym dachem. Do karczmy prowadziło dwoje drzwi, a jasność wewnątrz zapewniało pięć okien. Strona północna budynku pozbawiona była okien.



Plan karczmy w Rytrze z 1849 r.

Wewnątrz gospody znajdowało się jedynie pięć pomieszczeń, które na planie zostały dokładnie oznaczone literami. Zaliczały się do nich: przedsionek (E), pokój karczmarza (G), sypialnia (H), pokój gościnny (I) oraz spiżarnia (K). W środkowej części sieni było wejście do piwnicy (F). W pokoju karczmarza i w pokoju gościnnym najprawdopodobniej zbudowano piece, ogrzewające cały obiekt, gdyż na planie zaznaczono wyraźnie w tych miejscach kominy. Komunikację między pomieszczeniami zapewniało pięć drzwi, wliczając te do piwnicy, oznaczonych czarnymi prostokątami.

Zaraz za karczmą, z prawej strony zbudowano oborę zajazdową, do której doprowadzono od głównego traktu drogę wjazdową i wyjazdową. Nie mamy niestety szkicu zewnętrznej sylwetki tego obiektu, ale wydaje się niemal oczywistym, że musiał to być budynek drewniany, kryty prawdopodobnie prostym dwuspadowym dachem. Od strony drogi wjazdowej i wyjazdowej znajdowały się, jak to pokazuje rysunek, dwuskrzydłowe drzwi, a wewnątrz, po obu stronach obory, zamontowano żłoby z drabinkami dla koni.

Ważnym elementem schematu organizacyjnego karczmy i budynku gospodarczego wydaje się zamieszczona obok szkiców skala w sążniach wiedeńskich, która wówczas obowiązywała. W przeliczeniu 1 sążeń wiedeński był równoważny 1,8966 m długości. Jednak nawet pobieżna analiza relacji skali do rysunku pozwala stwierdzić, że proporcje pomiędzy tymi elementami nie zostały zachowane, w związku z czym nie można precyzyjnie określić wymiarów gospody i obory.

Przedstawione i omówione powyżej dokumenty w skali regionu z pewnością nie zaliczają się do ważnych, ale w aspekcie historii Rytra można je uznać za istotne, tym bardziej, że oprócz samej części opisowej, posiadają również elementy ikonograficzne. Dzięki nim możemy więc naocznie doświadczyć kontaktu z historią, której już nikt nie pamięta. Z drugiej jednak strony, nawet taki skromny wycinek dziejów, może zachęcić innych badaczy do dalszych poszukiwań śladów przeszłości Sądeckizny.

Autor składa w tym miejscu serdeczne podziękowania Panu dr. Tomaszowi Połomskiemu za okazaną mu pomoc i rzetelne przetłumaczenie tekstów staroniemieckich na język polski.

W 120 rocznicę powstania Związku Stronnictwa Chłopskiego zwanego także Stronnictwem Braci Potoczków

Polityczny ruch chłopski powstawał i rozwijał się na ziemiach polskich bardzo nierównomiernie. Najwcześniej narodził się w Galicji, pod zaborem austriackim. Po uzyskaniu autonomii zaistniały tam najkorzystniejsze warunki do szeroko zakrojonej aktywności politycznej. Panujące wówczas stosunki społeczno – polityczne i gospodarcze zaostriły walkę pomiędzy chłopami a uprzywilejowanym ziemiaństwem. Pierwsze próby zorganizowanego działania rozpoczęły się już od 1861 roku. Wtedy to trzydziestu trzech chłopskich posłów podjęło wspólnie na forum Sejmu walkę w obronie interesów wsi. Wśród nich był Jan Oskard mieszkaniec Podegrodzia. Początkowo Sądeczczyzna nie miała wielu takich jak on, jednak postęp oświatowy i samokształceniowy chłopów zaczął przynosić widoczne efekty. Przodującą rolę odgrywały zamożniejsze i bardziej wykształcone rodziny Sądeczczyzny m.in. Sikorskich z Jelnej, Potoczków z Rdziostowa, Maciuszków i Ciągłów z Podegrodzia i Myjaków z Zagorzyna. Związani wspólnymi celami, a czasem i więzami krwi, zaczęli się zbierać i dyskutować o swoim losie i możliwościach jego zmiany. Zaczęli myśleć o chłopskich prawach i coraz częściej ukazywali swoją „rogatą duszę”. Organizując się brali udział w wielu imprezach masowych z okazji rocznic i uroczystości narodowych.

Do prawdziwej walki politycznej doszło w 1883 roku, w związku z wyborami do Sejmu. Celem było wyeliminowanie szlacheckich kandydatów na posłów przez powszechne głosowanie na chłopskich przedstawicieli. Tę, pierwszą rundę, chłopci jednak przegrali. Następną w 1889 roku należała już do nich. Walne zwycięstwo odnieśli kandydaci chłopscy; Stanisław Potoczek – wójt z Rdziostowa, Franciszek Kramarczyk z Białej i Wojciech Stręk z Ropczyc. Ich działalność sejmowa spotykała się jednak z wielką niechęcią i wieloma przykrymi uwagami ze strony szlacheckiej większości.

Początkowo posłowie chłopscy nie wykazywali się większą aktywnością polityczną, ale danego im przez Opatrzność czasu nie zmarnowali, a uczyli się pełnić nową, bardzo ważną rolę społeczną. Kiedy chłopci sądecy mieli już swoich posłów w Sejmie, gdy Jan Potoczek został wybrany w 1891 roku do Rady Państwa w Wiedniu, zaczęli myśleć o utworzeniu jednego, silnego Stronnictwa Chłopskiego. Myśl tę wysuwał przede wszystkim ks. Stanisław Stojałowski, który był początkowo ich duchowym liderem. Organizacji Stronnictwa dokonali jednak sami chłopci, a zwłaszcza ich przywódcy; Narcyz Sikorski, Stanisław i Jan Potoczkanie, którzy byli jednocześnie współautorami Programu Stronnictwa Chłopskiego. Program ten, ogłoszony po raz pierwszy 10 marca 1892 roku w „Pszczółce”, gazetce dla chłopów, wydawanej przez ks. Stanisława Stojałowskiego, wzbudził ogromne, powszechne zainteresowanie. 7 sierpnia 1892 roku w Nowym Sączu, na poufnym zebraniu, spotkało się dwudziestu kilku najbardziej aktywnych wójtów i gospodarzy z nowosądeckiego i limanowskiego powiatu. Po długiej i gorącej dyskusji zlecieli swym posłom Stanisławowi i Jano-

wi Potoczkom opracowanie statutu towarzystwa politycznego pod nazwą: Związek Stronnictwa Chłopskiego. 21 lutego 1893 roku statut został zatwierdzony przez Namiestnictwo we Lwowie. Statut składał się z 20 paragrafów i zawierał m.in. wezwanie chłopów do jedności i solidarności stanowej, do walki o należne prawa dla chłopów w oparciu o własne siły chłopskie. Obawiano się fałszywych doradców i szlacheckich prowokatorów oraz zakonspirowanych obrońców starego ładu.

Pierwsze walne zgromadzenie Stronnictwa odbyło się 3 lipca 1893 roku w Nowym Sączu. Przybyło na nie kilkuset chłopów z różnych stron sądeckiego i limanowskiego powiatu. Przybył także ks. Stanisław Stojałowski, bez którego działań społeczno – politycznych (wydawał gazety dla ludu – „Wieniec”, „Pszczółka”, „Dzwon”) nie byłoby warunków do powstania takiej inicjatywy politycznej.

Do wybranego wtedy zarządu weszli najbardziej aktywni i najbardziej znani bojownicy o sprawę chłopską jak: Józef Chrzanowski z Siedlec, Tomasz Ciągło z Podegrodzia, Józef Maciuszek z Opalanej, Jan Myjak z Zagorzyna, Stanisław Uryga z Ujanowic, ks. Stanisław Stojałowski, Stanisław Potoczek z Rdziostowa – jako prezes i Jan Potoczek ze Świniarska – jako sekretarz.

Tak powstało pierwsze, polityczne Stronnictwo Chłopskie, pierwsza polityczna partia chłopska w Galicji. Bo właśnie tu, na Sądecczyźnie, gdzie był odpowiedni ku temu klimat, ukształtowani politycznie chłopci poczuli się współgospodarzami kraju. Nie chcieli już być przez nikogo reprezentowani, zwodzeni, okradani i napuszczani przeciw sobie przez różnych polityków, których celem było nie dopuścić do zjednoczenia się w słusznej walce o równe prawa dla chłopów. Zrezygnowali też, pod presją tarnowskiej Kurii, z dalszej pomocy ks. Stanisława Stojałowskiego i 2 stycznia 1894 roku podjęli decyzję o wydawaniu własnego pisma pod nazwą Związek Chłopski. Lata 1894 – 1901 to najbardziej owocny czas w historii Związku Stronnictwa Chłopskiego. Corocznie odbywały się walne zgromadzenia na które tłumnie przybywali chłopci, często z bardzo odległych zakątków, manifestując tym solidarność i siłę mas chłopskich. Nie brakowało też Związkowi poparcia radykalnych księży i innych przedstawicieli elit intelektualnych, zwłaszcza wtedy, gdy do głosu zaczęli dochodzić socjaliści. Gdy w 1895 roku powstała w Galicji nowa organizacja chłopska – Stronnictwo Ludowe, to jej posłowie tworzyli wspólnie na terenie Sejmu z posłami Związku Stronnictwa Chłopskiego tzw. Unię Ludową. Wspólnie też występowali przeciw konserwatom ziemiańskim w walce o poprawę życia na wsi m.in. o lepszą szkołę, o lepsze drogi, o regulację potoków i zabezpieczenie przeciwpowodziowe, o likwidację anachronicznych przywilejów dworskich itp.

Z czasem, w skutek narastania w łonie Stronnictwa Ludowego tendencji radykalnych i antyklerykalnych, następowało stopniowe rozluźnianie więzów sympatii i współpracy. Działacze ZSCh mieli za złe Stronnictwu Ludowemu, że ci podejmują walkę z duchowieństwem i bratają się z socjalistami. Wzrastające jednak z roku na rok w siłę Stronnictwo Ludowe zyskiwało także coraz więcej zwolenników na Sądecczyźnie odsuwając tym samym na boczny tor ZSCh.

W 1908 roku ukazał się ostatni numer organu prasowego ZSCh – „Związek Chłopski”, a w następnych latach cała struktura organizacyjna poszła w zapomnienie ustępując miejsca bardziej radykalnemu i rosnącemu w siłę Polskiemu Stronnictwu

twu Ludowemu „Piast”. ZSCh – pierwsza organizacja polityczna chłopów polskich, pierwsza partia chłopska na ziemiach polskich, a także w Europie Środkowej, i jedna z pierwszych w Europie – uważana jest jednomyślnie przez historyków wsi i ruchu ludowego, za stronnictwo polityczne o poglądach solidarystycznych opartych na zasadach ideologicznych solidaryzmu chrześcijańskiego, społecznie konserwatywnych i o zabarwieniu wybitnie prokościelnym. Przecież nie mogło być inaczej, gdyż chłop galicyjski był i pozostaje do dziś bardzo religijny i bardzo mocno związany z duchowieństwem i Kościołem. Te cechy galicyjskiego włościanina sprawiły m. in., że pod wpływem nakazu galicyjskich biskupów, ludność wiejska odsunęła się od ks. St. Stojalowskiego, gorliwego siewcy idei solidaryzmu chrześcijańskiego na wsi i zamiast należytej mu wdzięczności okazała obojętność, a później nawet pogardę. Zrażony więc do swych „braci chłopów” za ich wiarołomną postawę już pod koniec swego życia ks. Stojalowski przekazał resztki swych politycznych wpływów Narodowej Demokracji a nie Polskiemu Stronnictwu Ludowemu. W rejestrze imiennym Związku Stronnictwa Chłopskiego obejmującym 1297 nazwisk członków, 40 spośród nich związanych jest miejscem zamieszkania ze wsiami dzisiejszej gminy Łącko.

I tak 7 członków mieszkało w Maszkowicach, 6 w Zagorzynie, 6 w Woli Kosnowej, 5 w Łącku, 4 w Kiczni, 3 w Czerńcu, 2 w Jazowsku, 2 w Brzynie, 2 w Zabrzeży, 1 w Zarzeczcu, 1 w Czarnym Potoku, 1 w Woli Piskulinej.

Ich nazwiska podajemy z numerem pod jakim figurują w „Wykazie Członków Związku Stronnictwa Chłopskiego”.

- 40. Władysław Majkrzak zam. w Jazowsku,
- 52. Jan Myjak – starszy (Myjkowski – poeta ludowy, korespondent do prasy ludowej) zam. w Zagorzynie,
- 53. Jan Myjak – młodszy zam. w Zagorzynie,
- 54. Józef Myjak zam. w Czerńcu,
- 55. Jan Huza zam. w Zabrzeży,
- 161. Wawrzyniec Duda zam. w Woli Piskulinej,
- 162. Jan Kurzeja – wójt zam. w Łącku,
- 163. Jan Sejdułt zam. w Łącku,
- 164. Józef Kałużny zam. Łącku,
- 185. Antoni Turek zam. w Zagorzynie,
- 186. Antoni Myjak zam. w Zagorzynie,
- 187. Michał Domek zam. w Zagorzynie,
- 188. Józef Piksa zam. w Czerńcu,
- 189. Antoni Kowalczyk zam. w Kiczni,
- 190. Bartłomiej Marek zam. w Łącku,
- 191. Marcin Gromala zam. w Zabrzeży,
- 192. Jan Myjak zam. w Zarzeczcu,
- 193. Jan Faron – wójt – zam. w Maszkowicach,
- 194. Antoni Wnęk zam. w Maszkowicach,
- 195. Jan Skut zam. w Maszkowicach,
- 197. Andrzej Kurzeja – wójt – zam. w Jazowsku,

- 219. Jan Iwkowski zam. w Kiczni,
- 220. Antoni Mytko zam. w Kiczni,
- 221. Maciej Baziak – wójt – zam. w Woli Kosnowej,
- 222. Józef Tomaszek zam. w Woli Kosnowej,
- 223. Jan Dziedzina – młodszy – zam. w Woli Kosnowej,
- 224. Piotr Duda zam. w Woli Kosnowej,
- 225. Michał Duda – starszy – zam. w Woli Kosnowej,
- 226. Józef Gromała zam. w Woli Kosnowej,
- 293. Jan Warzecha zam. w Brzynie,
- 294. Michał Majewski zam. w Brzynie,
- 303. Michał Jasiurkowski zam. w Łącku,
- 304. Feliks Jeleński – nauczyciel – zam. w Zagorzynie,
- 305. Jan Babik zam. w Maszkowicach,
- 306. Wojciech Zbozeń zam. w Maszkowicach,
- 1252. Roch Stachoń zam. w Czarnym Potoku,
- 1269. Antoni Baziak zam. w Maszkowicach,
- 1270. Jan Pyrdoł zam. w Czerńcu,
- 1297. Wincenty Ossowski – aktywista ludowy, korespondent Związku Chłopskiego, zam. w Kiczni, potomek szlachty zaściankowej.



Stanisław Potoczek – ur. 11 IX 1849 r. w Rdziostowie. pow. Nowy Sącz. Założyciel Związku Stronnictwa Chłopskiego, od 1889 r. poseł do Sejmu Krajowego. Redaktor organu prasowego ZSch „Związek Chłopski”. Po likwidacji ZSch w 1908 r. wstąpił do PSL



Jan Maciej Myjak – ur. 5 VI 1849 r. w Zagorzynie pow. Nowy Sącz. Współtwórca ZSch, członek jego zarządu. Działacz i poeta ludowy. Zmarł w 1927 r.



Wincenty Myjak – ur. 11 VI 1876 r. w Zagorzynie, pow. Nowy Sącz. Zmarł w 1927 r., wójt i działacz ZSCh, potem w PSL „Piast”. Poseł na Sejm Krajowy, a następnie do Rady Państwa w Wiedniu



Narcyz Potoczek – ur. 15 II 1875 r. w Rdzioszowie. Syn Stanisława Potoczka – prezesa ZSCh. Działał w PSL, po I wojnie był posłem, wiceprezesem Klubu Parlamentarnego PSL „Piast” i wiceprezesem tego Stronnictwa. Później działał w spółdzielczości na wsi. Zmarł w 1943 r.

Początki sportu na ziemi łąckiej

Aktywność fizyczna wpływa pozytywnie na zdrowie osób uprawiających sport. Ryszard Wroczyński w książce „*Powszechne dzieje wychowania fizycznego i sportu*” opisuje, iż od zarania dziejów sprawność fizyczna miała ogromne znaczenie w życiu człowieka. Ze względu na trudne warunki życia, człowiek pierwotny musiał odznaczać się takimi cechami, jak: siła, sprawność, zdrowie, czy odporność na choroby a także zmienny klimat. W związku z czym ówczesni ludzie podejmowali różne działania, aby rzeczywiście żyć zdrowo. Intensywny rozwój sportu i rekreacji fizycznej zauważono na przełomie XIX i XX. wieku. Zaczynają powstawać tereny gier, zabaw i rekreacji, a następnie kluby i zrzeszenia sportowe. Wszystkie te przedsięwzięcia podejmowane są w oparciu o naukowe wywody, które podkreślają znaczenie ćwiczeń fizycznych, jako czynnika wzmacniającego nie tylko strukturę fizyczną, ale i psychiczną człowieka².

Pierwszym wizualnym dokumentem związanym ze sportem na ziemi łąckiej jest zdjęcie, które zostało opublikowane w Almanachu Łąckim (nr 8 z 2008 roku). Krzysztof Chwalibóg umieścił to zdjęcie w swoim artykule, ale nie rozpoznał wszystkich osób znajdujących się na fotografii. Zdjęcie to pochodzi z okresu międzywojennego. Pewne jest to, iż na wspomnianym zdjęciu znajduje się trzech synów doktora Henryka Chwaliboga. Krzysztof Chwalibóg opisuje to zdjęcie tak: „... tym kucającym bramkarzem jest kilkunastoletni Zbyszek Chwalibóg, na lewo od niego najstarszy brat Henryk, a Jaś stoi pierwszy z prawej. Trudno byłoby zidentyfikować ich kolegów, ale może się komuś uda...”



Łącka drużyna piłkarska, początek okresu międzywojennego. Fot. ze zbioru TMZŁ

Marcel Franczyk z Łącka rozpoznaje dwie osoby na zamieszczonym obok zdjęciu, i opisuje je w następujący sposób: „... pierwszą osobą jest

¹ Absolwent AWF Kraków, nauczyciel ZS im. św. Kingi w Łącku

² R. Wroczyński, *Powszechne dzieje wychowania fizycznego i sportu*, wyd. BK Wrocław 2003 r.

³ K. Chwalibóg, *Historia rodziny Chwalibogów cz. IV*, Almanach Łącki nr 8/2002, s. 8

oficer Waław Rolny (1887-1925)⁴ pochodzący z Preszowa, ze Słowacji (pierwszy z lewej w białej koszuli), który poślubił Józefę Rodzińską z Łącka. Drugą osobą jest ojciec Marcela – Augustyn Franczyk⁵ (trzeci od lewej) ...”. Ponadto M. Franczyk stwierdził, iż „... po krótkich włosach mojego ojca przypuszczam, że jest to prawdopodobnie okres końca jego służby w wojsku. Ojciec mój służył w wojsku w latach 1918 – 1923. Jednoznacznie nie można stwierdzić, kiedy dokładnie to było. Jeżeli chodzi o rozgrywki sportowe, możliwe, że mecze rozgrywali ze społecznością żydowską, która posiadała swoją drużynę o nazwie „Malibu”...⁶

Z okresu międzywojennego nie ma wielu informacji odnośnie sportu w Łącku, można by stwierdzić, iż więcej jest pytań niż odpowiedzi. Prawdopodobnie jednym z inicjatorów powstania miejscowej drużyny piłkarskiej był oficer Waław Rolny, ponieważ w ówczesnym okresie oficerowie wojskowi angażowali się w rozwijanie aktywności sportowej wśród młodzieży. Inne przypuszczenie jest takie, iż uczący się wówczas w gimnazjum Chwalibogowie mogli również zachęcać innych do



Waław Rolny (1889 – 1927). Fot. ze zbioru Barbary Szczodrowskiej



Andrzej Urbaniec

uprawiania piłki nożnej. Chwalibogowie zwłaszcza, iż mieli rodzinę we Lwowie⁷, która prawdopodobnie mogła wspierać inicjatywy związane z kulturą fizyczną. Trzecia możliwość to taka, iż jeszcze inne osoby mogły się angażować w działalność sportową, a które tu nie zostały wymienione z imienia i nazwiska. Jednakże są to tylko przypuszczenia, gdyż brak jest stosownych dokumentów potwierdzających ten fakt.

Warto w tym miejscu wspomnieć rozmowę Autora z Andrzejem Urbaniec, który opowiadał, że podczas II wojny światowej do Łącka przybył Stanisław Baran⁸, piłkarz reprezentacji Polski, który przywiózł ze sobą „prawdziwą piłkę” i z miejscowymi chłopcami (m. in. Janem Nowackim, Andrzejem

⁴ Z przekazu słownego wnuczki Waława Rolnego, Barbary Szczodrowskiej wynika, iż Jej Dziadek studiował prawo w Pradze przerwane wybuchem I wojny światowej i powołaniem do służby wojskowej.

⁵ A. Franczyk (1900-1969) brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej oraz w walce obronnej we wrześniu 1939 r. Podczas II wojny światowej wywieziony do obozu niemieckiego Auschwitz. Po wojnie aresztowany w 1946 przez UB, wyszedł na wolność pół roku później

⁶ Informacje na podstawie przekazu słownego Marcelego Franczyka z Łącka, ur. w 1930 roku, syna Augustyna

⁷ K. Chwalibóg, *Historia rodziny Chwalibogów cz. IV*, Almanach Łącki nr 8/2002

⁸ Z przekazu słownego A. Urbanica wynika, iż S. Baran przybył do Łącka na przełomie 1943 i 1944 roku.



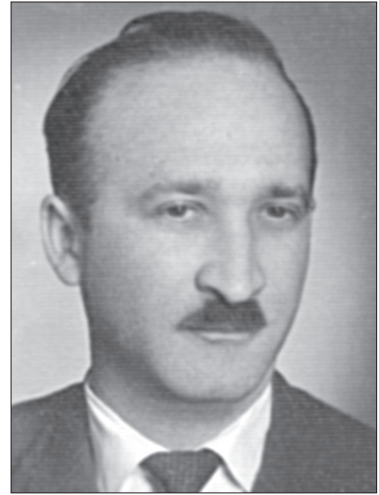
Stanisław Baran (1920 – 1993)
reprodukcja ze strony
www.resoviacy.pl

Urbańcem, Eugeniuszem Piksą, Ludwikiem Kułaczem, Andrzejem Gronusiem i innymi) rozgrywał mecze nad Dunajcem⁹.

Stanisław Baran reprezentował Polskę na Mistrzostwach Światach w piłce nożnej w 1938 roku we Francji (był rezerwowym). Ponadto grał w takich klubach, jak: Resovia Rzeszów, Warszawianka, Lechia Gdańsk, ŁKS Łódź¹⁰. Piłkarz ten na początku II wojny światowej przeniósł się z Warszawy do Rzeszowa¹¹ będąc wówczas znanym już sportowcem, co w okresie wojennym nie było cechą pochlebną dla okupanta. Prawdopodobnie z tego powodu S. Baran opuszcza Rzeszów i przenosi się w okolice Limanowej, występując w barwach miejscowej drużyny „Limanovia”¹². Aby nie zostać zdekonspirowanym, zmienia miejsca zamieszkania (co bardzo często było stosowane w tamtym okresie), przenosząc się do Łącka¹³.

Łącki sport po II wojnie światowej

Po II wojnie światowej w Łącku wzrosło zainteresowanie sportem. Miejscowa młodzież, mimo wycieńczenia okupacją, chętnie garnęła się do normalnego życia, zajmowała się wszelkimi organizacjami sportowymi, które były reaktywowane lub tworzone od podstaw. Sport był postrzegany jako atrakcyjne zajęcie i bardzo szybko rozwijał się w Łącku. Pierwszą dyscypliną, jaka wyklarowała się po II wojnie światowej w Łącku była piłka nożna, do której zachęcał Wiesław Bogucki¹⁴, po powrocie z Piwnicznej w rodzinne strony w 1947 roku. Jak wspomina Józef Najduch¹⁵ miejscem spotkań piłkarskich była mała łąka nad Dunajcem, która stanowiła własność Jana Maurera z Łącka (Niemiecka Wieś), obok potoku „Czarna Woda”. Łąka ta miała wymiary około



Wiesław Bogucki

⁹ Andrzej Urbaniec ur. 1924 r. w Warszawie, podczas okupacji hitlerowskiej przebywał w Łącku i zajmował się tajnym nauczaniem. Do tej pory mieszka w Łącku.

¹⁰ www.wikipedia.org/wiki/Stanisław_Baran

¹¹ www.resoviacy.pl – serwis informacyjny Resovia Rzeszów – artykuł, J. Talaga, „Gdzie te Wróble, gdzie Barany...”

¹² <http://limanowa.in/wydarzenia/news,6842.html>

¹³ Ten fakt potwierdza też Tadeusz Zygańdo, oraz jego kolega Eugeniusz Piksa dodając, iż nad Dunajcem były rozgrywane mecze z udziałem Stanisława Barana. Trzeba też wspomnieć, że S. Baran po wojnie wyjechał z Łącka, ale w miarę możliwości, odwiedzał Eugeniusza Piksę.

¹⁴ Wiesław Bogucki z Łącka (1932-2005), lekarz stomatolog, ukończył studia medyczne w Zabrze.

¹⁵ Płk. mgr Józef Najduch, ur. 1930 roku w Łącku, ukończył Szkołę Oficerską we Wrocławiu, obecnie mieszka w Krakowie



Rok 1952, stoją od lewej: Jan Bucyk, Jan Myjak, Czesław Mozdyniewicz, Antoni Stanisiz, Henryk Wiatr, Józef Wiatr, Henryk Franczyk, Wiesław Bogucki, Wojciech Sopata, Marcei Franczyk, Czesław Wojtas. Fot. ze zbioru ks. Jana Myjaka

wał mecze), Jan Faron, Józef Pasoń, Jan Linder, Maciej Talar i inni¹⁶. Spotkania organizacyjne odbywały się w domu Chwalibogów (nazywanym również Leśniczówka), w którym siedzibę miało także łackie harcerstwo o nazwie „Dzięcioły”. Obecnie w tym miejscu znajduje się Urząd Gminy w Łącku¹⁷.

Znaczący wpływ na rozwój sportu w Łącku miały wprowadzone w życie Ustawy¹⁸ związane ze sportem, czego dowodem jest scalenie w Polsce wszelkich organizacji młodzieżowych, które miało miejsce w lipcu 1948 roku¹⁹.

W tym samym czasie młodzież uprawiająca sport została zorganizowana w tzw. Ludowe Zespoły Sportowe. Bardzo szybko powstawały ogólnopolskie struktury sportu wiejskiego (LZS-y), które funkcjonowały w oparciu o wytyczne Głównej Rady Sportu Wiejskiego²⁰. Takie struktury również zostały zorganizowane przy Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Łącku, gdzie powstał dział Kultury Fizycznej, w którym urzędowała Gminna Rada Sportu Wiejskiego LZS²¹. Pierwszym przewodniczącym została Zofia Jaskółka z Łącka²². Następnym

pięćdziesiąt na trzydzieści metrów, co pozwoliło na wstawienie bramki i grę na tym mini boisku. Boisko czynne było przez cały rok, codziennie do późnych godzin wieczornych, z wyjątkiem zimy. Tam młodzi chłopcy poprawiali sprawność fizyczną oraz technikę, nie tylko w piłce nożnej, ale również w innych dyscyplinach, jak siatkówka. Młodzieży interesującej się sportem pomagali: Stanisław Jakób, Augustyn Franczyk, Mieczysław Krzywodziński (bardzo często sędzio-



Dom Chwalibogów. Fot. ze zbioru TZMŁ

¹⁶ Informacje na podstawie przekazu pisemnego J. Najducha

¹⁷ Informacje na podstawie przekazu słownego M. Franczyka. Harcerstwo o nazwie „Dzięcioły”, przewodził Jan Myjak z Czerrńca. W 1948 roku zostało ono włączone w struktury Związku Młodzieży Polskiej

¹⁸ Dziennik Ustaw z 1948 r. nr 12, poz. 90. Na jego mocy została powołana organizacja młodzieżowa pod nazwą „Służba Polsce”. Powszechnemu obowiązkowi przysposobienia zawodowego podlegali zarówno mężczyźni jak i kobiety w wieku 16-21 lat, za wyjątkiem mężczyzn, którzy odbywali lub odbyli służbę wojskową oraz kobiety zamężnych. Powszechny obowiązek obejmował naukę oraz pracę okresową do 6 miesięcy.

¹⁹ M. Wierzbicki, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie*, Warszawa 2006, s. 23-27.

²⁰ www.wikipedia.org/pl. Ludowe Zespoły Sportowe



Mieczysław Zbozień (1929 – 2000)
Fot. ze zbioru Barbary i Andrzeja Zbozień

łecznych nie mając pewności, czy będą na tym boisku grać, czy nie – teren przecież nie był ich własnością. Józef Najduch zaznacza, że zadaniem młodzieży ak-



Jan Myjak. Fot. ze zbioru rodziny Myjaków

wywożenia kamieni i innych zbędnych przedmiotów z organizowanego boiska²⁷. Jeżeli chodzi o sprzęt,

przewodniczącym był Mieczysław Zbozień, zaś sekretarzem Jan Myjak – obojwaj pochodzący z Czernca²³.

Józef Wiatr wspominał iż, miejscem organizacji sportowej był dom nazywany „Grabcówka”²⁴. W tym budynku młodzież się spotykała w świetlicy, prowadzonej przez Krystynę Zbozień z Czernca, uprawiając między innymi boks czy tenis stołowy²⁵. Rozpoczęto również poprawę bazy sportowej, a dokładnie rzecz ujmując budowę nowego boiska piłkarskiego. Jak wspomina ks. Jan Myjak, za symboliczną złotówkę wydzierżawiono plac na Targowicy od Zarządu Wodnego²⁶. Wspomniany teren trzeba było do-

prowadzić do porządku. Młodzież spontanicznie przystąpiła do prac społecznych. Bardzo pomocny w tych pracach okazał się zaprzęg koni Stanisława Mozdyniewicza, który używał ich bezinteresownie, ce-

lem karczowania drzew, wywożenia kamieni i innych zbędnych przedmiotów z organizowanego boiska²⁷. Jeżeli chodzi o sprzęt,

przewodniczącym był Mieczysław Zbozień, zaś sekretarzem Jan Myjak – obojwaj pochodzący z Czernca²³.



Zofia Bodziony z d. Jaskółka. Fot. ze zbioru rodziny Gondków



„Grabcówka”. Fot. Autor

²¹ M. Franczyk – przekaz słowny, potwierdza ten fakt ówczesny sekretarz Rady Gminnej LZS w Łącku ks. Jan Myjak. Ponadto pracownik GS-u w Łącku Stefan Gromala przekazał, że nie ma dokumentacji archiwalnej związanej z działalnością LZS-u.

²² Informacje na podstawie przekazu pisemnego J. Najducha

²³ Informacje na podstawie przekazu słownego ks. Jana Myjaka z Czernca, ur. 1934 r., który ukończył seminarium we Wrocławiu. Obecnie mieszka w Kudowie –Zdrój i jest honorowym obywatelem tego miasta.

²⁴ Przed wojną znajdowała się tam restauracja, którą prowadził Piotr Chrobak, a obecnie mieści się kwaciarnia i księgarnia

²⁵ Informacje na podstawie przekazu słownego Czesława Mozdyniewicza z Łącka, ur. 1931r. Obecnie mieszka w Nowym Sączu

²⁶ Informacje na podstawie przekazu słownego ks. J. Myjaka



Rok 1951, stoją od lewej: Włodzimierz Kowalczyk, Andrzej Myjkowski, Kazimierz Hubar, Wiesław Bogucki, Józef Najduch, w środkowym rzędzie, od lewej: Czesław Mozdyniewicz, Józef Hilgier, Bronisław Kucharski, w pierwszym rzędzie: Marceli Franczyk, Jan Myjak, Zbigniew Haudyk. Fot. ze zbioru Marii Boguckiej

zwę LZS-u na tle zachodzącego słońca, natomiast obrzeża tego emblematu okalały kłosa zboża²⁹.

Należy w tym miejscu podkreślić działania podejmowane przez Wiesława Boguckiego, który mobilizował wielu ludzi, aby pomagali LZS w Łącku. Wiesław Bogucki, ucząc się w Łodzi, miał kolegów trenujących w ŁKS-ie Łódź (m. in. Kazimierza Ciacha, Stanisława Dworakowskiego³⁰ i innych), którzy przyjeżdżali na wakacje do Łącka i towarzysko grali z miejscową drużyną. Dużą pomoc młodzież łącka doświadczyła od byłego więźnia Oświęcimia Jana Krokowskiego, który działał we władzach w Nowym Są-



Rok 1952, stoją od lewej: Antoni Stanisław, Jan Bucyk, Wiesław Bogucki, Henryk Wiatr, Henryk Franczyk, klęczą od lewej: Wojciech Sopata, Czesław Mozdyniewicz, Józef Wiatr, siedzą od lewej: Czesław Wojtas, Jan Myjak, Marcel Franczyk. Fot. ze zbioru Marii Boguckiej

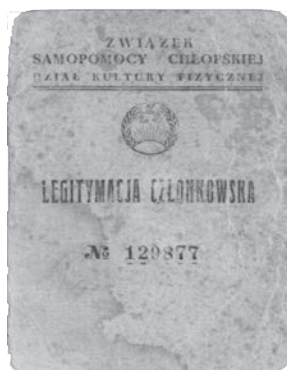
który był wykorzystywany na treningach trzeba dodać, iż był on marny, ponieważ w tym trudnym powojennym okresie nie każdego było stać na zakup odpowiedniego sprzętu. Ze wspomnień Józefa Wiatra wynika, iż, znaczącą rolę w tej kwestii odgrywał Bronisław Franczyk. Przyczynił się on do pozyskania niezbędnego obuwia i strojów dla piłkarzy²⁸. Na strojach zostały ręcznie wyszyte emblematy przez Krystynę Zbozień. Emblemat, mający kształt koła, przedstawiał na-

²⁷ Informacje na podstawie przekazu pisemnego J. Najducha

²⁸ Informacje na podstawie przekazu pisemnego Józefa Wiatra z Łącka, ur. 1935 r. Mieszkał we Wrocławiu, zmarł w styczniu 2013 r.

²⁹ Informacje na podstawie przekazu słownego ks. J. Myjaka

³⁰ Nazwiska i imiona podała Maria Bogucka, żona śp. Wiesława Boguckiego



Legitymacja członkowska LZS
Marcela Franczyka

Fotografia obok przedstawia łącką drużynę, która rozgrywała mecz z rówieśnikami z Tarnowa, którzy przebywali na wakacjach w Łącku w lipcu 1952 roku³³. W tym czasie w Łącku uprawiano kilka dyscyplin sportowych, takich jak: piłka nożna, siatkówka, boks, tenis stołowy czy narciarstwo. Bardzo często ci sami zawodnicy występ-

owali w kilku sekcjach. Potwierdzeniem tego faktu jest zamieszczona wyżej, po lewej stronie, legitymacja Marcela Franczyka, gdzie w przynależności do sekcji ma zaznaczone: pika nożna, boks i piłka ręczna³⁴.

Ze wspomnień uczestników życia sportowego z tamtego okresu wynika, iż nie mieli oni trenerów z w/w dyscyplin (poza boksem) i sami przeprowadzali treningi. Wykorzystywana była w tym celu wiedza zdobywana na zajęciach wychowania fizycznego w szkołach, gdzie tworzone grupę prowadzącą, w dzisiejszych czasach nazwaną „sztabem trenerskim”. Często było tak, iż ten zespół który był wybierany na zasadzie przyzwolenia koleżeńskiego, reprezentował interesy całej sekcji tzw. kapitanów. Przykładowo: piłkę nożną reprezentował Wiesław Bogucki, a boks – Bronisław Franczyk. Należy też wspomnieć, iż funkcjonowała młodzieżowa drużyna

czu. Ożywiona działalność LZS-u łąckiego miała miejsce zwłaszcza w czasie wakacji, kiedy młodzież odpoczywała. Wówczas w Łącku rozgrywano wszelkie mecze oraz rewanże z zespołami takich miejscowości, jak: Mostek, Kamienica, Krościenko, Szczawnica, Stary Sącz, Tarnów czy Nowy Sącz (np. z drużyną składającą się z żołnierzy Wojska Polskiego)³¹. Na mecze rozgrywane się poza Łąckiem, młodzież jeździła najczęściej samochodem ciężarowym Jana Mozdyniewicza lub zaprzęgiem konnym jego brata Stanisława Mozdyniewicza, a powoził jego syn Czesław³².



Rok 1952, drużyny piłkarskie z Tarnowa i Łącka. Fot. ze zbioru
Ks. Jana Myjaka

³¹ Informacje na podstawie przekazu pisemnego J. Wiatra

³² Informacje na podstawie przekazu słownego Cz. Mozdyniewicza

³³ Informacje na podstawie przekazu słownego Henryka Franczyka, z których wynika, iż w meczu brali udział zawodnicy z Zakładów Azotowych z Tarnowa. H. Franczyk ur. 1932 r. w Łącku, przez wiele lat reprezentował nowosądecki klub sportowy „Start”. Obecnie mieszka w Nowym Sączu.

³⁴ Legitymacja Członkowska, nr 129877. Związek Samopomocy Chłopskiej, Dział Kultury Fizycznej, własność Marcelgo Franczyka, kserokopia u Autora. Piłkę siatkową zapisywano jako piłkę ręczną.



Marcel Franczyk

Stanisz. Z Maszkowicz zaś Czesław Wojtas, Kazimierz Hubar, Andrzej Myjkowski i inni.

Sekcja bokserska, jak sięga pamięcią wstecz Tadeusz Zygałło, była filią klubu sportowego Spójnia z Nowego Sącza³⁷, z której sprzętu korzystali bokserzy z Łącka. Często przyjeżdżał też trener z Nowego Sącza Tadeusz Do-



Józef Najduch

ze względu na obawy iż w remizie nie wytrzyma strop. Jednak nie wszyscy występowali w oficjalnej walce. Łąccy zawodnicy reprezentowali również nowosądecką Spójnię. Byli to z Łącka: Bronisław Franczyk, Marcel Franczyk, Czesław Mozdyniewicz, Franciszek Mozdyniewicz, Stanisław Dobrowolski, Michał Jasiur-

w piłce nożnej, którą opiekował się Jan Bucyk³⁵ z Zabrzeży³⁶.

Piłkę nożną uprawiali, z Łącka: Wiesław Bogucki, Jan Chronowski, Edward Chronowski, Henryk Franczyk, Marcel Franczyk, Zbigniew Haudyk, Józef Hilgier, Czesław Mozdyniewicz, Jan Najduch, Józef Najduch, Stefan Ptaszek, Stanisław Sopata, Władysław Sopata, Wojciech Sopata, Edward Stec, Henryk Wiatr, Józef Wiatr, Bronisław Wieżycki, Andrzej Zasadny. Z Czernieca Jan Myjak. Z Zabrzeży: Jan Bucyk i Antoni



Józef Wiatr (1935 – 2013)

bosch. W tej pracy pomagali również sądecki zawodnicy (m. in. Józef Mamak), którzy wpajali podstawy techniki boksu młodzieży łąckiej. Można powiedzieć że prawie każdy młodzieniec próbował swoich umiejętności na treningach. Treningi odbywały się najpierw w remizie strażackiej w Łącku, a następnie w tzw. Grabcówce. Treningi z czasem przeniesiono do Grabcówki,



Czesław Mozdyniewicz

³⁵ Jan Bucyk (1915-1976) nauczyciel i kierownik szkoły podstawowej w Zabrzeży.

³⁶ Informacje na podstawie przekazu słownego J. Najducha

³⁷ Obecna nazwa klubu – Dunajec Nowy Sącz



Henryk Franczyk

Józef Najduch, Stanisław Wachała, Wiesław Bogucki, Henryk Franczyk. Z Czerńca Jan Myjak. Z Maszkowic Tomasz Skut. Z Kamienicy Antoni Kurzeja i inni.

Z kolei narciarstwo uprawiano na górze Jeżowej, a tę dziedzinę sportu reprezentowali z Łącka: Henryk Królicki, Czesław Mozdyniewicz, Józef Twardowski, Henryk Wiatr. Z Czerńca Mieczysław Zbozień i inni. Szachy reprezentowali z Zabrzeży: Jan Bucyk, Antoni



Henryk Wiatr (1931-1999), Mieczysław Zbozień (1929-2000) w strojach narciarskich z początku działalności w LZS. Fot. ze zbioru Barbary i Andrzeja Zbozień

Stanisz i inni. kowski, Fryderyk Arendarczyk, Stefan Janiczak, Karol Wielowski, Teodor Florian. Z Czerńca zaś: Jan Myjak, Józef Pawłowski i inni.

Jeżeli chodzi o siatkówkę, treningi i mecze rozgrywane były za domem parafialnym w Łącku (obecnie znajduje się tam sklep Carrefour), a także nad Dunajcem, następnie na łąckiej Targowicy oraz przy potoku Czarna Woda nazywanej na „Łąki”. Siatkówkę trenowali z Łącka: Tadeusz Zygadło, Władysław Smajkiewicz, Józef Twardowski, Józef Cedzidło, Marceli Franczyk, Władysław Dybiec, Jan Dybiec, Bronisław Kucharski, Kazimierz Lipień, Stanisław Kutwa,



Tadeusz Zygadło

Stanisz i inni.

Tadeusz Zyga-

dło również wspomniał, że z okazji świąt okolicznościowych były rozgrywane biegi oraz wyścigi rowerowe, w których najczęściej wygrywał Andrzej Zbozień z Łącka. Również strzelanie miało swoich zwolenników, ale w tym przypadku trudno wymienić nazwiska wszystkich uczestników tej dyscypliny sportowej³⁸.

Czesław Mozdyniewicz opowiadał o zawodach narciarskich, w których uczestniczył i zajął trzecie miejsce (pierwsze dwie lokaty zajęli mieszkańcy Obidzy, ale nazwisk ich nie pamięta). Podkreśla, że w tych zawodach dużo osób brało udział, więc nie jest możliwe wymienić ich wszystkich³⁹.

Na zakończenie trzeba zaznaczyć, iż mimo należytych starań Autora, z wielu względów arty-

³⁸ Informacje na podstawie przekazu pisemnego i słownego T. Zygadło oraz przekazu słownego: J. Najducha, J. Wiatra, H. Franczyka, M. Franczyka, Cz. Mozdyniewicza, ks. J. Myjaka.

³⁹ Informacje na podstawie przekazu słownego Cz. Mozdyniewicza

kuł nie jest dokładnym odzwierciedleniem istniejącej wówczas rzeczywistości sportowej. Autor opierał się w dużym stopniu na wspomnieniach uczestników aktywności sportowej opisywanego okresu. Z pewnością nie zostały wymienione wszystkie nazwiska sportowców. Brak jest bowiem dokumentacji archiwalnej z tamtego czasu, potwierdzającej działalność sportową w Łącku. Istnieją zbiory fotograficzne, ale nie ma dokumentacji opisowej w postaci formalnych sprawozdań, raportów, deskrypcji. Ponadto w połowie lat pięćdziesiątych zmniejszyła się aktywność sportowa w Łącku z powodu takich czynników jak: powołanie sportowców do służby wojskowej, szkół, wyjazdy na studia, podjęcie pracy zawodowej, założenie rodziny czy zmiana miejsca zamieszkania. Jeżeli chodzi o samą nazwę tej organizacji sportowej, nie ma jednoznacznych danych, od kiedy jej zaczęto używać i jaką nazwą posługiwano się oficjalnie. Czy nazwa drużyny stosowana była już w okresie międzywojenny, czy tuż po wojnie, czy jeszcze później?⁴⁰



Oznaka LZS-u. Fot. ze zbioru Barbary i Andrzeja Zbozień

⁴⁰ Andrzej Zbozień z Czerńca, syn Krystyny i Mieczysława, na podstawie słownych informacji uzyskanych od swoich rodziców zaznaczył, że w latach 50-tych XX wieku używana była nazwa LZS „Łąckowianka”

Robiąc, wraz z Mateuszem Długoszem, dokumentację fotograficzną najstarszych nagrobków na cmentarzu w Łącku, moją szczególną uwagę zwróciły dwa obeliski z czarnego granitu. Znakomita większość najstarszych, ponad stuletnich, nagrobków,



Fot. Jadwiga Jastrzębska

na łąckim cmentarzu, została wykonana z piaskowca, te z czarnego granitu dotyczą m. in. Lenartowiczów.

Burmistrzowie Łącka? Przecież Łącko nie posiadało praw miejskich, przynajmniej do tej pory nie odnaleziono żadnych dokumentów, które stanowiły by inaczej. Skąd więc tytuł burmistrza? Czy sprawowali urząd niezgodnie z obowiązującym prawem? Kto nadał tym osobom tytuł burmistrza? W tym miejscu należy przypomnieć, że Łącko, 2 lata przed I rozbiorem Polski w 1772 roku, bo od roku 1770 aż do 1918, było pod zaborem austriackim. W 1770 roku Austria zajęła część Podhala obejmującego południowe części starostwa czorsztyńskiego, nowotarskiego i nowosądeckiego, w tym i Łącka. Obowiązywała więc administracja zaborcy. Administrację rządową, nie autonomiczną, stanowiło: Ministerstwo Do Spraw Galicji w Wiedniu, od 1871 roku prowadziło sprawy krajowe w skali rządowej. Namiestnik, który

urzędował we Lwowie i był mianowany i odwoływany przez cesarza, reprezentował cesarza w kraju; Starosta jako najniższy organ administracji rządowej, wraz ze Starostwem Powiatowym, podlegał bezpośrednio Naczelnikowi. Starosta zajmował się administracją i nadzorem nad samorządem gminnym.

W Królestwie Galicji i Lodomerii, taką nazwę nosiły ziemie Polski zagarnięte przez Cesarstwo Austriackie w I (1772) i III (1795) rozbiornie Polski, samorząd terytorialny wyglądał następująco: Gubernium z Gubrenatorem na czele, mieściło się we Lwowie, w terenie kilkanaście obwodów pod zarządem starostów. Zanim powołano Sejm Krajowy działał Sejm postulatowy, który składał się z czterech stanów: duchowieństwa, magnatów, stanu rycerskiego i przedstawicieli miasta Lwowa. W 1861 roku Galicja uzyskuje autonomię i samorząd lokalny: **Sejm Krajowy** we Lwowie, oraz możliwość posłowania do parlamentu w Wiedniu. Z Sejmem kompetencyjnie zwią-

zani byli Marszałek Sejmu, Namiestnik oraz Cesarz. Marszałka Sejmu powoływał, mianował, Cesarz. Namiestnik składał przed Sejmem sprawozdania oraz opiniował i przedkładał Cesarzowi ustawy sejmowe, miał także inicjatywę ustawodawczą. Cesarz podpisywał ustawy, zwoływał, zamykał bądź odraczał obrady Sejmu Krajowego, mógł także w nadzwyczajnych okolicznościach rozwiązać Sejm Krajowy. W powiecie organami samorządowymi była **Rada powiatowa** i **Wydział powiatowy**. Rada była organem uchwałodawczym i kontrolnym, wydział – organem zarządzającym. Marszałek powiatu stał na czele wydziału. Rada była wybierana co 6 lat w wyborach kuryalnych. Samorząd powiatowy był pod nadzorem Wydziału Krajowego i Namiestnika. Marszałka powiatu mianował Cesarz z kandydatów przedstawianych przez władze krajowe. Uchwały samorządu powiatowego były egzekwowane przez Starostę. Rady i wydziały powiatowe sprawowały nadzór nad samorządem gminnym. **Samorząd gminy miejskiej** składał się z **rady miejskiej** i **magistratu (wydział miejski)**. W większych miastach, magistratem zarządzał burmistrz, w Krakowie i Lwowie prezydenci. W małych miastach i misateczkach powstały zwierzchności gminne z naczelnikami. **Samorząd gminny** powstał w latach 1862–1866. Sejm galicyjski uchwalił ustawę o gminach i obszarach dworskich, wprowadzając jednolitość ustrojową gmin miejskich i wiejskich. Od tej pory gminy miejskie i wiejskie miały jednakowe uprawnienia. Każda dobrze ukształtowana wieś stawała się gminą. Gmina wiejska składała się z rady gminy, jako organu uchwałodawczego, zwierzchności gminnej z wójtem (naczelnikiem gminy) oraz od 2 do 12 przysiężników. Mieszkańcy gminy mieli ograniczone, cenzusem majątkowym i wykształceniem prawa wyborcze. Głosować można było przez pełnomocników, wyborców gromadzono w kuriach (kołach wyborczych), w zależności od wysokości płaconych podatków. Naczelnika wybierał najczęściej właściciel wsi, przysiężnych zaś chłopci. Nadzór nad samorządem gminnym sprawował wydział powiatowy i starosta.

Po uzyskaniu niepodległości w 1918 roku, młode, demokratyczne państwo polskie, pozostawiło na czas jakiś ustawodawstwo zaborców, na ziemiach polskich. Na terenach dawnej Galicji, zmiana administracji, w początkowym okresie istnienia II RP, to zastąpienie urzędu namiestnika stanowiskiem Generalnego Delegata Rządu dla bylej Galicji, miało to miejsce w marcu 1919 roku. Ustawa z 3 grudnia 1920 ustanawiała dla Galicji województwa: krakowskie, lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Najwięcej kontrowersji przy powstawaniu konstytucji z marca 1921 roku wzbudzało zagadnienie samorządu terytorialnego. Początkowo ustawodawca konstytucyjny zamierzał ustanowić w Polsce samorząd terytorialny o szerokich kompetencjach, niestety nie zostało to zrealizowane w zwykłych ustawach, z powodu niechęci osób odpowiedzialnych za kształt polskiego prawa. Po wielu zaciętych sporach zdołano uchwalić ustawę „o zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego”, 26 września 1922 roku, jednakże nigdy nie została wprowadzona w życie. Do ujednoczenia struktury samorządu terytorialnego w IIRP doszło dopiero w 1933 roku, w wyniku uchwalenia ustawy „scaleniowej”, czyli „ustawie o o częściowej zmianie ustroju samorządu terytorialnego”. Niestety akt ten ograniczał zakres działania samorządu. Konstytucja kwietniowa z 1935 roku jeszcze bardziej podporządkowała samorząd administracji

państwowej, która każdorazowo musiała zatwierdzać akty prawne, wydawane przez jednostki samorządu terytorialnego. Jednostki samorządu terytorialnego pokrywały się z jednostkami podziału administracyjnego. Niestety samorząd występował tylko na poziomie gmin i powiatów, mimo ustawy, z 1922 roku, nie ustanowiono samorządu na szczeblu wojewódzkim, tylko na ziemiach dawnego zaboru pruskiego istniał samorząd wojewódzki. Ustawa scaleniowa z 1933 roku sankcjonowała istnienie dwóch rodzajów gmin: zbiorowych i wiejskich. Gminy zbiorowe funkcjonowały na terenie dawnej kongresówki, składały się z gromad, organem uchwałodawczym było zebranie gromadzkie, złożone ze wszystkich mieszkańców, organem wykonawczym był sołtys. W gminach wiejskich, w tym i na ziemiach dawnej Galicji, organem uchwałodawczym była rada gminna wybierana w wyborach jawnych przez mieszkańców danej gminy, organem wykonawczym był zarząd gminy, który składał się z wójta i ławników, wskazanych przez radę. Wójt musiał być zatwierdzony przez starostę. Ustawa scaleniowa z 1933 roku, na terenach dawnej Galicji, praktycznie nie zmieniła samorządu na szczeblu gminy, w stosunku do zaborów, nadal część osób pochodziła z nominacji, a nie wyborów.

Czyżby więc tytuł burmistrza Łącka, przyznany został, Lenartowiczom, zwyczajowo, tytułarnie, uznaniowo, za szczególne zasługi? A co z tytułami burmistrza dr. Henryka Chwaliboga, Wojciecha Wadowskiego, Jana Maurera, seniora? Zwyczaj przetrwał czasy zaborów i w II RP, nadal się nim posługiwano w Łącku, aż do 1922 roku.

Panteleon Lenartowicz	tytułarny burmistrz w latach 1889 – 1912 (wójt)
dr. Henryk Chwalibóg	tytułarny burmistrz w latach 1912 – 1918 (wójt)
Wojciech Wadowski	tytułarny burmistrz w latach 1918 – 1920 (wójt)
Jan Maurer senior	tytułarny burmistrz w latach 1920 – 1922 (wójt)
Jan Maurer syn	wójt w latach 1922 – 1925
Jan Plechta	wójt w latach 1925 – 1928
Jan Sopata z Faronówki	wójt w roku 1928, kilka miesięcy
Feliks Toporowski	wójt w latach 1928 – 1935
Michał Ćwikowski z Czerńca	wójt w latach 1935 – 1940 (areszt przez Gestapo w marcu 1940)
Stanisław Sopata z Czerńca	wójt w roku 1940 (w marcu kilka tygodni)
Stanisław Kuziel z Maszkowic	wójt w roku 1940 (kilka tygodni, do czerwca 1940)
dr. Stanisław Put	wójt w latach 1940 – 1945
Piotr Łękawski z Czarnego Potoka	wójt w roku 1945 (kilka tygodni do marca 1945)
Maciej Talar	wójt w latach 1945 – 1947 (od marca 1945 do listopada 1947)
Franciszek Franczyk z Czerńca	wójt w latach 1947 – 1954
Józef Potok z Łącka	wójt w latach 1954 – 1960
Stanisław Duda z Zagorzyna	wójt w latach 1960 – 1963
Stanisław Baziak z Łącka	wójt w latach 1963 – 1972, naczelnik w latach 1972 – 1974

Antoni Arendarczyk	naczelnik w latach 1974 – 1976
Stanisław Faron z Maszkowic	naczelnik w latach 1976 – 1982
Stanisław Faron z Łącka	naczelnik w latach 1982 – 1983
Franciszek Młynarczyk	naczelnik w latach 1983 – 1990 i wójt w latach 1990 – 2010
Janusz Klag	wójt od roku 2010 do chwili obecnej

Przy opracowaniu tego materiału korzystałam z:

Archiwum Państwowe w Krakowie, oddział w Nowym Sączu,
Stanisław Baziak „Łącko przez wieki”;

Antoni Kurzeja „Z rodzinnych stron Zyndrama z Maszkowic...” Brody 1910,

Almanach Łącki nr 5 z 2006,

Almanach Łącki nr 14 z 2011.



O naszych towarzyszach wędrówek krajoznawczych Strachy, czyli dziady, uroki, kulawce, beboki

Niestety, to już bez mała czterdzieści lat minęło, gdy nogi nosiły mnie posłusznie tam, dokąd zamierzałem dojść. Na jednym ze szlaków moich wędrówek po Beskidzie Sądeckim, była Obidza. Jak wiadomo, nie jest to okolica łaskawa dla jej mieszkańców. Ani dla krajoznawcy z plecakiem. Na skłonach mozolnie uprawianych pól, ponad lasami i tuż pod grzbietem masywu, gdy latem czy jesienią idzie się żółtym szlakiem od przeprawy w Łącku na Cebulówkę, przez Jaworzynkę i Błyszcz do Dzwonkówki, na zagonach z uprawami warzyw, owsa, żyta, jarca, rzadziej pszenicy, często na zagonach ziemniaków, czyli gruli, spotkać można te osobliwe stwory.

To strachy na wróble, dziki, sarny, swoiste wytwory fantazji twórczej, jeden z dowodów także obecnie bogatej starodawnej kultury ludowej. To wspaniałe kompozycje przestrzenne, swoiste instalacje i rzeźby, dowody materialnej wiary w ich magiczną moc, a zarazem wspaniałe postacie podobne do ludzi. Ale w istocie rzeczy, polne strachy, nie mają tylko straszyć zwierząt, które „wchodzą w szkodę”. Wiara w ich moc obronną jest zarazem magicznym i najbardziej naturalnym wyrazem swoistej twórczości artystycznej. Na górskich polach nad łącką Obidzą – jak w wielu innych okolicach naszego kraju – beskidzkie strachy były i są jedną z form, dowodem oryginalnej twórczości i wyrazem artystycznej twórczości.

Spotkania z nimi są górszyskim chlebem dla wędrującego krajoznawcy. Stawiają je zwykle wiosną gospodarze, aby strzegły upraw i pól na polach wszystkich części Beskidów, Pienin, Gorców, Kotliny Nowotarskiej, Orawy, Spisza, Zamagórza, Podtatrza. Ale gdy dłużej się im przyglądamy to nie sposób zadziwić się i oderwać oczy, bo strachy polne to stworzone przez ludzi dzieła sztuki zaliczane do najprostszych. Najżywsza od dawna jest „strachowa” tradycja w naszych regionach górskich i na pogórzach. Gdzie niełatwo być rolnikiem czy sadownikiem. Mimo postępu w elektryfikacji, telefonizacji, komputeryzacji, w czasach powszechnej telewizji satelitarnej i telefonów komórkowych, strachy pojedyncze lub całe ich „rodziny” nadal strzegą i ozdabiają pola i ogrody.

Wierni strażnicy naszych pól i sadów

Niewątpliwie, gdy tylko strachy polne wzbudziły zainteresowania i podziw turystów, właśnie oni i wędrujący krajoznawcy przyczynili się do ich podziwiania i poznawania ich osobliwości, swojskiego bytowania w naszej kulturze ludowej. I dlatego zapobiegliwy krajoznawca patrząc na takiego cudaka sięga po aparat fotograficzny lub kamerę. Co jak co, ale takiego dziada, beboka, kulawca – jak je nazywają ich twórcy – trzeba mieć przy sobie na dłużej. Bo to przecież nietrwały zabytek, a za rok będzie

ich mniej, albo wcale, a może nowe i jeszcze bardziej inne od już spotkanych na szlakah. Zachowałem się tak samo, sięgnąłem po aparat i wszedłem w obidzańskie zagony. Zebrałem dziś bezcenny i bogaty plon, utrwalony na kliszach, którym dzielę się z czytelnikami „AŁ” i zachowałem jako pamiątkę z tamtej wędrowki...



Bogacz, Obidza. Fot. Tomasz Kowalik

Obidzańskie strachy stały na skraju zagonów lub pośrodku, pojedynczo lub po kilka na jednym polu. Miały proste zadanie – by chronić uprawy od strony lasu, żeby odpędzały buchtujące dziki, stróżowały bliżej lub oddalone od zabudowań gospodarskich. Ich żywot nie był długi, modelowane i stawiane na wiosnę trwały do zbioru plonów, do żniw i do wykopków jesienią. Strzegły pól, ale także wystawały na tyczkach ponad konary drzew owocowych. Wiadomo, przeciw żarłocznym szpakom i kwiczołom.

Można strachy dzielić na „bardzo straszne” i „żartobliwe”, o posturze „grubasów” lub „chudzielców”, niektóre wypadało nazwać „wisielce” bo ich ubiory były niedbałe i obwisłe. Wiele strachów to „grajkowie”, bo ich strój hałasuje szarpany wiatrem. A do najbogatszych wypada zaliczyć właśnie te „stroje”, czyli materiały i przedmioty, z których korzystał ich „ojciec chrzestny”, twórca, konstruktor czy budowniczy. Magiczny obrzęd tworzenia i stawiania strachów polnych – twierdzą etnografowie i znawcy sztuki prymitywnej – uprawiany jest w skrytości, bez świadków, po omacku, skoro świt. Właściciele pól i ogrodów stawiali je zwykle „twarzą” na południe. Ale to już trudniej wytłumaczyć, i zapewne mało kto zna wypowiedziane przy okazji zaklęcia...

Strachy polne tradycyjnie cieszą się uznaniem, jak nakazuje wiara w ich siłę magiczną, oraz jako strażnik najczęściej niewielkiej własności. Są to swojscy „funkcjonariusze publiczni”, szanowani pomocnicy rolnika, obrońcy zasiewów, łąnów, zagonów, sadów owocowych. O sile i znaczeniu strachów polnych świadczy ich bodajże odwieczny żywot, tradycja ludowa, nadzieja i wiara w ich skuteczność.

Bebok czy kulawiec powstaje „z dziadów”

Ich twórcy korzystają ze wszystkiego, co można znaleźć w każdym gospodarstwie, odłożone „na potem”, bo „się może przydać”. Po prostu „dziady”, szmaty, odpady, dziurawe garnki, puszki po konserwach, butelki ze szkła i plastiku, stare kabaty, buty i kalosze, podarte portki, waciaki, płaszcze i kurtki, części mundurów, kapelusze, czapki uszanki, hełmy, druty, wiadra ocynkowane i emaliowane, przysłowiowe „cuda-wianki”. Wszystko co zalega latami w domowych kątach, na podwórkach,

w stodołach i szopach-lamusach przydaje się, gdy trzeba wyzdziać najbardziej groźnego stracha polnego lub ogrodowego.

Polowi strażnicy mienia, niewielkich plonów z górskich sadów i zagonów, to wspaniałe dzieła i dowody amatorskiej twórczości. To także we wszystkich przypadkach osobliwa ilustracja znanego porzekadła „tak krawiec kraje jak mu materii staje”. Być może dlatego strachy mają wiele imion, a każde swoiste, niepowtarzalne: dziad, bebok, pucherok, kulawiec, urok. Pokazy polowej mody są przebogate, niepowtarzalne nawet w tej samej wsi ani na sąsiednim polu. Wypada dodać, że strachy mają „obowiązek pracować” dość długo. Ich magiczna posługa strażnicza, „czas straszenia” trwa od pory siewów do czasu zbiorów. Ujawnione zawczasu „strojenie” i ustawianie stracha groziło nieurodzajem. Ich twórcy zazwyczaj przestrzegają zasady i starego stracha mimo „zasług” palą w ogniskach z łątów po zbiorze ziemniaków, jak Marzannę – paloną i topioną jako znak nadejścia wiosny. Nieliczne, tylko zaniedbane i zapomniane strachy, zimują na polach i w sadach do następnej wiosny.

Z zasady uświęconej tradycją i mitycznymi wierzeniami strachy mają tylko „ojców chrzestnych”, czyli gospodarzy płci męskiej. Tworzenie strachów to męska sprawa.



Brat przeciw bratu, strach. Fot. Tomasz Kowalik

Chłop, gospodarz, czyli gazda jako ich twórca przynajmniej kilkanaście razy w roku przedłuża długoletnie tradycje takiej twórczości. On sieje ziarna, on szuka sposobu aby ochronić i zebrać plony, pełne kłosa i mnóstwo ziemniaków spod każdego krzaka czy owoców z krzewów i drzew. Beboka czy kulawca z reguły nie tworzy kobieta-gospodyni, stracha nie odziewa się w części ubiorów kobiecych. Babski strój stracha polnego – to wielka rzadkość. Warto wspomnieć, że bebokami straszyc się dzieci, tzw. niegrzeczne.

Etnografowie zajmują się strachami polnymi już znacznie dłużej niż 150 lat. Twierdzą, że strachy służą nie tylko do straszenia, przepędzania „szkodników”. Są to także dowody magicznego myślenia i głębokiej wiary, że mają wielką moc obronną, niezależną od rozumu ludzkiego, od poziomu wiedzy czy wykształcenia, obycia czy aktywności społecznej w bliższym lub dalszym otoczeniu rodzimego siedliska, gospodarstwa, osiedla, wsi. Każdy wierzy „po swojemu” – twierdzą twórcy strachów polnych. Niewątpliwie są te stwory wyrazem magicznego myślenia i bogatej wyobraźni artystycznej. Badacze twierdzą zgodnie, że postacie strachów to wyraz swoistego poczucia artyzmu, dowód materialny bogatej w wielu regionach kraju samoistnej, ale tradycyjnej, twórczości. Ale też ozdoba naszych pól i ogrodów. Strachy powstają z neodpartej potrzeby wyrażenia swoich wierzeń, to totemy i przedmioty kultu w jednym.

Strachy od dawna są swojskie

Niewątpliwie strachy polne w każdej postaci i w każdym regionie naszego kraju są wytworem bujnej wyobraźni mieszkańców wsi, ale również właścicieli miejskich ogródków działkowych czy podmiejskich działek rekreacyjnych. To zarówno materialne dowody magicznego myślenia, sztuki użytkowej, swoistej obrzędowości, obyczajowości, ale także ciekawostką folklorystyczną. Wiele dziesięcioleci nikt nie zwracał uwagi na osobliwe figury wśród pól.



Obojętny, ogródki działkowe Warszawa. Fot. Tomasz Kowalik

Jeden z najwybitniejszych znawców polskiej kultury i sztuki ludowej Oskar Kolberg (1814 – 1890) zajmował się jako jeden z pierwszych badaniem wierzeń i obrzędów ludowych, a m.in. zwrócił uwagę na strachy polne.

Ten pionier polskiej etnografii dociekania i obserwacje z terenu spisał w 36 tomach dzieła *Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabobony, pieśni muzyka i tańce*, wydane w latach 1865 – 1907. Strachy były wdzięcznym tematem wierszy wielu twórców w XIX

i XX wieku. To Oskar Kolberg objaśniał symbolikę wyglądu i stroju stracha polnego. Strach słomiany był jednym z tematów twórczości Stanisława Wyspiańskiego (1869 – 1907) jako chochoł w *Weselu*, a w wierszu *Wiosna* uwiecznił go poeta Bolesław Leśmian (1877 – 1937) – [...] *W dali – postrach na wróble przesadnie rękaty / z zeszłorocznym rozpędem chyli się we światy / Jakby chciał paść w ramiona pobliskiej cierpiałki, / Co naprzeciw cień w skrócie rzuca w piasek miałki*. [...] Poeta i badacz kultury góralskiej Seweryn Goszczyński (1801 – 1876), nazywany „poeta małej ojczyzny”, autor pierwszego przewodnika *Dziennik podróży do Tatrów* i pierwszego opisanie Gorców czy Stanisław Witkiewicz (1851 – 1915), zauważali dziwaczne postacie, czyli strachy polne.

Lekarz, pisarz i tłumacz Tadeusz Boy – Żeleński porównał: [...] *Młoda Polska przypomina stracha na wróble w niechlujnej pelerynie, w rozłożystym czarnym kapeluszu, w powiewnym krawacie, z długimi włosami i źle ogolona brodą, istotnie może kogoś przestraszyć. Czasem ten strach na wróble przekrzywia główkę na bakier, jakby zawiany* [...] *Reflektorem w mrok*, w tomie *Wybór publicystyki* (1984). Strachy cieszyły się sympatią wielu artystów, dawnych i współczesnych poetów. Dziś nie sposób doliczyć się utworów poetyckich ze „strachami na wróble” czy „strachami polnymi” w ich treści, bez obawy o wielką pomyłkę można sądzić, że powstało ich wiele tysięcy. Te osobliwe postacie niemalże prosto z pól i sadów znalazły swoje miejsce w twórczości dawnych i współczesnych klasyków, ale także oczywiście – amatorów.

Faktem jest, że strachami polnymi jedni z pierwszych zainteresowali się plastycy, malarze, fotograficy, architekci, np. Barbara (1899 – 1980) i Stanisław (1894 – 1967) Brukalscy. Uznali je za rodzaj twórczości ludowej o cechach bardzo wyróżniających wśród innych dzieł plastycznych. Są strachy naturalistyczne, z założenia podobne do człowieka, są też abstrakcyjne rzeźby czy kompozycje przestrzenne. Można też nadać im nazwę instalacji, a wiele z nich to bryły o istocie karykatury, chochoła, postaci „nie z tej ziemi”. Wiele strachów wydaje dźwięki, hałasuje, dzwoni, łopocze, to jakby „krzyk” człowieka odpędzającego z zagonu zgłodniałe ptaki lub ssaki.

Pokraka polna, czyli dzieło sztuki

Twórczość i wybitne dzieła plastyczne Władysława Hasióra (1928 – 1999), nieodłącznie związanego z Podhalem, uznawane są za pochodne strachów polnych. Na unikatowe wartości plastyczne strachów zwrócił uwagę także Tadeusz Kantor (1915 – 1990) tworząc w awangardowym teatrze Cricot scenografię do *Balladyny*. Strachy pobudzały twórczość także wybitnych polskich rzeźbiarzy – Bronisława Chromego (1925 -) czy Jerzego Jarnuszkiewicza (1919 – 2005). Wybitny poeta, piewca krajobrazu i przyrody, tajemnic i legend Bieszczadów – Jerzy Harasymowicz-Broniuszyc (1933 – 1999), był założycielem grupy poetyckiej „Muszyna”.

W jego wierszu *Jesienią* czytamy: [...] *jesienią / w ostach / strach / na wróble umiera / dziobami sroki / rozciągają mu kołtun / żeby uczesany był / choć / na ostatnią drogę* [...]. Ten sam autor w wierszu *Na stracha na wróble*: *Oj ty strachu / na twym łachu /*



Pielgrzym, Błonie Warszawa. Fot. Tomasz Kowalik

łata od słońca czerwona / po palcach u nóg / jedzie brona / Ty nic na to / swoim katom / bo pełną masz gębę snu / trzymasz do chrztu / we śnie snopek / zboża kopie / Gdy się budzisz już nogi palcami / nie trudzisz / Palce przez broń / po całym polu / jak ziemniaki zasadzone / Ty palce zbierasz / ubierasz / galopem / w nie stopę / I zapomniawszy katastrofy / głos twój / to polowy wysoki / chwali Pana i obłoki / Tłusto / z kapustą /

*znowu się / gzisz. [...] I jeszcze w wierszu *Gdy zgasły już słońca* znajdziemy wzmiankę o strażnikach pól: [...] *Gdy zgasły już słońca lata i są jak szerniałe zapomniane tarcze słoneczników [...] wtedy z mroku lasu coraz więcej na pola wysypuje się strachów na wróble [...]. Halina Poświatowska (1935 – 1967) z tej samej grupy poetyckiej – do wiersza *Odloty* wpisała: *Do kogo będą modlić się wróble / strachu w słomianym kape-***

luszu / pożeglowałeś z wiatrem / zamieszkałeś w różowej chmurze / porowata porośla / twoja twarz jak twarz ziemi / pachniała mlekiem i czosnkiem / wyżej – tkwił słomiany kapelus [...]

W Almanachu Łąckim 16 / 2012 przypomnieliśmy postać pisarki Marii Kownackiej (1894 – 1982), autorkę m.in. poznanej w Beskidzie Sądeckim historii jelonka, którą utrwaliła w opowieści Rogaś z doliny Roztoki. Była zaprzyjaźniona z nauczycielską rodziną Anny i Jana Bulcyków w Zabrzeży. Podczas licznych wędrówek krajo-



Powlóczysty, Obidza. Fot. Tomasz Kowalik

znawczych w okolicach Łącka, Zabrzeży, Kamienicy, Rytra poznała dziesiątki strachów. Zachwycała się strachami polnymi daleko od Beskidów i Gorców. W poetyckim zbiorze utworów *Razem ze słońkiem* (cz. II – wiosna, 1976) jest wiersz *Strach na wróble*: *Był sobie na wróble strach, / strasznie wojował z ptaszkami! / Wziął kosturek – i szach-mach! / Ja się tu rozprawię z wami! / Strach był w starym cylindku, / który denko miał dziurawe... / Muchołówka z boku zerca: / – Na gniazdko to miejsce prawie! / No i co myślicie? / Buzia strachu uśmiechnięta! / W kapeluszu nowe życie: / – Jeść!... Jeść!... – Wołają piskłeta.* Jej fotografia ilustruje krótki artykuł *Informacja o strachach z Puszczy Augustowskiej* (w czasopiśmie *Polska sztuka ludowa* (nr 1 z 1970 r.).

znawczych w okolicach Łącka, Zabrzeży, Kamienicy, Rytra poznała dziesiątki strachów. Zachwycała się strachami polnymi daleko od Beskidów i Gorców. W poetyckim zbiorze utworów *Razem ze słońkiem* (cz. II – wiosna, 1976) jest wiersz *Strach na wróble*: *Był sobie na wróble strach, / strasznie wojował z ptaszkami! / Wziął kosturek – i szach-mach! / Ja się tu rozprawię z wami! / Strach był w starym cylindku, / który denko miał dziurawe... / Muchołówka z boku zerca: / – Na gniazdko to miejsce prawie! / No i co myślicie? / Buzia strachu uśmiechnięta! / W kapeluszu nowe życie: / – Jeść!... Jeść!... – Wołają piskłeta.* Jej fotografia ilustruje krótki artykuł *Informacja o strachach z Puszczy Augustowskiej* (w czasopiśmie *Polska sztuka ludowa* (nr 1 z 1970 r.).

Poeci i muzycy – strachów wierni przyjaciele

Mniej znany ze swej twórczości poetyckiej Wojciech Niżyński (1947 -) jest autorem nastrojowego wiersza *Koncert jesienny na dwa świerszcze*, wzbogaconego przez świetne wykonania piosenki, z muzyką Krzysztofa Knittla, przez Magdę Umer, nagrodzone na festiwalu piosenki w Opolu (1970). Autor tego wiersza zyskał uznanie jako scenarzysta i producent popularnego telewizyjnego serialu *Klan* (ponad 2,6 tys. odcinków !), czyli ekranowej opowieści o rozgałęzionej współczesnej warszawskiej rodzinie Lubiczów.

Fragmenty: *Na piecu skrzypce stroi świerszcz / Dziewczyny płaczą, bo skończyło się już lato / I tylko słychać gdzieś / Koncert jesienny na dwa świerszcze i wiatr w kominie / W ogrodzie zasnął pod gruszą chochoł / I śni o pięknej dziewczynie / A strach na wróble przydrożne wierzby liczy / Tańcząc na miedzy w objęciach polnej myszy [...]* *Wywietrzył dawno zapach żniw / Szczelnie zamknięto wszystkie drzwi / Ludzie czekają może już jutro będzie biało / Pod piecem cicho brzmi / Koncert jesienny na dwa świerszcze i wiatr w kominie / Uciekł na drogę / pokochał wierzbę i nagle gdzieś*

się rozplątał / A strach na wróble leży samotny w polu / Mysz go rzuciła uciekła do stodoły [...]

Duży ładunek poetyckiego piękna znajdujemy w nastrojowym wierszu Juliana Kacpra i Henryka Rostworowskiego (1912 – 1984), *Groszki i róże*, z muzyką Zygmunta Koniecznego, wykonywanego przez Ewę Demarczyk: [...] *Masz takie oczy zielone / Zielone jak letni wiatr / Zaczarowanych lasów / I zaczarowanych malw / Dla ciebie mały ogrodnik / Zasadził groszków tysiąc / W kapocie stracha na wróble / Pragnął ci miłość przysiąc / Więc z koszem groszków mały strach / Pierwszy raz spojrzął ci w oczy / O tysiąc więcej znalazł barw / Niż wyśnił sobie w nocy / I odtąd pod oknem twoim / Zaczarowany kamienny / Z bukietem groszków stoi / Strach romantyczny wierny / Masz takie usta czerwone / Czerwone jak pożar zórz / Zaczarowanych ranków / I zaczarowanych róż [...]*

Współczesny poeta, sądeczanin Adam Ziemiański (1948 -) z Muszyny nie pominął tej tematyki. W wierszu *Polska jesień* opisuje często spotykany strój stracha: *jesień już po kolana w / rzece stoi / malowana patronka ułanów / i kieruje do brzegu wróble – zbóżniki / aby pogodnie niosły / zapowiedzi / wiatr – kawalerzysta jabłka w sadzie / objęta na kwaśno na szanckach płotów / sypią się słoneczniki / w żółtych rogatywkach / a strach na wróble drzemie w wojskowym / mundurze pociętym przez historię / w taki dzień na stole / rozcinają dynię.*

Krakowski poeta Leszek Długosz, także aktor, kompozytor, pianista, wykonawca poezji śpiewanej z Teatru Piwnica pod Baranami, wybiera stracha z jesiennego pejzażu: *Po pustym już polu / Po pełnej stodole / – Jesień, jesień już / Strachowi na wróble*



Rekrut k Wilanowa Warszawa. Fot. Tomasz Kowalik

/ Już nad czym się trudzić? / – Jesień, jesień już / I po tym że w górze / Wiatr wróży kałuże, tak / – Jesień, jesień już / I po tym że przecież / Jak zwykle, po lecie / – Jesień, jesień już / Za naszym oknem pada deszcz [...]

W podobnej tonacji jest *Samotny strach* wiersz Wincentego Fabera (1936 – 1980): *Strach na wróble / wieczorem / stoi pełen smutku, / bo stracha / strach ogarnął / w działkowym ogródku.*

Na Internetowej stronie współczesnej poezji jest *Strach na wróble*, wiersz Pani Mii, napisany w lipcu 2012 r. *Rozglądam się za nim, / ale go nie ma. / Pokraczny stał kiedyś / na niejednym polu. / Porcięta miał szare. / podartą koszulę i stary kapelusz. / Jest postacią z dawnej epoki, / gdy na zagonie rósł łan, / a w sadzie wisały owoce. / Rozglądam się za nim, / ale nie ma już stracha na wróble.*

Uczeni nadali im godność naukową

Wśród współczesnych etnografów i znawców sztuki ludowej, nazywanej naiwną lub prymitywną, wyróżniają się m.in. Roman Reinfuss (1910 – 1998), organizator badań nad twórczością ludową w Instytucie Sztuki PAN, wybitny znawca i badacz kultury ludowej mieszkańców regionów karpackich, w dawnych i współczesnych granicach naszego kraju, autor książki podstawowej *Kultura ludowa w Polsce* (1960). Twierdził, że *Sztuka ludowa nie jest ani niższa, ani wyższa od sztuki warstw elitarnych; jest tylko inna*.

Drugi wybitny naukowiec, to długoletni (1952 – 1998) naczelny redaktor kwartalnika *Polska sztuka ludowa* i dzieła *Polska sztuka ludowa* (2002) – Aleksander Jackowski (1920 –), autor *Sztuki ludu polskiego* (1965) i *Sztuki zwanej naiwną* (1995), w Instytucie Sztuki PAN i profesor w Instytucie Etnologii i Antropologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jackowski w swojej pracy *Sztuki ludu polskiego* przedstawia strachy polne jako osobną kategorię twórczości plastycznej w obrębie sztuki ludowej. Według niego „ludowe” to *tyle, co powszechne, łatwo zrozumiałe, tworzone przez artystów zniekształconych*.

Obydwaj autorzy, zwrócili uwagę na odrębność strachów polnych, uznając je za dzieła sztuki na równi z kapliczkami przydrożnymi, rzeźbami, ceramiką, tkaninami, obrazami i malarstwem na szkle domorosłych artystów. Liczni a zarazem wybitni badacze sztuki ludowej, antropolodzy kultury i krajoznawczy, wielu artystów ulegało urokowi strachów polnych. Władysław Kopaliński (właśc. Jan Stefczyk, 1907 – 2007) w *Słowniku mitów i tradycji kultury* (1985) w haśle opisuje: *Strach – wygląda jak strach na wróble*, i podaje treść tego określenia: [...] *jak straszdydło, czupiradło, koczkodan, cudak*, oraz uzupełnia opis tej postaci w haśle *Wróbel – astrach na wróble: straszdydło, kukła z patyków i gałganów, mająca udawać człowieka, stawiana w ogrodach i na polach dla wypłoszenia czyniących szkodę ptaków* [...]. „Praca” strachów nie jest jednoimienna czy jednostajna, mówi się: strach na wróble, ale przecież jego zadanie to także płoszenie szpaków, a wrony czy gawrony są zabijane i zawieszane na żerdzi mają być postrachem dla swoich krewniaków. Strachy mają też poważniejsze „zadania” – odstraszać wyglądem i dźwiękami, hałasem czy tylko szelestem swego „stroju” amatorów ziemniaków, a dziki to są duże zwierzęta.

W kwartalniku *Polska sztuka ludowa* (nr 1 z 1970 r.) ukazał się obszerny artykuł „Beboki”, krakowskiego fotografa Jana Kurkiewicza (1915 – 1990), który dokumentował „strachy polne” już w 1958 r. [...] *Po raz pierwszy zwróciłem na nie uwagę podczas wólczy w Gorcach. Wywarły wówczas na mnie wielkie wrażenie, w snujących się mgłach wyglądały jak tajemnicze chochoły z dawnych prasłowiańskich obrzędów. Zafrapowały mnie i od strony plastycznej* [...] *Jakże jednak te polne strachy są organicznie związane z pejzażem, jak wzbogacają go siłą swego wyrazu! Postanowiłem wówczas zająć się strachami, podjąć ich fotograficzną dokumentację w czasie corocznych wędrówek po kraju. Nie będzie więc chyba przesady, jeśli nazwę siebie pierwszym zbieraczem polskich strachów.* [...]

Tenże autor podaje, że obserwował strachy w Polsce południowej, zebrał podczas wędrówek turystycznych (1958 – 1970), około 300 zdjęć z terenów Beskidu Żywieckiego, Pasma Babiogórskiego, Orawy, Spisza, Podhala, Gorców, Beskidu Wyspowego, Pienin, Beskidu Sądeckiego i Beskidu Małego. Dowodem tej dokumentacji jest opublikowana przy jego artykule seria 43 wspaniałych portretów strachów. We wspomnianej publikacji autor stwierdza, że [strachy] *to zjawisko, na które oddziaływają czynniki emocjonalne, wierzeniowe, gospodarcze, tradycje ludowe i kulty obrzędowe – tak głęboko zakorzenione w polskim ludzie osiadłym na wsi [...] są dalekim echem jasełkowej sztuki ludowej i obrzędowej, jak wyolbrzymione kukielki szopkowe nadziane na patyk i wetknięte w pole [...] Na całym Podhalu, Orawie, Spiszu, w Gorcach i Pieninach nazywają stracha „dziad” lub „kulawiec”. W powiecie krakowskim i okolicy otrzymał on nazwę „pucherok”. Natomiast w Beskidzie Sądeckim nazywają strachy „urokami”, zapewne od uroku, który powinien rzucać na polne szkodniki. Nazwa ta potwierdzałaby hipotezę o obrzędowo-magicznym charakterze strachów. [...]*

Autor oceniał, że typowy strach jest 3-metrowy, czyli większy od człowieka, a strachy w Gorcach są zrobione przeważnie (w latach 60 i 70 minionego stulecia) z worków po cemencie. [...] *Buduje się stracha [...] by pełnił swa tajemniczą misję [...] Strach to [...] bożek polny, opiekun pracy rolnika, który będzie strzegł dobrych plonów, czy może ten, który powstrzyma od uroku, którego będą bały się ptaki, zające, jelenie i dziki. Każdy strach ma swoją „twarz”, którą jest zwrócony do południa, a rozkrzyżowane ręce z daleka wskazują pole, którego strzeże. Jest to tajemniczy znak dla tych, którzy by chcieli zburzyć porządek gospodarskiego trudu rolnika.[...]*

Pucheroki i inne w... galeriach sztuki

Nieprzeciętnie oryginalne w ostatnich latach są inicjatywy lokalnych i regionalnych działaczy kultury, głównie malarzy, ale i nauczycieli wiejskich szkół. Strachy jako polne dzieła sztuki wracają. W Rudzicy, w gminie Wapienica koło Bielska Białej, jest galeria artysty malarza Floriana Kohuta, członka Związku Polskich Artystów Plastyków, a w jego twórczości głównym tematem są strachy polne. Jest też organizatorem oryginalnego Święta Stracha Polnego, cieszącego się od dawna wielką popularnością. Portrety *Strachów* tego twórcy to barwne postacie baśniowe, wytwory jego fantazji, ale przecież liczne wzory znajduje w naturze. Strachy to przecież pobratymcy strzyg, pucheroków, czarownic i innych postaci magicznych.

We wsi Jania Góra – z powodu wielkiego kultu pieczywa, noszącej tytuł *Wieś Chlebowa*, w gminie Świąkatowo (woj. kujawsko-pomorskie), na pola wracają strachy z inicjatywy miejscowych animatorów kultury. Powstaje oryginalny „szlak strachów” – zrazu lokalna atrakcja turystyczna, zyskuje popularność jako program *W wiosce chlebowej straszy*, zapoczątkowany przez Towarzystwo Rozwoju Gminy. W gminie Sędziejowice, woj. łódzkie, miejscowe Technikum Architektury Krajobrazu i Technikum Agrobiznesu organizuje konkurs na stracha dla młodzieży i osób starszych z Domu Pomocy Społecznej.

Do osobliwości ponadregionalnych w podrzeszowskiej gminie Lubenia należy Muzeum Regionalne zapoczątkowane w 1985 r. Osobnym działem jest w nim jedyne na świecie Muzeum Strachów Polnych, z eksponatami z Podkarpacia oraz Ukrainy i Słowacji – stworzone w 1995 r. z inicjatywy Aleksandra Bielendy, miejscowego działacza kultury. W latach 1992 – 2005 gmina zyskała rozgłos dzięki imprezie *Straszydłisko* i ponadregionalnemu konkursowi dla twórców współczesnych strachów polnych.

Strachy na wróble czy na dziki są również wdzięcznym tematem dla fotografików zawodowych, artystów w tej dziedzinie sztuki, ale i wśród amatorów. Próbuje o tym przekonać załączając moje dawno temu wykonane fotograficzne portrety strachów z Obidzy. Poszukujący atrakcyjnych tematów na ścieżkach turystycznych i krajoznawczych wędrówek nie zaznają zawodu, na polach znajdują ich jeszcze wiele. Na zdjęciach dostrzegamy przede wszystkim talent i umiejętności nieznanymi twórców, „ojców chrzestnych” straszydeł. W każdym przypadku na polu i w sadzie wyróżnia je swoiste piękno.

Przykładów do naśladowania jest mnóstwo, bowiem strachy polne były, są i będą. Niebawem przyjdzie wiosna, czas „narodzin” nowego pokolenia polnych strachów na polach i w ogrodach. Warto pamiętać, że [...] *świat nie jest taki zły, świat wcale nie jest mdły / niech no tylko zakwitną jabłonie* [...], ale o tym w Łącku i okolicach nikogo nie trzeba przekonywać. Strachy w swoim kalendarzu mają także radosne jabłoniowe świętowanie. Mało kto wie, że strachy przy okazji tak wielkiego święta też... tańczą. Nawet zbójnickiego. Tylko wiatr musi im zagrać „na łącką nutę”.

Tekst i zdjęcia Tomasz Kowalik

Od redakcji

W latach 80 XX wieku w Wiejskiej Galerii BWA w Jazowsku, wystawił Hasior swoje strachy, wcześniej, bo w 1973 roku podczas Święta Kwitnącej Jabłoni w Łącku, pokazał Sztandary.

Moja droga szlakiem św. Jakuba do Santiago de Compostela w Hiszpanii

Droga św. Jakuba – *Camino de Santiago* – to średniowieczny szlak pielgrzymkowy do grobu św. Jakuba Apostoła zwanego Starszym. Tradycja głosi, że nauczał na Półwyspie Iberyjskim i umiłował tę krainę. Jako pierwszy z Apostołów zginął śmiercią męczeńską. Według tejże legendy św. Jakub zażyczył sobie przed śmiercią, aby pochowano go w Hiszpanii, którą szczególnie ukochał. Tak też się stało. Ciało Apostoła złożono na wzgórzu Libredon. Mnich Pelayo wiedziony gwiazdą odnalazł grób św. Jakuba. Teren ten nazwano *Compostela*, co znaczy pole gwiazdy (*campus stellae*). W roku 847 biskup Teodomir potwierdził prawdziwość odkrycia i od tego czasu miejsce to zaczęli nawiedzać pielgrzymi ze wszystkich stron świata. Na przestrzeni wieków do grobu św. Jakuba zmierzali zarówno zwykli, prości ludzie, jak i przyszli święci oraz królowie i papieże. Ze współczesnych: papież – Jan XXIII, Jan Paweł II, Benedykt XVI, aktorka Shirley MacLaine, Antony Quinn oraz brazylijski pisarz Paulo Coelho. To dzięki jego książce pt. „Pielgrzym” szlak ten na nowo zaczęli przemierzać nowi pielgrzymi zwani w Hiszpanii *peregrinos*. Najważniejszy i najstarszy szlak prowadzi z Francji przez przełęcz Roncesvalles dlatego nazwano go Królewskim Szlakiem Francuskim. We współczesnych czasach najwięcej pielgrzymów pojawia się na *Camino* w roku świętym, to



Fot. Kazimiera Faron- Majkrzak

jest wówczas, gdy dzień św. Jakuba, czyli 25 lipca, przypada w niedzielę.

Po co współczesny człowiek wyrusza na pielgrzymkowy szlak? Myślę, że po to, by odnaleźć siebie i drugiego człowieka, zatrzymać czas, spotkać Boga, odkrywać sens życia, „posprzątać” swoje wnętrze...

Jan Paweł II podczas czuwania modlitewnego w Santiago de Compostela 19 sierpnia 1989 r. powiedział: „Wę-

drowka do Compostelli oznacza, że chcemy znaleźć odpowiedź na nasze wątpliwości, na nasze pytania i poszukiwania, oraz że pragniemy wyjść naprzeciw Bogu, który nas szuka z miłością tak wielką, że z trudem możemy ją ogarnąć myślą”.

Camino to niezwykle miejsce, gdzie uświadamiasz sobie jak niewiele potrzeba ci do szczęścia. Wystarczy Droga, która jest nadzieją i niewiadomą zarazem oraz napo-

tkany drugi człowiek i niebo nad głową. Nie troszczysz się o nic, cały dobytek nosisz na plecach. Nie myślisz co będzie jutro, za godzinę, za chwilę... Nieważne co będziesz jadł, gdzie spał... Jesteś szczęśliwy i wolny. W twoim sercu jest pokój.

Moja wędrownka szlakiem św. Jakuba trwała 30 dni. Rozpoczęłam ją 21 kwietnia a do Santiago de Compostela dotarłam 21 maja. W czasie pokonywania tej ogromnej ilości kilometrów (780) byłam tak zafascynowana drogą, spotkanymi ludźmi, przyrodą, miastami i wioskami północnej Hiszpanii, że to stało się jednym z większych sukcesów jakie osiągnęłam w moim życiu.

Ktoś powiedział: zabierz do plecaka tylko to, co jest naprawdę niezbędne i z tego wyrzuć jeszcze połowę. Waga pełnego plecaka nie powinna przekraczać 1/10 wagi ciała. Mnie się to nie udało i mój plecak ważył 14 kg. Teraz wiem, że za dużo. Wędrując szlakiem tylko przez pierwsze dni czujesz ciężar na swoich ramionach, docierając do celu ten plecak jest częścią ciebie i czujesz, że możesz tak wędrować choćby na koniec świata. Każdy dzień mojej drogi opisałam w moich wspomnieniach, które notowałam



Fot. Kazimiera Faron- Majkrzak

każdego dnia docierając do kolejnego miejsca noclegu które na szlaku nazywają się *algerguà*.

Pokonując szlak z Pampeluny do Santiago przeszłam przez 98 miejscowości. Mijałam wielkie miasta jak Pampeluna, Lograno, Burgos, Leon, Astorga, Ponnerrada, Arzua oraz niezliczone miasteczka i wioski o typowej hiszpańskiej zabudowie. Przeszłam przez cztery krainy geograficzne:

Nawarrę, La Rioję, Castylię oraz Galicję. Każda inna, niepowtarzalna, fascynująca i rozległa. To góry, wyżyny, winnice, gaje oliwne, równiny zwane *mesetami*, lasy piniowe i eukaliptusowe. Ale to co najpiękniejsze na *camino*, to ludzie, których spotkałam i z którymi połączyła mnie przyjaźń! Pielgrzymi z różnych zakątków świata, ale najwięcej Hiszpanów, Niemców, Francuzów, Amerykanów, Anglików, Brazylijczyków. Tylko Polaków niewielu a szkoda! Najbardziej zafascynował mnie fenomen nieprawdopodobnej życzliwości ludzkiej, ciągłego uśmiechu, pięknego pozdrowienia *buen camino*, co znaczy dobrej drogi. Radość obcowania z: Martiną z Niemiec, Marią z Holandii, Miguelem z Urugwaju, Żorą z Bułgarii, Cyprianem z Niemiec, Hose też z Hiszpanii oraz z wieloma innymi spotkanymi na szlaku św. Jakuba to najpiękniejsze co mnie spotkało. Mimo bolących nóg, piekących stóp, odcisków na palcach podążałam drogą, której celem było dotarcie do grobu św. Jakuba. Jakuba „pielgrzyma”, który ucząc tutaj zostawił dla wędrowców, tych dawnych i współczesnych przesłanie,

by w najmniejszym geście ludzkiej dobroci, każdym napotkanym, w każdej chwili odnaleźć działanie Boga.

Jedno jednak nie dawało mi spokoju. Dlaczego w katolickim kraju, pełnym kościołów, a na trasie jest ich ogromna liczba, większość jest pusta, zamknięta, zaniedbana? Tylko w kilku, drzwi były otwarte dla takich jak my *peregrinos*. Tak sobie wówczas



Fot. Kazimiera Faron- Majkrzak

pomyślałam „ Bóg widocznie nie siedzi w pustych kościołach tylko wędruje razem z pielgrzymami po ścieżkach, drogach i ulicach Jakubowego szlaku’.

Docierając do wzgórza Monte do Gozo łyzy same cisnęły się do oczu, bo oto widok – kres podróży – w dolinie Santiago de Compostela a nad miastem trzy ogromne wieże Katedry św. Jakuba. Doszłam. Ogromna radość i wzruszenie. Jestem

tutaj Jakubie. Szłam do Ciebie z moimi myślami, intencjami, prośbami nie tylko swoimi ale też innych, które chciałam zanieść w sercu. Udało mi się!

Stoję przed grobem św. Jakuba, obejmuję jego postać znajdującą się w głównym ołtarzu, a On spogląda na morze ludzi, którzy do Niego przyszli na własnych nogach, przyjechali rowerem, lub konno. Bo w takiej formie można pielgrzymować szlakiem oznaczonym żółtymi strzałkami, muszlą, postacią pielgrzyma, laską z tykwą uwieszoną u boku.

Drogę do Santiago udało mi się przejść również dlatego, że towarzyszyła mi w niej moja córka. Najczęściej jednak każda z nas samotnie pokonywała 25 do 30 km dziennie, aby spotkać się dopiero po południu na miejscu noclegu! Niezliczona ilość przeżyć, refleksji, zdarzeń jaka spotyka każdego na szlaku, to owoc tej drogi. Powrócę na ten szlak jak będzie mi dane! Teraz muszę tym, czego doświadczyłam na szlaku, podzielić się bardziej szczegółowo w moich wspomnieniach, które postanowiłam opisać.

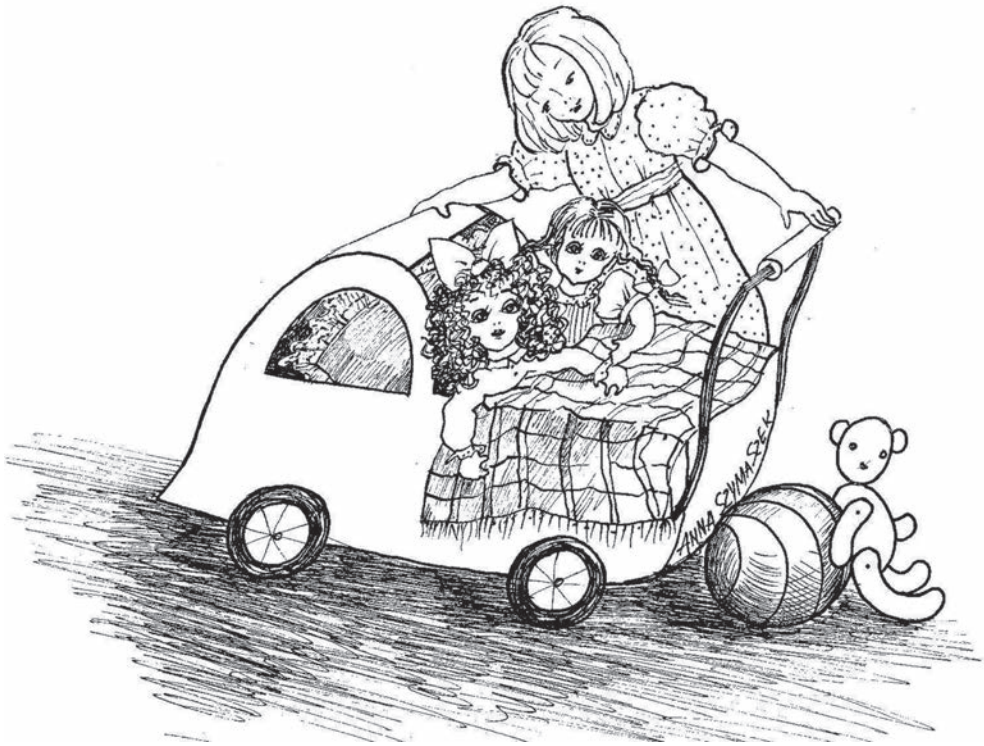
Chciałabym zachęcić innych aby i oni kiedyś mogli pokonać ten szlak św. Jakuba i wędrując mieli świadomość, że pielgrzymka jest symbolicznym przejawem podróży wewnętrznej.

Dysponując materiałami z podróży mogę udzielić wskazówek i informacji pod adresem: kfm@onet.pl

BUEN CAMINO

Najlepsza lalkarka
Dzień niedokończonych snów

Klakson już dawno ostrzegał o niebezpieczeństwie pozostawiania na jezdni. We mgle zobaczyła światła samochodu, który stapał się z szarością i był niewidoczny. Przebiegła na drugą stronę pchając drewniany wózek dla lalek. Źle zamocowane koła głośno trajkotały. W pośpiechu wpadła na chodnik. Ktoś szedł w jej kierunku. Mgła barwiła się na żółto. Papieros – odgadła. Gdy kobieta ją mijiała, popatrzyła wnikliwie na nią i na wózek z siedzącymi w nim lalkami. Przyspieszyła. Aż do bramy pracowni lalkarskiej nie spotkała nikogo. Przystanęła, by zaznajomić się z wejściem. Nigdy tutaj nie była. Adres znała z opowieści. Potrząsnęła metalową kratą. Zamknięte drzwi otworzyły się cicho. Pojawiły się spłoszone ćmy, siedzące na kloszu lampy. Zirytowane podfrwały i wracały do światła. Pod lampą wisiał szyld: „Naprawa lalek. Ubrania na miarę”. Ominęła otwartą kratę i zeszła po schodach do pracowni. Była pusta, lecz wyczuwała czyjąś obecność. Wyjęła z wózka lalki i poło-



żyła na ladzie. Obsługiwała ją ręka. Miała długość od łokcia do palców. Była ubrana w atłasowy rękaw.

– Rozgość się, zaraz zapalę światło – powiedziała ręka. Wyjęła z szafki lawendową wodę z rozpylaczem i skropiła pracownię zapachem kwiatów.

– Lawenda jest dobra na samotność. Już prawie nikt do nas nie zachodzi. Teraz kupuje się lalki razem z ubraniami. Takich z porcelanową głową jest coraz mniej. A te panny przyszły po nową fryzurę i sukienki – prawda? Nie czekając na jej potwierdzenie, ręka dopasowywała próbki tkanin do twarzy lalek i kolorów ich włosów. Robiła to wyjątkowo zgrabnie. – Będą gotowe na jutro. Zapraszam o tej samej porze.

Wdrapała się po wąskich, stromych schodach. Światło nad sklepem zgasło. Brama z hukiem i trzaskiem zamka zamknęła się za nią.

Gdy nazajutrz zgłosiła się po lalki, obsługiwała ją młoda dziewczyna o łagodnym spojrzeniu.

– Wczoraj zostawiłam w pracowni lalki. Do ubrania – dodała szybko, jakby ktoś chciał pomylić jej wizytę z innym zamiarem.

– Tak, są gotowe – mówiła sprzedawczyni. Ubrania uszyła nasza najzdolniejsza pracownica. Proszę, spójrz, czy ci się podobają. Obie miały sukienki w tulipany. Suknia blondynki miała żółte lamówki i buty. Brunetka miała karminowe buciki i wypustki. Patrzyła na lalki zachwyconym wzrokiem dziecka, które tylko w dzieciństwie odbiera taką intensywność kolorów. Z czasem barwy zanikną, zbledną. Jej serce zaczęło tańczyć w piersi. Lalki były takie piękne. Nogi same wykonywały lekkie podskoki radości. Posadziła lalki w wózku na kocyku. Nie było już potrzeby, by je chować. Szczęśliwa wniosła po schodach wózek i postawiła na chodniku. Dzisiaj na ulicy panował spory ruch. Nagły ostry i natarczywy dźwięk sparaliżował jej mięśnie. Otworzyła zaspane oczy. Budziła się ze snu. Spała w ciągu dnia po nocnej, męczącej podróży.

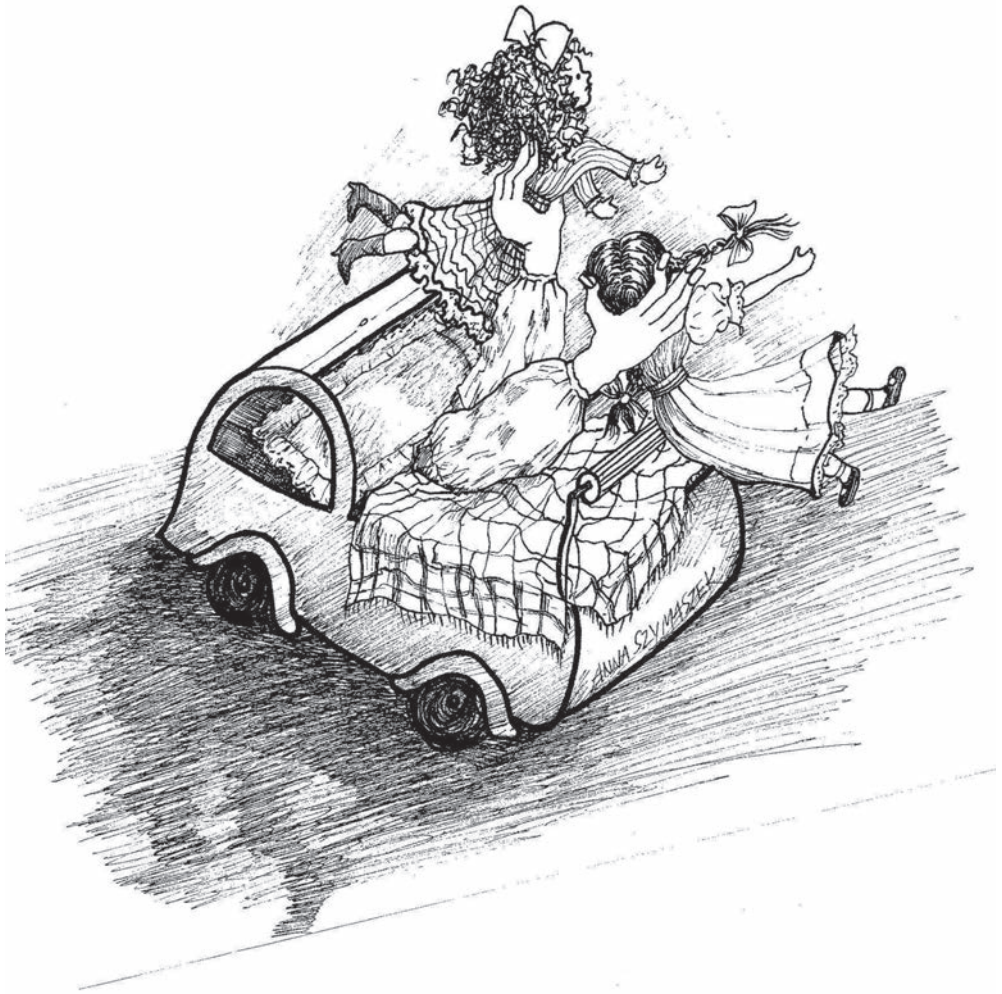
Do pokoju wbiegła jej córka. Niosła dwie stare lalki z porcelanowymi główkami. Ubrane były w sukienki w tulipany. Za nią weszła babcia. Dźwigała stary, drewniany wózek dla lalek.

– Zobacz, co wygrzebała? To są moje lalki z dzieciństwa. Pamiętasz, jak zaniośmy je do pracowni lalkarskiej? Tej w sąsiedniej bramie za cukiernią, w której do dzisiaj jemy babeczki ponczowe. W pracowni jest teraz sklep. Widziałam w cukierni młodzież z pięknymi lalkami. Teraz marionetki są ozdobą okien, nie tylko wystawowych. Te sukienki są podarte. Powinno się je zmienić. Musimy o tym pomyśleć, prawda? – zwróciła się z pytaniem do wnuczki.

Wieczorem mgła, jak zawsze jesienią, przyszła za wcześnie. Szyba okienna pokryła się mleczną rosą. Na odgłos przypominający stukot kół wózka dla lalek, przetała ręką szybę i wyjrzała w głąb studni podwórka. W świetle latarni zobaczyła córkę ubraną w pelerynę. Pchała przed sobą wózek dla lalek przykryty kocikiem.

Otworzyła okno i wychyliła się.

– Dokąd idziesz? Zaczekaj, pójde z tobą! – krzyczała. Córka szła, nie zwracając uwagi na słowa matki. Porwała z wieszaka płaszcz i wybiegła. Odległość zaledwie kilku przecznic zmęczyła ją do utraty tchu. Zobaczyła córkę wchodzącą do bramy za cukiernią.



– Zaczekaj! – krzyknęła. Dziewczynka zatrzymała się. Matka przytuliła ją do siebie i odrzuciła kocyk zakrywający wózek. W wózku leżała ręka ubrana w czerwony, aksamitny rękaw. Miała ekscentrycznie piękny kształt paznokci. Gdy ją spostrzegła, nastroszyła pazury.

– Skąd ją wzięłaś? Ona jest z mojego snu. Jej tutaj nie powinno być.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Na długich rzęsach zawisły łzy. Płacząc zamykała powieki i strząsała łzy z oczu. Przez zaciśnięte wargi odpowiedziała.

– Wiem, mówiła mi o tobie. Kazała się tutaj odwieźć. Zabrałaś ją kiedyś stąd, śpiącą w wózku, pod kocykiem.

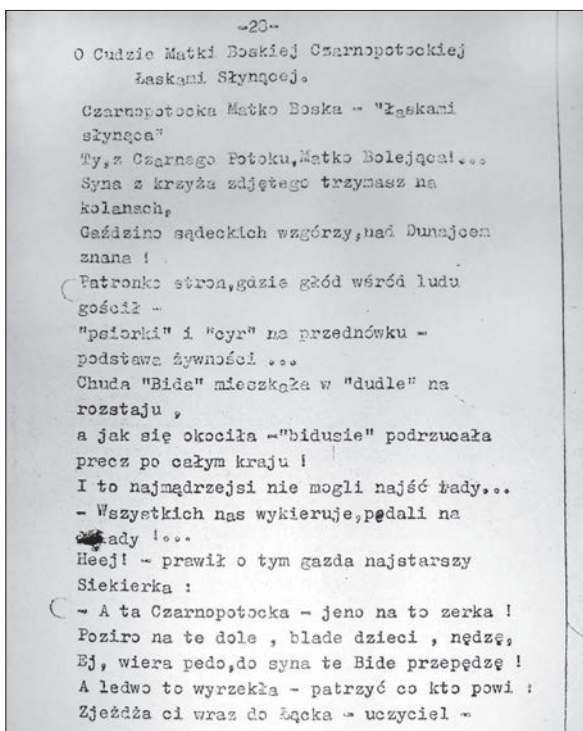
Rysunki Mira Kostiła

Polskie Madonny Ludowe
Kilka zdań o tomiku osobliwych wierszy

W zbiorach biblioteki Izby Pamięci Marii Kownackiej w Warszawie spośród licznych pamiętek, wydawnictw, książek, czasopism i rękopisów, Ewa Urbańska troskliwa opiekunka tej niezwyklej placówki biograficznej, wydobyła niezwyklej zbiór wierszy poetki. W spuściźnie wybitnej pisarki jest cykl utworów o tematyce religijnej, unikatowy w zbiorach pamiętek po pisarce ze względu na treść utworów w jej spuściźnie. To zarazem jeden z kilku tysięcy eksponatów w zbiorach oficjalnie nazywany jest kolekcją historyczno-literacką. Niezwykła kolekcja kilku tysięcy dokumentów zajmuje niemal bez reszty skromne mieszkanie poetki i pisarki – znanej z obfitej twórczości dla dzieci – które zostało zamienione na mocy jej testamentu w Oddział Muzeum Książki Dziecięcej w Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy. Jest to jedna z 210 w Polsce tego rodzaju placówek, czyli muzeów i zbiorów upamiętniających wybitnych polskich twórców literatury.

Mimo starań wielu osób odpowiedzialnych za upowszechnienie twórczości Marii Kownackiej nie znalazło się wydawnictwo, które podjęłoby się wydania zbioru *POLSKICH MADONN LUDOWYCH*. Zbiór ten zachował się tylko jako wydanie powielaczowe. W tej postaci był publikowany w 1981 roku na 31 stronach odbitek, w nieznannej ilości egzemplarzy. Na odwrocie strony tytułowej jest odbitka pieczęci Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy i numer inwentarzowy IPMK 1797 (powtórzony na stronie 31 w ewidencji dokumentów Izby Pamięci).

Zbiór 21 utworów powstawał zapewne w ciągu kilku lat (od 10 wierszy w roku 1979 do 21 utworów w 1981 roku), a niektóre wiersze oznaczone są datami z ostatnich lat życia poetki, która zmarła 27 lutego 1982 roku. Wydanie jest bardzo skromne



Wiersz „O cudzie Matki Boskiej Czarnopotockiej Łaskami słynącej”

pod względem graficznym. Na pierwszej „okładkowej” stronie jest rysunek przydrożnej kapliczki z figurką Matki Boskiej z Dzieciątkiem w otoczeniu bukietów stylizowanych polnych kwiatów, pod nią tytuł zbioru *POLSKIE MADONNY LUDOWE* i nazwa wydawcy zbiorku – Związek Młodzieży Demokratycznej, Koło (brak numeru ?) Warszawa – Żoliborz 1981, oraz przypuszczalnie numer egzemplarza z tego nakładu.



Czarny Potok – lipa szerokolistna z kapliczką.
Fot. Bolesław Faron

Zbiór wyróżnia się ponadto krótką dedykacją autorską z charakterystycznym podpisem Marii Kownackiej o treści: *Polskiej Młodzieży Demokratycznej, która samorzutnie podjęła trud powielenia tego zbiorku poświęconego polskim Madonnom Ludowym, a także tym, którzy potrafią docenić ideały moralne naszego ludu, wcielone w kult postaci religijnych*, datowany jest dopiskiem *Żoliborz 26.09.1981 r.* Na kolejnej stronie wydania znajdujemy wykaz tytułów 21 w formie *Spisu treści* z numerami stron zbioru. Następną stroną (bez numeracji) jest bogatszym powtórzeniem strony tytułowej bez rysunku kapliczki: – *MARIA KOWNACKA – POLSKIE MADONNY LUDOWE* – a jako podtytuł zapewne podany przez autorkę – *„to dla naszego ludu uosobienie wszystkich radości i smutków”.*

Na kolejnej stronie oznaczonej jako 1 (pierwsza) powtórzony jest tytuł zbioru *POLSKIE MADONNY LUDOWE* oraz tekst: *„Matka Boska” – to dla naszego ludu uosobienie radości i smutków. Ideał macierzyństwa, pociecha cierpiących, pełne poezji wcielenie przemian zachodzących w przyrodzie zgodnie z rytmem słonecznego kręgu. Przyjaciółka wszelkiego ziela /”Zielna”/, szafarka krynicznej bieżącej wody / „Otworna”/. Opiekunka pracy rolnika /”Siewna”/ – to ona sieje ziarno na przyszłe plony. Jest wzorem jak znosić z pogoda cierpienia i ciężka dolę. Ona z przydrożnej, na rozstaju kapliczki staje w obronie najbardziej uciśnionych, chroni przed klęskami żywiołowymi, pożogą i wojną. Ona patroluje matkom, otacza opieką dzieci. Niezależnie, czy ktoś odprawia praktyki religijne, czy od nich stroni – „Matka Boska Gromniczna”, „Otworna”, „Karmiąca”, „Bolesna”, „Rozgrzewna”, „Zielna”, „Siewna” – wtopione w przyrodę jak bożki prasłowiańskie – kto czuje nurt ludowy kultury swego kraju, musi wzruszyć... Baczmy, żeby w pochodzie postępu /jak to już raz miało miejsce przed tysiącem lat*

w stosunku do kultu pogańskiego/ nie wyteńczyć tego, co przez wieki tworzyła i czciła kultura słowian. Autorka. (pisownia jak w oryginale).

Pierwszy w zbiorze (na str. 2) jest wiersz NA SZKLE MALOWANE – domowa, o wyraźnych akcentach podhalańskich, a jego końcowe wersy to [...] „Chroniłaś tych harnasiów, wzmagalaś ich sławę. A kiedy zbójnickiego hipkali przy watrach – rada byłaś” – Ej, wiera takich szukać po caluśkich Tatrach”. Na stronie 12 jest wiersz „Ludzi-



Pieta czarnopotocka, 1649 r. Fot. Andrzej Urbaniec

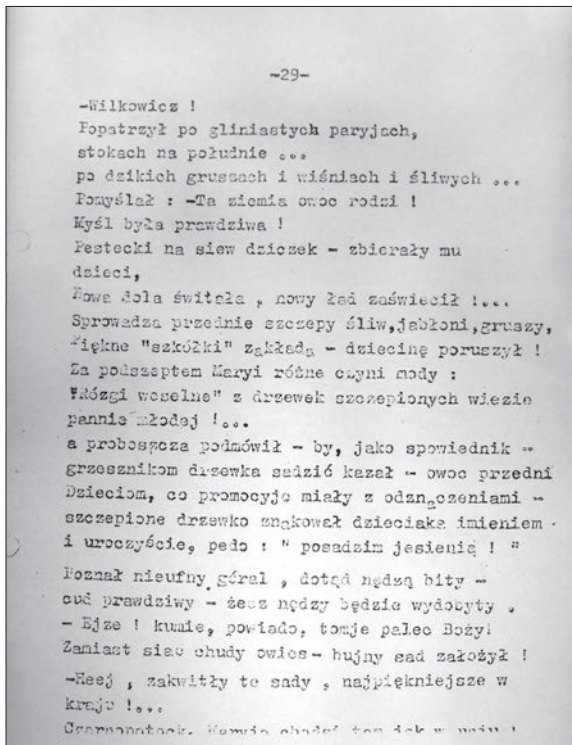
mierska” zaczynający się wersami Heej, ludzimirska Gaździno, / Ty opiekunko Górali – / Strzeż źródeł – co od gór płyną / i białych owiec na hali !...

Niektóre wiersze na kolejnych stronach ozdabiają winiety rysunkowe w formie motywów roślinnych, w większości ulubionych przez Autorkę ogrodowych i polnych kwiatów. Wyjątkiem wśród odręcznych ilustracji na stronie 14 jest dworek z kolumnkami, na 22 – promienne słoneczko i chmurka, na 24 dokończenie wiersza Różańcowa z rysunkiem różańca i datą Czerwiec 1980 rok Żoliborz. Większość wierszy przy tytule ma oznaczoną datą odpowiedniego święta kościelnego i kultu Matki Boskiej. Niestety, nieznanym jest cel, jakiemu miała służyć sprzedaż w cenie 50 zł (podanej u dołu na 33 nienumerowanej

stronie) wydanego w nieznanym nakładzie zbioru tych osobliwych – i co należy podkreślić – nieznanym dotąd utworów.

Szczegółnej uwadze czytelników „Almanachu Łąckiego” wypada polecić kolejny dwudziesty wiersz zbiorku poezji (na stronach 28, 29 i 30) *O Cudzie Matki Boskiej Czarnopotockiej Łaskami Słyszanej*. Składa się z 45 wersów częściowo rymowanych, a niezwykłość tego utworu pomnaża myśl przewodnią jego treści. Maria Kownacka zaczerpnęła ją z opowieści sędziwego bazarza Antoniego Siekierki o Bidzie, mieszkającej w dziupli starego drzewa, czyli w dudle na rozstaju dróg. Nietrudno wysnuć domysł, że to sławna stara lipa rosnąca na rozstaju dróg od ponad 650 lat – i według dawnej tradycji – uznawana za równą wiekiem kościołowi w starożytnej wsi Czarny Potok. Tę wiekową lipę podziwiać można tuż przy drewnianym kościele pochodzącym z 1449

roku pod wezwaniem św. Marcina biskupa (ale jako budowla sakralna drugim w kolejności). Na potężnym pniu znajduje się niewielka kapliczka z figurą Matki Boskiej



c.d. wiersza

wając jego działania cudem, a nawet uznała, że Matka Boska ...*nam nastąpiła* – *wybawcę Wilkowicza!* Wersy tego wiersza poetka kończy notką biograficzną (na str. 30 z błędną datą urodzin 1855) i nazywa Wilkowicza ...*twórcą dobrobytu najbardziej-szych ziem Sądeckiej i Limanowskiej. Mądry społecznik, znany i niestrudzony człowiek, znakomity pomolog i nauczyciel, zasłużył na wieczna pamięć tych stron.*

Wypada pokrótce przypomnieć dzieje parafii w Czarnym Potoku, którą utrwalono w dokumentach inwentaryzacji diecezjalnych z lat 1325 – 1327, a liczyła wtedy 270 osób. Należała do dóbr klasztoru starsądeckich klarysek już od 1317 roku, a wspomniany drewniany kościół z trzema ołtarzami opisał wybitny polski dziejopis Jan Długosz. W głównym ołtarzu dawniej był znacznych rozmiarów obraz datowany na 1449 rok, przedstawiający scenę w stylu piety, czyli wizerunek 6 postaci i Matki Boskiej Bolesnej z Ciałem Chrystusa zdjętym z krzyża. Ten obraz (ze względu na znaczne rozmiary) znany także jako *Oplakiwanie Chrystusa* znajduje się w Muzeum Diecezjalnym w Tarnowie. Obecnie w głównym ołtarzu jest także pieta, czyli wizerunek w stylu gotyckim samotnej Matki Boskiej z Chrystusem na kolanach datowany na 1649 rok.

Od dawna czarnopotocki kościół uznawany jest za sanktuarium a tradycje takie – ze względu na ów obraz z wizerunkiem Matki Boskiej słynącej łaskami – utrwalają

z Dzieciątkiem. Bohaterem opowieści starego Siekierki był utrwalony w historii łąckiej oświaty i jeden z najwybitniejszych popularyzatorów sadownictwa – długoletni nauczyciel Stanisław Wilkowicz (1859 -1943), którego imię poetka wplotła do opowieści o Matce Boskiej Czarnopotockiej.

Autorka tego wiersza pisząc o cudzie czarnopotockim uznała, że takim niezwykłym zbiegiem okoliczności – powszechnie nazywanym cudem – było pojawienie się w Łącku wybitnego społecznika, nauczyciela i zarazem sadownika, który przyczynił się wybitnie do zbudowania szkoły w Łącku i kierował nią w latach 1898 – 1927. Maria Kownacka w wierszu *O Cudzie...* poświęciła zasłużonemu obywatelowi ciepłe słowa najwyższego uznania, nazy-

-30-

Dobrobyt ! Dorodne grusze , jabłonie i
śliwy !
Czarnopotocka się śmieje !
Jej kraj jest szczęśliwy !
Dzieci tęgie rumiane, z ziarna i głodu
nie drżące .
Wszystko to Jej opieka - Czarnopotockiej
w łaskani skyncej !
Ona tuli , ochrania - Jack swoich używa -
To Ona nam uskaża - wybawcą Wilkowca !

FRANISZAW WILKOWICZ, ur. w 1055 r. w
Bochni, twórca dobrobytu najbiedniejszych
ziem: Sądeckiej i Limanowskiej.
Mądry społecznik, zaojny i nieustrudony
cekwiek, znakomity pomogł i nauczy-
ciel, zasłużył na wieczną pamięć tych
stron.

c.d. wiersza

trzy odpusty będące okazjami do pielgrzymek. Obraz w Czarnym Potoku uznany za cudowny ma wiele cech podobieństwa z wizerunkami Matki Boskiej w sądeckich kościołach w Wielogłowach i Dąbrówce. Kultem otaczana jest też wspomniana wcześniej drewniana figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem w kapliczce na wspomnianej starej lipie przy kościele. Odpusty i pielgrzymki odbywały się dawniej w Niedzielę Palmową, a w ostatnich czasach 15 września i 11 listopada. Od połowy XIX wieku parafia w Czarnym Potoku jest jedną z 12 parafii dekanatu łąckiego, do której należą okoliczne wsie i osiedla Młynczyńska, Jadamwola, Jastrzębie, Olszanica i część Szczereża.

PS. Dziękuję Ewie Urbańskiej – kustoszowi i troskliwej opiekunce Izby Pamięci Marii Kownackiej w Warszawie – za wskazanie niezwykłego zbioru nieznanych wierszy autorki często nazywanej „Plastusiową Mamą”. Niniejszy tekst dla „Almanachu Łąckiego” ma być jednym z kilku wydarzeń zamierzonych przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej jako forma przypomnienia postaci i twórczości wybitnej autorki literatury dla dzieci. Związana była wiele lat z beskidzkimi roztokami, polami, lasami, potokami, poświęciła im liczne utwory wywołane przeżyciami w przyrodzie i krajobrazie podczas pobytów na ziemi łąckiej, oraz przyjaźnią z rodziną zabrzeskich nauczycieli – Anny i Jana Bucyków. Przypomnienie tego zbioru wierszy może być w Łącku częścią obchodu 120 rocznicy urodzin pisarki przypadającej w 2014 roku.

* Cytowane dane historyczne pochodzą z: książki *Łącko i gmina łącka*, red. Julian Dybiec, Kraków 2012, ze stron 84, 125-127, 565, 627-631, opisane obrazy sakralne są pokazane w tej samej publikacji, część (fotografie barwne) *Łącko i gmina łącka w fotografii – Zabytki*.

Wacław Kłag urodził się w 1942 roku w nowosądeckiej Kiczni, koło Łącka. Całe swoje dotychczasowe życie spędził w Krakowie. Tutaj swoją edukację artystyczną kształtował najpierw w Liceum Sztuk Plastycznych, a następnie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na kształcie Jego artystycznych uzdolnień wpływ mieli tacy pedagodzy jak: Józef Kluza, Eugeniusz Waniek, Włodzimierz Buczek, Adam Marczyński, Andrzej Pawłowski, Danuta i Witold Urbanowiczowie, Jerzy Panek i inni.

Przez 50 lat dzielił swoje zainteresowania między malarstwem i a fotografią. Zajmował się projektowaniem plakatów, grafiką użytkową, wzornictwem przemysłowym, a także projektował biżuterię. Jako fotoreporter pracował w „Gazecie Krakowskiej”, „Echu Krakowa i „Dzienniku Polskim”. Przez kilka semestrów był wykładowcą fotografii na wydziałach dziennikarstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Udało mu się wydać kilka albumów fotograficznych. W malarstwie Wacek Kłag powraca do łąckich tematów.



SG
space Gallery

SALON SZTUKI
DAWNEJ I WSPÓŁCZESNEJ

Barbara Zambrzycka - Śliwa

Ma zaszczyt zaprosić na wernisaż
wystawy malarstwa

Wacława Kłaga
Łąckie klimaty

we wtorek 12 marca 2013 r.
o godz. 18.00
w Space Gallery w Krakowie
przy ul. św. Marka 7
wystawa czynna
będzie w dniach 12-30.marca









Zatrzymane w kadrze



Marian Linder (1946 – 2009). Ze zbiorów Władysławy Słowik



Apolonia Dudowa. Ze zbiorów TMZŁ



Józef Bandyk 1926 – 1996. Ze zbiorów Ewy Sabatowskiej



Dzieci przed szkołą w Maszkowicach – 1943 rok. Ze zbiorów Marii Zbozień



Zdjęcie ślubne Franciszki Florian ze Stanisławem Pierzga.
Ze zbiorów Marii Pierzga



Maria Surma. Ze zbiorów TMZŁ



Józefa Słowik z d. Ząbek 1907 – 1987. Ze zbiorów Władysławy Słowik



Jan Słowik 1903 – 1983. Ze zbiorów Władysławy Słowik



*Janina Bandykowa z d. Zahn 1928 – 2006.
Ze zbiorów Ewy Sabatowskiej*



Maria Pierzga 1913 – 1972. Ze zbiorów Marii Pierzga



Apolonia Warzecha z d. Mikołajczyk z mężem – Wallingford USA, grudzień 1936 rok. Ze Zbiorów Władysławy Słowik



Stoją od lewej: Józef Sopata, Władysław Sopata, Stefania Duszyńska, Tadeusz Sopata, Zofia Sopata, Aniela Sopata z synem Stanisławem i Anna Sopata – 1941 rok. Ze zbiorów Bożeny Wawrzyniak



Stoją: Władysław, Józef i Zofia Sopata, siedzą: Wojciech, Aniela, Stanisław i Tadeusz Sopatowie – 1943 rok. Ze zbiorów Bożeny Wawrzyniak



Od lewej: Katarzyna Opyd, Aniela Opyd – Sopata, Anna Opyd – matka, Maria Opyd i Piotr Opyd – 1915 rok. Ze zbiorów Bożeny Wawrzyniak



Partyzanci z oddziału Łazika w dniu ujawnienia – Łącko 12 lipca 1945 roku. Ze zbiorów Jerzego Wójcika



Partyzanci z oddziału Łazika w dniu ujawnienia – Łącko 12 lipca 1945 roku. Ze zbiorów Jerzego Wójcika



Partyzanci z oddziału Łazika w dniu ujawnienia – przy kościele w Łącku 12 lipca 1945 roku. Ze zbiorów Jerzego Wójcika

Piękno naszej ziemi
Stary sad na Byniowej

fot. Andrzej Urbaniec



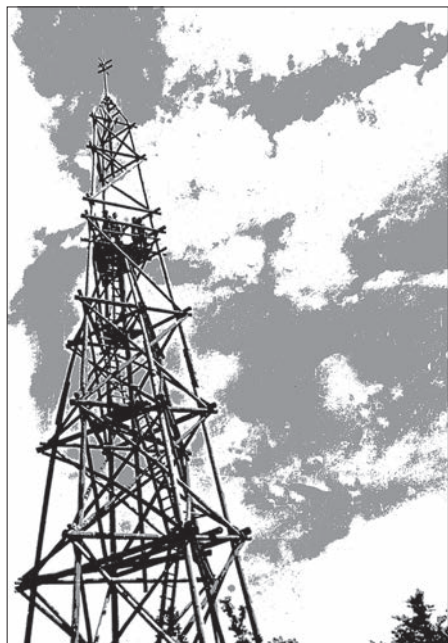
Archiwalia: banknoty II RP







Fot. Mateusz Długosz.
Ze zbiorów rodzinnych Marii i Andrzeja Urbańców.



Na zdjęciu z lat 70 ub. wieku wieża triangulacyjna na Koziarzu. Takich wież w okolicy Łącka było kilka. Oprócz Koziarza, znajdowały się na Radziejowej, na Lubaniu, na Gorc, na Modyni i na Turbaczu. Dla turysty były one punktami, według których można było orientować się w terenie, albo jako punkt docelowy wycieczki.

Wieża składała się z dwóch oddzielnych konstrukcji: pomostu dla obserwatora i stanowiska dla teodolitu. Dzięki podniesieniu wysoko, ponad poziom terenu – umożliwiały wykonywanie pomiaru kątów między punktami położonymi w znacznej odległości, rzędu 20 – 30 km. Wieże ustawiane były nad znakami ziemnymi – reperami, stanowiącymi główną, geodezyjną ośniewę poziomą pierwszej i drugiej klasy.

Rozdzielenie konstrukcji podtrzymującej pomost obserwatora od konstrukcji podtrzymującej instrument eliminowało przenoszenie się drgań na instrument, spowodowanych przez ludzi chodzących po pomoście. Pomiary wykonywane w ten sposób, wykorzystywano przy opracowaniu szczegółowych map kraju.

Dziś z naszego krajobrazu znikły wieże triangulacyjne, zwane przez górali „patryjami”. Nazwa ta nie miała nic wspólnego z „patriami”, jak to niektórzy „uczenni w piśmie” wymawiali – wywodziła się ona od patrzenia. Geodeci wchodzili na wieżę, żeby patrzeć na sygnał z innej wieży, a górale – żeby popatrzeć na piękne widoki.

Pamiętam, że gdy byłem na Koziarzu w lecie, przy słonecznej pogodzie, akurat wykonywano pomiary geodezyjne. Z Turbacza, inna ekipa sygnalizowała swoje położenie przy pomocy zwierciadła i światła słonecznego – tzw. „zajączka”. Odległość ponad 25 km, a światło raziło w oczy!

Wieże triangulacyjne utraciły swoje znaczenie, ponieważ zmieniła się technologia pomiaru osnów podstawowych. Obec-



nie nowe osnowy zakłada się przede wszystkim technikami satelitarnymi, m.in. GPS.

W moim domowym archiwum znalazłem coś, co można nazwać wierszem, albo refleksją filozoficzną. Napisałem to w odległych czasach. Ponieważ nie zostałem poetą, więc będzie to pierwszy i ostatni (no... może przedostatni!) mój wiersz w Almanachu Łąckim. Uznałem, że nie jest gorszy od innych, drukowanych w naszym piśmie, więc zamieszczam go poniżej.

Trwanie

Jestem!
Nie, już nie jestem
Byłem!

I znowu jestem!
Nie!
Już byłem.

Ciągle trwam między tym co było, a tym co będzie
Zawsze przeszły i wciąż przyszły!
Do ostatniej świadomej myśli...

Andrzej Urbaniec

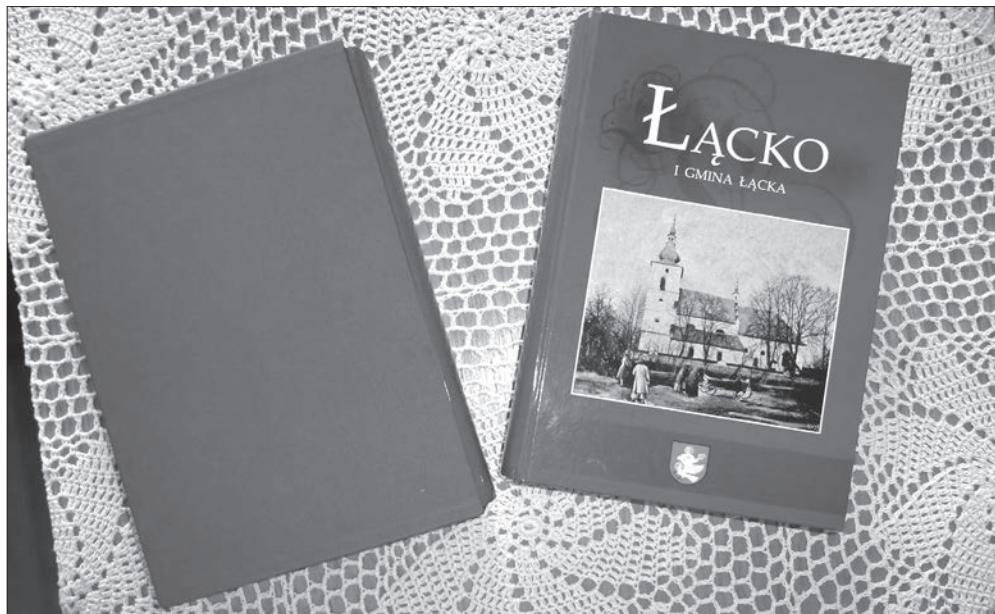
Splacony dług – Monografia Łącka



Jerzy Leśniak

Niewiele miast i gmin Sądeckizny posiada gruntownie opracowane własne monografie. Teraz do Nowego i Starego Sącza, do Grybowa, Krynicy i Piwnicznej dołączyło Łącko, jedna z najstarszych miejscowości ziemi sądeckiej. Pokażna księga pt. „Łącko i gmina łącka”, 784 strony plus specjalna wkładka z kolorowymi zdjęciami, ilustracje i fotografie archiwalne, indeksy – wszystko według śmiałego zamysłu i pod redakcją naukową prof. Juliana Dybca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydane staraniem Urzędu Gminy Łącko w renomowanej krakowskiej oficynie „Secesja” pod koniec 2012 r. Można powiedzieć *finis coronat opus* (koniec wieńczy dzieło), bo zabiegi o edycję monografii zapoczątkowano kilkanaście lat temu, w środowisku Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.

Mamy zatem do czynienia ze starannie udokumentowanymi dziejami ojczyzny Górali Białych, od czasów prehistorycznych, przez średniowiecze, do 2011 roku. Z kolejnym kamieniem milowym w badaniach regionalnych Sądeckizny, zapoczątkowanych w XIX wieku przez miłośników i badaczy tej ziemi pokroju Szczęsnego Morawskiego i ks. Jana Sygańskiego.



Współczesna monografia czerpie wiele z dorobku badaczy ziemi łąckiej z dawnych lat m.in. Antoniego Kurzei, ks. Józefa Puta i Henryka Stamirskiego, niemniej jednak jest pierwszym profesjonalnym dziełem obejmującym całość problematyki dla monografii tej rangi i tego typu, wykorzystującym nowoczesne warsztaty historyków, nieznane lub słabo spenetrowane do tej pory źródła.

Autorzy sięgnęli nie tylko do archiwów państwowych w Krakowie czy Nowym Sączu, ale też m.in. Kurii Metropolitalnej w Krakowie i Kurii Tarnowskiej, Biblioteki PAU i PAN w Krakowie, Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu. Przystudiowali ponownie nieocenione zapiski Jana Długosza i dawne księgi sądowe, które kilkadziesiąt lat temu były przedmiotem zainteresowania znawców klucza jazowskiego i klucza łąckiego Stanisława Grodzkiego i Adama Vetulaniego. Starają się zatem omówić poszczególne epoki i zagadnienia w sposób wyczerpujący, stosując nowoczesny aparat i metody naukowe, a na dodatek operując przystępnym, zrozumiałym dla zwykłych „zjadaczy chleba” językiem.

Monografia jest dziełem 13 autorów: na początku prof. Jan Lach i Tomasz Mrówka (obaj z Instytutu Geografii krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego) omawiają warunki geograficzne (klimat, wody, geologię, gleby, ochronę przyrody i turystykę) terenów gminy, a Grzegorz First charakteryzuje prehistorię przywołując m.in. wykopiska, które świadczą o tutejszym osadnictwie 10-12 tys. lat temu (!).

Szef kolegium redakcyjnego „Rocznika Sądeckiego”, wybitny mediewista prof. Feliks Kiryk przypomina dzieje staropolskie, skupiając się na osadnictwie i mieszkańcach, stosunkach własnościowych, organizacji i ustroju, stosunkach wyznaniowych, rozwoju sieci parafialnej i przede wszystkim na życiu gospodarczym i przegładzie miejscowości, od Brzyny i Byniowej po Zagorzyn i Zarzecze. Kto ciekaw, dowie się do kogo one należały w epoce Piastów i Jagiellonów, czym słynęły, jak wywianowywano panny na zamążpójściu, kto był właścicielem karczmi i młynów, kto (i ile) płacił dziesięcinę, co widniało w zapisach testamentowych. Przybliży sylwetki przedstawicieli najstarszych rodzin łąckich Hipolitów, Frankowiczów, Wiktorków, Baryckich.

Dr hab. Urszula Perkowska (Uniwersytet Jagielloński) odsłania nieznaną szerzej obraz epoki zaborów, w którym ludność gminy łąckiej wzrosła od 5 tys. (1777) do ponad 12 tys. (1918) – precyzyjne dane z przełomu XVIII i XIX w. uczona odnalazła w tzw. Tekach Schneidra. W tym okresie mamy już do czynienia z mieszkańcami (przybyszami w ramach akcji kolonizacyjnej) o obcych nazwiskach, takich jak Maurer, Lachner czy Schneider. Autorka pisze też o galicyjskiej biedzie, emigracji zarobkowej za Ocean, złym stanie szkolnictwa elementarnego, klęskach żywiołowych (głównie groźnych wylewach Dunajca), początkach rzemiosła i drobnego przemysłu (fabryka mebli giętych Michała Adera w Jazowsku), działalności polityczno-społecznej (udziały w powstaniach w XIX w. i głośnych obchodach 500-lecia wiktorii grunwaldzkiej)

Dr hab. Jan Wnęk (rodak z Kiczni) z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie podjął się bodaj najbardziej pracochłonnego wyzwania: ukazania trudnych lat odradzania się państwowości, kataklizmu drugiej wojny światowej i czasów, jakie po niej nastąpiły, aż po odrodzoną samorządność Trzeciej RP. Jedną z podanych przez niego ciekawostek jest skuteczna akcja miejscowych działaczy, która zapobiegła na początku

lat trzydziestych XX w. przyłączeniu ziemi łąckiej do mniej prężnego i bardziej zaco-fanego powiatu limanowskiego, co miałyby negatywne skutki gospodarcze.

W podrozdziale „życie polityczne” możemy śledzić przebieg i wyniki wyborów różnych szczebli, od sołtysich i gromadzkich do parlamentarnych, działalność partii z najsilniejszym w tym terenie PSL „Piast” (w pierwszych wyborach do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1919 r. posłem został Stanisław Ćwikowski z Czerńca).

Osobne miejsce J. Wnęk poświęca koszmarowi drugiej wojny światowej, heroicznej postawie partyzantów i nauczycieli, wyliczeniu strat wojennych, a następnie przejmowaniu władzy przez komunistów (1945–1948), walce władzy ludowej z podziemiem i „rozwydrzonym klerykalizmem” proboszczów, utyskiwaniu sekretarzy Komitetu Gminnego PZPR na słabe upartyjnienie ludności. Kolejne omawiane z benedyktyńską drobiazgowością okresy to lata popaździernikowej odwilży i dekady gierkowskiej, stanu wojennego (1981) i schyłkowego okresu PRL. Mimo sztywnego gorsetu ideologicznego w tamtych czasach, mimo wielu ograniczeń i fasadowości, widoczny jest wysiłek w nadrabianiu opóźnień i zaniedbań cywilizacyjnych, ożywienie społeczno-ekonomiczne zapoczątkowane przez tzw. eksperyment sądecki, o którym życzliwie wypowiadał się Jan Nowak Jeziorański w audycjach Radia Wolna Europa i pisał Jerzy Giedroyc w paryskiej „Kulturze”.

Współczesny opis dziejów gminy łąckiej autor opiera głównie na kwerendzie lokalnej prasy i mimo, że jest ona bardzo szeroko, wręcz drobiazgowo udokumentowana i solidnie poświadczająca o dźwiganiu „małej ojczyzny” z prowincjonalnego marazmu i stagnacji, to jednak obraz ostatnich 20 lat wypada moim zdaniem zbyt skromnie, a były to czasy – pod nieprzerwanymi rządami wójta Franciszka Młynarczyka – wielobarwne, z pewnością wieloznaczne, z sukcesami i porażkami, niemniej jednak z pozytywnym bilansem. I tu pewien niedosyt budzi brak informacji wyborczych (wyników, nazwisk, koalicji) z okresu odrodzonej samorządności, począwszy od 1990 r., a to przecież z tej gminy wyszedł z mandatem radnego na szersze wody polityki regionalnej starosta nowosądecki Jan Golonka, dyrektor Wydziału Kultury i Oświaty Starostwa Nowosądeckiego Zbigniew Czepelak i inni. Swego czasu mówiło się wprost o „desancie łąckim” na szczyty władzy powiatowej.

Część historyczną zamyka szkic Marii Kurzei-Świątek ukazujący dzieje sławnego Święta Kwitnącej Jabłoni, imprezy regionalnej o bodaj najdłuższej tradycji w tej części Polski (pierwsze odbywały się w sadach gospodarza Stanisława Sopaty w Czerńcu i Jana Maurera w Łącku, by następnie przenieść się do zbudowanego z inicjatywy Antoniego Arendarczyka amfiteatru pod Jeżową). Autorka wspomina też o skutecznej obronie sadowniczej bazy łąckiej przed planowaną w latach pięćdziesiątych budową zbiornika wodnego w Jazowsku, która groziła zagładą tutejszego zagłębia jabłek i śliwek.

Kolejne opracowania poświęcone są szkolnictwu (autor Józef Słowik), wyjątkowemu w skali ogólnopolskiej folklorowi i kulturze ludowej (Leszek Moryto), kulturze literackiej (Natalia Józefów i Barbara Faron), życiu kulturalnemu (Maria Kurzeja-Świątek), rozwojowi przestrzennemu, budownictwu i sztuce (Bogusław Krasnowolski), życiu religijnemu i parafiom (Julian Dybiac).

Całość zamyka – sporządzony przez niestrudzoną archiwistkę Marię Kurzeję-Świątek – opis ziemi łąckiej w pamiętnikach i dziennikach podróżników (m.in. Oskara Flatta, dziennikarza warszawskiego z połowy XIX wieku).

Swoje miejsce ma też słynna łącka śliwowica, ta „co daje krzepę i krasi lica”, której produkcję na szerszą skalę zapoczątkowano przed wojną w wytwórni Samuela Grossbarola. Wyobraźnię pobudzić może też przytaczana już przez Jana Długosza legenda o arcybogatych łąckich pokładach złota.

Kilka razy w monografii przywoływana jest wciąż żywa tradycja związków z ziemią łącką rycerza Zyndrama, dowodzącego wojskiem (*officium principia militae*) oboźnego w bitwie pod Grunwaldem „człeka animuszu wielkiego a prawie hetmańskiego (...) wzrostem małego, lecz bardzo dzielnego, ognistego i rzutnego”, który miał rozstawiać hufce do bitwy i osobiście poprowadzić do boju chorągwie ziemi krakowskiej. Według kroniki Długosza to właśnie ludzie z jego oddziału mieli zabić wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena.

Zyndram – mimo wątpliwości prof. Feliksa Kiryka opartych na niedostatku dowodów źródłowych – kojarzony jest z Maszkowicami, ta więź była (i jest!) żywa przez stulecia, choć nie ma żadnych materialnych dowodów na to, iż ów rycerz faktycznie zamieszkiwał w Maszkowicach, ówczesnej wsi starosądeckiego klasztoru Klarysek. Niemniej jednak, przytaczany wielokrotnie m.in. przez Irenę Styczyńską dokument Jagiełły, wydany już po śmierci Zyndrama, potwierdza, że przez pewien okres siedzibą Zyndrama były właśnie Maszkowice. Prowadzone w okresie milenijnej rocznicy przez Andrzeja Żakiego i Marię Cabalską badania archeologiczne odsłoniły tu ślady dawnego grodziska, a okoliczna ludność miała jakoby odnaleźć miecz i drobne żelazne przedmioty. Tajemnicę minionych wieków na tzw. wzgórzu Zyndrama kryją dziś kwitnące w maju sady i brzoźowe lasy. Materialnym dowodem pamięci jest odsłonięty w 1966 r. pomnik tysiąclecia państwa polskiego, u którego stóp wmurowany jest obelisk z 1910 r. z napisem „1910 – Zyndramowi – ziomkowie”.

I trochę smutno robi się lokalnemu patriocie, gdy prof. F. Kiryk demitologizuje związki bohatera spod Grunwaldu z „naszymi” Maszkowicami stwierdzając jednoznacznie: „Historia Maszkowic, włości konwentu klarysek starosądeckich od założenia w 1282 r., jako części składowej łąckiego klucza dóbr klasztornych. Gdyby Zyndram miał cokolwiek wspólnego z Maszkowicami sądeckimi, odnotowałyby to niewątpliwie źródła klasztorne (...)” (*Reminiscencje grunwaldzkie*, „Rocznik Sądecki”, t. XXXVIII, 2010).

*

Otrzymaliśmy pomnikowe dzieło, odkrywające wiele nieznanych do tej pory zagadnień i faktów, naszpikowane nazwiskami i wydarzeniami, stanowiące powód, jak zauważa prof. J. Dybiec, „do dumy i zadumy” nad przeszłością i przyszłością Łącka i okolic. Niezastąpioną skarbnicę wiedzy nie tylko dla mieszkańców tej ziemi i Sądeczyny, pracę źródłową dla rzeszy regionalistów, turystów, nauczycieli. Co znamienne, w większości autorami pomieszczonych w niej artykułów są badacze związani

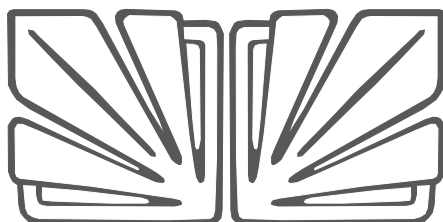
z ziemią łąką, regionaliści z krwi i kości, kompetentni i rzeczowi, mający nie tylko głęboką wiedzę, ale i pasję twórczą.

Śledząc od kilkudziesięciu lat poczynania regionalistyczne na Sądecczyźnie wypada szczerze i z uznaniem pogratulować autorom, twórcom oprawy graficznej i edytorskiej, fotografom oraz wydawcy, czyli samorządowi łąckiemu, wspieranemu przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej. Nieczęsto się zdarza, aby władarze miast i gmin w dzisiejszej dobie kryzysu i presji pilnych potrzeb komunalno-socjalnych mieszkańców, dbali o patronowanie i finansowanie kosztownych jakby nie było przedsięwzięć wydawniczych.

Warto też podkreślić zaangażowanie i znanstwo głównego redaktora monografii, prof. Juliana Dybca, który urodził się w Łącku, od dziecka badał losy rycerza spod Grunwaldu – Zyndrama, a w młodości tańczył i śpiewał w zespole „Małe Łącko”. Profesor spłacił z nawiązką naukowy dług wobec ziemi, która go wydała na świat.

Do Profesora Juliana, jak i do jego współpracowników, pasują jak ulał słowa Władysława Orkana ujęte w słynnych „Wskazaniach do synów Podhala”:

„Patrz bystro. Ze wsią swoją rodzinną żyj – i daj jej, co najlepsze, z duszy swej. Wróć braciom, coś wiedzę zdobył. Nie przecinaj korzeni łączących Cię z rodną ziemią – choćbyś na końcu świata się znalazł. To tak, jakbyś przeciął siły żywota. To winienesz Duchowi swojemu i Ojcom swoim.”



W Małopolskim Centrum Kultury Sokół, w Nowym Sączu, 11 stycznia 2013 roku, odbyła się promocja Gminy Łącko. Dzięki uprzejmości i pomocy w organizacji tego wydarzenia, dyrektora MCKS Antoniego Malczaka, gmina Łącko mogła zaprezentować swój dorobek kulturalny.

Integralną częścią tej promocji, było wręczenie medalu Zasłużony Kulturze GLORIA ARTIS, przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Franciszkowi Kurzei z Kiczni, fenomenalnemu skrzypkowi, który od dziesięcioleci promuje folklor i kulturę gminy Łącko. Leszek Zegzda, przewodniczący Komisji Kultury Sejmiku Województwa Małopolskiego, wręczył medal w imieniu Marszałka Województwa Małopolskiego, Marka Sowy. Na uroczystość przybyli, oprócz rodziny, przyjaciele, muzycy z którymi współpracował przez wiele lat, miłośnicy talentu Pana Franciszka, mieszkańcy Kiczni i gminy Łącko, posłowie i senatorowie, władze samorządowe gminy Łącko z wójtem Januszem Kłagiem i przewodniczącym Rady Gminy Zdzisławem Warzechą, Starosta Nowosądecki Jan Golonka, prezes Związku Podhalan oddział Łącko Tomasz Ćwikowski, Stanisław Pasoń, były poseł na Sejm RP II kadencji, dyrektor MCKS Antoni Malczak, dyrektor GOK w Kamienicy Mieczysław Marek, ppłk. dr. Stanisław Strączek kapelmistrz Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej, Orkiestry Dętej z Łącka i dyrektor Szkoły Muzycznej I stopnia w Łącku, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, Jadwiga Jastrzębska, przedstawiciele zespołów regionalnych, stowarzyszeń kulturalnych. Mimo podeszłego wieku, urodził się Franciszek Kurzeja w 1919 roku, wykonał wraz z Kapelą Łącką, po mistrzowsku kilka utworów. Kwiaty, upominki, owacja na stojąco i życzenia 200 lat, zakończyły tę część imprezy promocyjnej gminy Łącko.

W drugiej części odbyła się promocja monografii „Łącko i gmina Łącka” pod redakcją prof. Juliana Dybca. W rozmowie z prowadzącą całą imprezę, Małgorzatą Brodą, dyrektorem Instytutu Karpat, wójt Janusz Klag, opowiedział o wieloletnich staraniach wydania monografii Łącka. Na 775 stronach została opisana historia Ziemi Łąckiej od czasów najdawniejszych po współczesne. Monografia została wydana i sfinansowana przez Urząd Gminy w Łącku, w wydawnictwie „Secesja” w Krakowie.

Na zakończenie łąckiego wieczoru w Sokole przypadła promocja „Słownika gwary górali łąckich” Moniki Kurzei z Kiczni. Słownik powstał na podstawie pracy magisterskiej „Słownik dyferencyjny gwary Łącka i okolic”, której promotorem był prof. dr. hab. Józef Kaś. W dyskusji zabrali głos profesorowie Józef Kaś i Kazimierz Sikora z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Wieczór zakończył się degustacją łąckich specjałów, na które zaprosił gospodarz gminy Łącko, Janusz Klag, a które przygotowała firma rodzinna „karczma u Kłagów” i „Oberża” z Łącka, przy których długo jeszcze rozmawiano o kulturze, folklorze i tradycjach Ziemi Łąckiej.

Redakcja Almanachu Łąckiego



*Stoisko promocyjne
z monografią Łacka i słownikiem*

*Gratulacje od prezesa
TMZŁ*



*Franciszek Kurzeja z córką
Marią Kurzeja Świętek*



Leszek Zegza wręcz medal Gloria Artis



Jan Golonka składa gratulacje Franciszkowi Kurzei



*Karczma u Kłagów i Obe-
rża z Łącka wręczają tort
w postaci skrzypiec*



*Franciszek Kurzeja
z kapelą*

*Monika Kurzeja ze swoim
słownikiem*



*Janusz Klag – wójt Gminy
Łącko składa gratulacje
Franciszkowi Kurzei*

Wszystkie fot. Jerzy Leśniak

Wywiad z Małgorzatą Bochenek – Skarbnikiem Gminy Łącko



Małgorzata Bochenek

Kiedy została Pani powołana na skarbnika gminy i jakie są zadania związane z tą funkcją?

We wrześniu 2011 roku zostałam powołana przez Radę Gminy Łącko na Skarbnika Gminy. Do podstawowych zadań Skarbnika należy w szczególności: przygotowanie projektu budżetu gminy oraz nadzorowanie jego realizacji, przygotowanie oraz nadzorowanie realizacji wieloletniej prognozy finansowej, przestrzeganie dyscypliny finansów publicznych, wykonywanie obowiązków głównego księgowego budżetu, kontrasygnowanie zobowiązań finansowych gminy.

W jakiej „kondycji finansowej” zastała Pani finanse gminy?

Sytuacja finansowa Gminy Łącko w 2011 roku charakteryzowała się najogólniej rzecz biorąc dwoma czynnikami:

- wysokim zadłużeniem – wynoszącym przeszło 21 milionów złotych, wygenerowanym głównie jako coroczne zaciąganie nowych kredytów w bankach komercyjnych na poczet spłaty kredytów zaciągniętych w latach poprzednich. Poziom zadłużenia pod względem relacji do dochodów (40%) uplasował gminę w czołówce zadłużonych samorządów z terenu powiatu nowosądeckiego,

- w utworzonej w 2010 roku wieloletniej prognozie finansowej gminy zaplanowane zostały dochody gminy do roku 2017 na poziomie znacznie wyższym, aniżeli realne możliwości pozyskania ich przez gminę, szczególnie w latach 2012 – 2014, kiedy środki unijne z perspektywy finansowej 2007 – 2013 zostały już praktycznie wykorzystane. Dodatkowo na kolejne lata zaprojektowano bardzo niski poziom wydatków bieżących (tj. bez wydatków na inwestycje). Jak wykazuje przeprowadzona analiza wydatków bieżących gminy za lata 2006 – 2012 wydatki te rosną w tempie średnio 9% rocznie (w latach 2008 i 2010 było to odpowiednio 14% i 12%). Omawiana wieloletnia prognoza finansowa gminy zakładała, że począwszy od 2012 roku wydatki będą niższe o ponad 5 mln zł w stosunku do faktycznych potrzeb gminy na realizację zadań nałożonych ustawami. Chcąc więc dostosować wydatki do założeń prognozy z 2010 roku należałoby zmniejszyć o ponad 5 mln zł rocznie wydatki na funkcjonowanie szkół, opieki społecznej, czy gospodarki komunalnej. Mamy wszyscy świadomość, że skala

takich „cięć” byłaby dramatyczna w skutkach dla prawidłowego wykonywania zadań na rzecz mieszkańców gminy.

Omówione wyżej założenia prognozy finansowej na kolejne lata wynikały z konieczności osiągnięcia wymaganego prawnie wskaźnika zadłużenia samorządu. W 2009 roku bowiem poprzez nowelizację ustawy o finansach publicznych zobowiązano samorządy do osiągnięcia, począwszy od 2014 roku, tzw. indywidualnego wskaźnika zadłużenia. Utworzona wieloletnia prognoza finansowa, która zakładała osiąganie wysokich dochodów oraz niskich wydatków bieżących, założenia te spełniała, ale tylko formalnie.

Jakie były pierwsze zadania, a w związku z tym decyzje, Skarbnika w celu optymalizacji budżetu na rok 2012 i kolejne lata?

Pierwszymi zadaniami na stanowisku Skarbnika w 2011 roku było przygotowanie projektu optymalnego budżetu gminy na 2012 rok oraz przygotowanie zrównoważonej prognozy finansowej gminy na najbliższe lata – prognozy która będzie stanowić o wiarygodności finansowej gminy w postaci terminowej spłaty zaciągniętego w latach poprzednich długu, a jednocześnie pozwoli na oszczędne i prawidłowe wykonywanie zadań oraz wpłynie na rozwój nowych inwestycji gminnych, w postaci m.in. oczyszczalni ścieków, kanalizacji, dróg, chodników, rewitalizacji czy poprawy standardów w obiektach oświatowych.

Sytuacja finansowa gminy jest trudna z powodu wysokiego zadłużenia i związanego z tym obciążenia spłatami 8 kredytów i pożyczek wraz z odsetkami – na poziomie 6 mln zł w 2012 roku i 7 mln zł w 2013 roku. Gmina, aby móc uchwalić budżet na 2014 rok musi osiągnąć zakładany w ustawie o finansach publicznych tzw. indywidualny wskaźnik zadłużenia, do którego obliczenia bierze się pod uwagę obciążenie spłatą długu oraz wyniki finansowe gminy za trzy lata poprzedzające tj. z okresu 2011 – 2013.

Co udało się do chwili obecnej przedsięwziąć w celu ograniczenia zadłużenia gminy? Na co przeznaczane są oszczędności?

Wymóg osiągnięcia tego wskaźnika powoduje konieczność harmonizacji działań podejmowanych przez gminę w zakresie polityki finansowej, do których zaliczyć należy ograniczanie zadłużenia oraz optymalizowanie działań, wpływających na powstawanie oszczędności. Efekty tych działań widoczne są już teraz w postaci oszczędności w wydatkach w 2011 i 2012 roku. Oszczędności te przeznaczane są na spłatę zadłużenia z lat poprzednich oraz na powiększenie puli środków na inwestycje gminne w 2013 i 2014 roku.

Efektom ograniczania zadłużenia jest planowany spadek poziomu zadłużenia do 19,5 mln zł w 2013 roku, poprzez konsekwentne stosowanie – od początku 2012 roku – zasady, że „w danym roku więcej kredytu spłacamy, aniżeli zaciągamy nowego”. Wymienione działanie pozwoli na uzyskanie w 2014 roku relacji zadłużenia do dochodów gminy na poziomie około 30%. Tak określony „bezpieczny” poziom długu jest dla gminy warunkiem do pozyskiwania środków z nowego budżetu unijnego na

lata 2014 – 2020, bowiem realizacja inwestycji ze środków unijnych będzie wymagała wkładu własnego, który finansowany będzie z preferencyjnych pożyczek i kredytów, pozwalając na rozłożenie w czasie spłaty nowych inwestycji.

Skąd gmina pozyskuje środki na inwestycje?

W latach 2011 – 2012 na inwestycje w Gminie Łącko wydatkowano kwotę 22,1 mln zł, głównie na budowę i modernizację dróg gminnych i chodników, budowę obiektów sportowych, m.in. boisko Orlik, rozbudowę szkoły, budowę szkolnych placów zabaw oraz inwestycje w budynkach szkolnych.

Część inwestycji gminnych zostało wykonanych dzięki pozyskaniu środków zewnętrznych. I tak: wiele dróg zostało odbudowanych ze środków na usuwanie skutków powodzi, trzy place zabaw współfinansowano środkami z Ministerstwa Edukacji Narodowej. Na inwestycje, które będą realizowane począwszy od 2013 roku pozyskano ze środków unijnych kwotę 2 mln zł na rozbudowę oczyszczalni ścieków oraz budowę budynku wielofunkcyjnego.

Jak wygląda przekrój wydatków budżetowych w gminie?

Wydatki budżetu gminy w 2012 roku zamknęły się kwotą prawie 48 mln zł. Wśród głównych kategorii wydatków znajdują się: wydatki na oświatę i wychowanie w wysokości 22,5 mln zł, opiekę społeczną – 9,3 mln zł, gospodarkę komunalną, ochronę środowiska i dostarczanie wody – 4,3 mln zł, transport i łączność – 3,6 mln zł. Pozostałe wydatki gminy dotyczą w szczególności zadań: bezpieczeństwa publicznego i ochrony przeciwpożarowej (m.in. zapewnienie gotowości bojowej ochotniczych straży pożarnych), zadań z zakresu kultury i ochrony dziedzictwa narodowego, turystyki, rolnictwa, łowiectwa i leśnictwa, ochrony zdrowia, administracji publicznej oraz gospodarki mieszkaniowej.

Proszę podać, w skrócie, prognozę finansową na 2013 rok.

Lata 2012 – 2013 to okres, na który założyliśmy budowanie bezpieczeństwa finansowego gminy poprzez zmniejszanie poziomu zadłużenia, poszukiwanie zewnętrznych źródeł finansowania inwestycji gminnych oraz stałe zwiększanie efektywności wydatkowania dostępnych środków. Jest to również okres, w którym przygotowywane są projekty dokumentacji technicznych potencjalnych inwestycji gminnych, które mogłyby znaleźć dofinansowanie przez Unię Europejską. Poprzez cały katalog działań staramy się najpełniej przygotować do nowej perspektywy unijnej i związanych z tym możliwości wnioskowania o środki na nowe inwestycje służące poprawie życia mieszkańców Gminy Łącko.

Serdecznie dziękuję za możliwość przeprowadzenia wywiadu i poświęcony czas, w tym gorącym dla finansów gminy okresie.

XIII konkurs pn. „Łącko moja mała ojczyzna” 2013

W dniu 5 marca 2013 roku, w Sali Konferencyjnej Urzędu Gminy w Łącku, odbyła się XIII edycja konkursu pn. „Łącko – moja mała ojczyzna” 2013. Konkurs od 2001 roku, jest organizowany przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, a pomysłodawczynią Jadwiga Jastrzębska, która od 2000 roku, do chwili obecnej, jest jego prezesem. W konkursie wzięła udział młodzież z gimnazjum w Łącku, Jazowsku i Zagorzynie oraz Liceum Ogólnokształcącego z Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku. Każdą szkołę reprezentowało trzech uczniów. Młodzież miała 1 godzinę zegarową na napisanie testu składającego się z 50 pytań. W tym roku pytania dotyczyły historii Ziemi Łąckiej w XXI wieku, ekologii i ochrony środowiska oraz folkloru Górali Białych. Jury w składzie Jadwiga Jastrzębska – przewodnicząca, oraz członkowie jury: Kazimiera Faron-Majkrzak, Ewa Długosz i Rozalia Duda, po podliczeniu punktów przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Nagrody:

- I. nagroda: Edyta Gorczońska z Gimnazjum w Zagorzynie
- II. nagroda: Marcin Wnęk z Liceum Ogólnokształcącego w Łącku
- III. nagroda: Małgorzata Faron z Liceum Ogólnokształcącego w Łącku
- IV. nagroda: Karolina Lizoń z Gimnazjum w Jazowsku
- V. nagroda: Kinga Dybiec z Liceum Ogólnokształcącego w Łącku

Wyróżnienia: Klaudia Kozik z Gimnazjum w Jazowsku, Anna Skupińska z Gimnazjum w Zagorzynie, Rafał Duda z Gimnazjum w Zagorzynie, Joanna Florian z Gimnazjum w Jazowsku, Paulina Piksa z Gimnazjum w Łącku, Natalia Bandyk z Gimnazjum w Łącku i Marta Lesiak z Gimnazjum w Łącku.

Wójt gminy Łącko, mgr. Janusz Klag, ufundował nagrodę specjalną, pięknie wydaną monografię Łącka „Łącko i Gmina Łącka” oraz plecak, dla najstarszego uczestnika konkursu, otrzymał ją Marcin Wnęk.

Przewodniczący rady Gminy Łącko, mgr. Zdzisław Warzecha, ufundował nagrodę specjalną, zestaw ciekawych książek, dla najmłodszego uczestnika konkursu, otrzymał ją Rafał Duda.

Nagrody i dyplomy w konkursie, otrzymali wszyscy uczestnicy konkursu.

Laureaci od I do V miejsca otrzymali: dyplomy, słowniki języka angielskiego, albumy fotograficzne, książki, Almanachy Łąckie i dodatkowo dla I miejsca plecak.

Wszyscy wyróżnieni otrzymali dyplomy i słowniki języka angielskiego.

Wójt Gminy Łącko przekazał w imieniu Gminy Łącko, podziękowania i książki wydane w ostatnim czasie przez Urząd Gminy w Łącku, opiekunom poszczególnych szkół. Dyplomy uznania i Almanachy Łąckie nr. 16 i 17 z 2012 roku, przekazało także Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej.

Młodzież z gimnazjum w Jazowsku przygotowała mgr Joanna Wnęk, z gimnazjum w Łącku mgr Antonina Duda i mgr Irena Bugańska, z gimnazjum w Zagorzynie mgr Zdzisław Warzecha, natomiast z Liceum Ogólnokształcącego Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku, mgr Magdalena Jagieła.

Wójt, Janusz Klag, podziękował organizatorom za przygotowanie i sprawne przeprowadzenie konkursu i obdarował jurorów upominkami.

Nagrody w XIII konkursie pn. „Łącko – moja mała ojczyzna” 2013 ufundowali:

1. Urząd Gminy w Łącku
2. Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej: słowniki języka angielskiego (12), albumy fotograficzne (3), Almanach Łącki (20) i dyplomy (12)
3. Gminna Biblioteka w Łącku: książki (2)
4. Kazimiera Faron Majkrzak: książkę
5. Antoni Baran: plecak
6. Ryszard Jastrzębski: książkę

Nagrody i dyplomy wręczali wszystkim uczestnikom i ich opiekunom wójt Gminy Łącko, mgr Janusz Klag i mgr Kazimiera Faron-Majkrzak, członek jury.

Jadwiga Jastrzębska
prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej





Fot. Ewa Długosz i Jadwiga Jastrzębska

- 04.12.2012 posiedzenie komisji kultury, Rady Gminy Łącko, omówienie budżetu na 2013 rok.
- 13.12.2012 w siedzibie GOK odbyło się podsumowanie IX Gminnego Konkursu na „Szopkę Betlejemską. W konkursie wzięło udział 7 Szkół Podstawowych z Gminy Łącko: Kicznia, Maszkowice, Obidza, Zarzece, Zabrzeż, Czarny Potok i Kadca. Organizatorem konkursu była Szkoła Podstawowa w Kadczy i GOK w Łącku.
- 17.12.2012 w Centrum Kultury Studenckiej Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, odbyła się VII Ogólnopolska Konferencja „Produkty Tradycyjne szansą rozwoju regionalnej turystyki kulturowej”. Organizatorzy konferencji: Uniwersytet Rolniczy w Krakowie, Gmina Łącko, Stowarzyszenie Tworców Nauki i Kultury „Epistene”, oraz Polska Sieć Gospodarcza. Wójt gminy Łącko, Janusz Kłag omówił sytuację wieloletnich starań o wpisanie łąckiej śliwownicy na listę produktów regionalnych.
- 18.12.2012 Gminy konkurs na kartkę świąteczną w Szkole Podstawowej w Zarzeży, klasy I-III.
- 20.12.2012 odbyła się wigilia dla samotnych i ubogich w rest. „Pod Jabłonią”, przygotowana przez Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej w Łącku.
- 21.12.2012 ostatnie w tym roku posiedzenie Rady Gminy Łącko.
- 31.12.2012 Sylwestrowy pokaz sztucznych ogni na Rynku w Łącku.
- 04.01.2013 XXIII edycja Gminnego Przeglądu Grup Kolędniczych. W przeglądzie wzięły udział 3 grupy kolędnicze. I miejsce zajęła Grupa Kolędnicza „Z gwiazdą”, z Zespołu Szkolno Gimnazjalnego w Zagorzynie. Grupa Kolędnicza z Zagorzyna wzięła udział w Powiatowym Przeglądzie Grup Kolędniczych w Mystkowie.
- 10.01.2013 w siedzibie Gminnego Ośrodka Kultury odbył się Koncert Kolęd w wykonaniu uczniów Ogniska Muzycznego przy GOK w Łącku.
- 11.01.2013 wręczenie medalu Zasłużony Kulturze GLORIA ARTIS Franciszkowi Kurzei z Kiczni, promocja monografii Łącka i słownika gwary górali łąckich. Życzenia i kwiaty od TMZŁ przekazała Jadwiga Jastrzębska, prezes Towarzystwa. Franciszek Kurzeja jest honorowym członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej i 28 stycznia skończył 94 lata.
- 13.01.2013 w Łącku odbył się XXI finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Sztab miał swoją siedzibę w GOK. Kwestowało 30 wolontariuszy, koncerty i imprezy towarzyszące odbyły się w hali widowisko-

- wo sportowej w Łacku. Zebrano 14.201,83 zł. W tym roku orkiestra kwestowała dla ratowania dzieci i godnej opieki seniorów.
- 22.01.2013 Jadwiga Jastrzębska, prezes TMZŁ i Mateusz Długosz, członek zarządu TMZŁ, zapalili białe i czerwone znicze na mogiłach powstańców styczniowych pochowanych na łąckim cmentarzu. Na cmentarzu pochowani są: Jan Wadowski, Ferdynand Królicki i Witalis Jaxa Chamiec.
- 31.01.2013 spotkanie opłatkowe członków i sympatyków TMZŁ, w restauracji „Obreża” w Łacku. W spotkaniu udział wzięli członkowie i sympatycy Towarzystwa.
- 05.02.2013 w siedzibie GOK odbyła się XIV edycja Gminnego Konkursu Młodych Wokalistów. W konkursie wzięło udział 27 uczestników w trzech grupach wiekowych. Gratulacje i nagrody wreczył wójt gminy Łacko, Janusz Klag.
- 09.02.2013 Pogrzeb śp. Józefa Wiatra na łąckim cmentarzu, był członkiem TMZŁ. Kwiaty w imieniu Towarzystwa złożyła Jadwiga Jastrzębska.
- 12.02.2013 Pogrzeb śp. Danuty Ukleji na łąckim cmentarzu, była członkiem TMZŁ od 2004 roku. W imieniu Towarzystwa, została odprawiona msza św. za duszę śp. Danuty Uklei.
- 18.02.2013 w tym dniu, do Tarnowa. udała się delegacja Związku Podhalan z Diecezji Tarnowskiej, do Kurii Diecezjalnej w Tarnowie, na spotkanie z ks. Biskupem Andrzejem Jeżem. Związek Podhalan oddział w Łacku, reprezentował ks. kapelan Stanisław Kowalik, oraz prezes Tomasz Ćwikowski.
- 23.02.2013 Gala Fundacji Sadeckiej w “Sokole” w Nowym Sączu. Gala związana z wyborem “Sadeczanin Roku” 2012 i wręczeniem nagrody w “Konkursie im. ks. profesora Bolesława Kumora” na najlepszą książkę o Sądecczyźnie w 2012 roku, i autora. Wśród nominowanych książek znalazł się Almanach Łacki, który zgłosił Urząd Gminy w Łacku. Ppłk. dr. Stanisław Strączek, kapelmistrz Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej i Orkiestry Dętej z Łacka, odznaczony zotalem medalem Zasłużony Kulturze GLORIA ARTIS
- 26.02.2013 odbył się Gminny Konkurs Poezji Regionalnej i Gadek Ludowych, wzięło w nim udział 38 uczestników, uczniów szkół podstawowych i gimnazjów z gminy Łacko. Konkurs odbył się w siedzibie GOK w Łacku.
- 05.03.2013 XIII konkurs “Łacko-moja mała ojczyzna” 2013. Konkurs odbył się w sali konferencyjnej urzędu gminy w Łacku. W konkursie udział wzięli uczniowie gimnazjów z Łacka, Jazowska i Zagorzyna, oraz Liceum Ogólnokształcącego z Zespołu szkół im. Św. Kingi w Łacku.

- 16.04.2013 IX Gminny Konkurs Recytatorski poświęcony Marii Kownackiej w Czarnym Potoku
- 03.05.2013 obchody Konstytucji 3 Maja pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku.
- 11.05.2013 Walne Zgromadzenie Członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.
- 10-12.05.2013 Święto Kwitnącej Jabłoni w Łącku



Informacja w sprawie wydania trzeciej części albumu fotograficznego.

Redakcja Almanachu Łąckiego czuje się zobowiązana, wobec tych wszystkich państwa, którzy udostępniłi w ostatnich latach swoje fotografie, z przeznaczeniem do trzeciej części albumu „Łąckowian portret własny”, do wyjaśnienia powodu opóźnień.

Poprzedni album zawierający ok.130 stron i ponad 300 zdjęć, w twardej oprawie wydano w nakładzie 500 szt. Koszt wydania (druku) wyniósł 18.455 zł. Następny album będzie zawierał ponad 150 stron i ponad 400 fotografii. Przepuszczalny koszt wydania szacujemy na 20 tys. zł. i na ten cel mamy 3 tys. zł, które przeznaczyliśmy z nagrody przyznanej Towarzystwu Miłośników Ziemi Łąckiej, przez Starostę Nowosądeckiego, w 2012 roku – Złote Jabłko Sądeckie. W najbliższym czasie zostanie złożona aplikacja, poprzez Stowarzyszenie Białych Górali i Lachów Sądeckich, do Zarządu Wojewódzkiego Małopolski o dotację w wys. 20 tys. zł. z przeznaczeniem na ten album. Ile pieniędzy dostaniemy trudno przewidzieć, można się starać, maksymalnie, do pokrycia 70%, ogólnych kosztów wydania albumu. Jednak aby wykorzystać te pieniądze, trzeba najpierw pokryć koszty wydania z własnych funduszy. I o to właśnie chodzi! Musimy „zbierać” 30% ogólnej sumy wydania albumu fotograficznego, co stanowi około 6 tys. zł.

3 tys. już mamy, resztę trzeba zbierać od ludzi dobrej woli. Każda kwota się liczy. Darowizny na wydanie trzeciego albumu fotograficznego można wpłacać na konto TMZŁ: 66 8805 0009 0000 3577 2008 0001 w Łąckim Banku Spółdzielczym, z wyraźnym dopiskiem: „na album fotograficzny cz.3”.

Jeżeli uda się nam zbierać te 30%, czyli 6 tys. zł, do końca listopada br. to jest szansa wydania albumu jeszcze w grudniu br.

Z góry wszystkim ofiarodawcom dziękujemy.

Redakcja Almanachu Łąckiego

1. Od redakcji	str. 3
2. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny łąckich Chwalibogów – część VIII	str. 4
3. Józef Myjak – Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy	str. 15
4. Marci Wnęk – Ród Ćwikowskich, Pasiudów i Kurzejów	str. 59
5. Marcin S. Przybyła – Znad Dunajca nad Dunaj	str. 70
6. Adrian Poparda – Starożytni mieszkańcy Sądeckczyzny	str. 78
7. Grzegorz Chajko – Rytro w pierwszej połowie XIX wieku	str. 87
8. Władysław Pierzga – W 120 rocznicę powstania Związku Stronnictwa Chłopskiego zwanego także Stronnictwem Braci Potoczków	str. 92
9. Stanisław Myjak – Łącki sport	str. 97
10. Jadwiga Jastrzębska – Burmistrzowie z Łącka...	str. 107
11. Tomasz Kowalik – Strachy, czyli dziady, uroki, kulawce, beboki	str. 111
12. Kazimiera Faron-Majkrzak – Moja droga szlakiem św. Jakuba do Santiago de Compostela w Hiszpanii	str. 121
13. Maria Golanka – Najlepsza lalkarka. Dzień niedokończonych snów	str. 124
14. Tomasz Kowalik – Polskie Madonny Ludowe	str. 127
15. Waclaw Klag – Łąckie klimaty	str. 132
16. Zatrzymane w kadrze	str. 137
17. Andrzej Urbaniec – Piękno naszej ziemi	str. 141
18. Archiwalia: banknoty II RP	str. 142
19. Andrzej Urbaniec – Z domowego archiwum	str. 145
20. Jerzy Leśniak – Spłacony dług – Monografia Łącka	str. 147
21. Tradycja przez pokolenia	str. 152
22. Jadwiga Jastrzębska – Wywiad ze skarbnikiem Małgorzatą Bochenek	str. 156
23. Powstanie styczniowe 1863 roku – 150 lecie	str. 159
24. XIII konkurs pn. „Łącko moja mała ojczyzna” 2013	str. 160
25. Kalendarium	str. 163
26. Listy, polemiki, sprostowania	str. 166
27. Spis treści	str. 167